Rodzinne święto

JOLANTA WROŃSKA

Lata ostatnie sprawiły, że wmawianie komukolwiek powodów do odświętnej radości, byłoby ciężkim nietaktem. Jaką więc dzisiaj ma wymowę dzień 1 Maja w odczuciu społecznym? Poprosiłam pracowników *Widzewskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego*, bądź co bądź — z imieniem *1 Maja* w herbie, by opowiedzieli, jak rozumieją sens pierwszomajowego święta.

CZY ŚWIĘTO PRACY — OD PRACY!

Najmłodszemu pokoleniu pracowników 1 Maja kojarzy się z pompą, państwowotwórczymi mowami i obowiązkiem.

ZBIGNIEW BOROWIAK mówi tak: — *1 Maja to jest święto pracy, a w powszechnym rozumieniu zgubił się gdzieś związek między corocznym „obchodem" a pracą. Dobrze zorganizowaną, wydajną, uczciwie płatną pracą. Zwyczajnie, jeszcze jedno święto, ustawowo wolny od pracy dzień. Tak jak wigilię i Boże Narodzenie świętują także niewierzący, jak 22 Lipca jest świętem państwowym, tak i 1 Maja stało się zwyczajem. Przywykliśmy i już. I skojarzenie jest proste — pochód, kolorowo na ulicach, flagi, plakaty itd. Dziś trudno wymagać od ludzi, żeby świętowali radość, bo i z czego, a znowu manifestacja uliczna prawdziwych nastrojów, ma nie ten sam co dawniej wydźwięk. Ludzie są zmordowani codzienną harówą, mają dosyć bałaganu w pracy, kolejek i całego tego kryzysu. Chcą uczciwie robić i godziwie zarobić, a od młócenia na okrągło — ojczyzna — kryzys — ojczyzna, po prostu uciekają.*

ALICJA IDZIKOWSKA — szefowa zakładowej organizacji ZSMP: — *Jeśli mamy traktować 1 Maja, jak nasze, robotnicze święto, taka też musi być forma. Na imieniny do przyjaciół idzie się z radością, bo się ich lubi, bo się chce pobyć wśród swoich. Ale kiedy trzeba odbębnić rytualną wizytę u rodnej ciotki, bo wypada, to człowiekowi się nie chce i robi to z obowiązku. Tak samo z 1 Majem. Kiedy zaubi się zwyczajną radość, chęć zobaczenia znajomych i kolegów, a zostaje tylko „rama organizacyjna", cała rzecz przestaje cieszyć. A było tak przecież, że malowało się nocami kosztowne plansze czy transparenty, bo gdzieś tam, ktoś wymyślił już z góry całą oprawę i przebieg. Organizowało się listę czołówki pochodu, sterczało godzinami w bocznych ulicach, żeby potem w kilka minut przelecieć się przed trybuną. Gdzie tu autentyzm, gdzie radość ze wspólnego święta. Co roku przed 1 Maja ludzie mówili... ciekawe co tym razem wymyślą?...*

— *Właśnie! — oni* — wtrąca *LECHOSŁAW ŁAPKA*. — *Przecież to jest nasze święto, nie dla nas organizowane, nie w naszym imieniu, tylko nasze!*

LECHOSŁAW ŁAPKA, przedstawiciel średniego pokolenia z wieku a z funkcji — przedstawiciel odpowiadającego się w zakładzie ruchu związkowego mówi tak: — *Święto to nie obowiązek. Nie może być nadzieś tam wysoko ustalana cała organizacja i akcenty propagandowe. 1 Maja to my, robotnicy. Tak czasem myślę, że złego zrobiono tej tradycji w poprzednich latach. Choćby ta defilada przed trybuną. Nie tak być powinno. Robotnik w państwie przed nikim defilować nie powinien. Idzie zamanifestować swoją siłę i solidarność z innymi ludźmi pracy, bo to jest jego święto.*

PIOTR KRAMER — ZSMP: — *Tradycja 1 Maja się nie przeżyła, tylko ludzie są zmęczeni codziennością, dla*

Arystokratka

BOHDAN GADOMSKI

Jest właściwie jedyną polską aktorką par excellence filmową. Swoją pozycję, a także dużą część zainteresowania, jaką z reguły otacza gwiazdę zawdzięcza filmowi. I podczas gdy o niektórych filmach z Beatą Tyszkiewicz — widzowie już nie pamiętają, to na pewno zapamiętali ją samą. Pierwszą damę polskiego kina i jedną z nielicznych autentycznych polskich gwiazd srebrnego ekranu, na pewno najpopularniejszą naszą aktorkę filmową.

Samolot z Paryża wylądował w Warszawie zgodnie z rozkładem w południe. Na pokładzie znajdowała się Beata Tyszkiewicz, która loty relacji Warszawa — Paryż zalicza do swoich stałych podróży, odwiedzając w stolicy Francji mieszkającego i pracującego tam męża (architekta).

Spotkanie odbyło się w warszawskim mieszkaniu aktorki, gdzie ostatnio bywam częstym gościem. Wywiad dla „Odgłosów" to nasza 6 rozmowa, tym razem z cyklu „wywiad-rzeka", w której próbuję kreślić najprawdziwszy z prawdziwych wizerunków Beaty Tyszkiewicz, gwiazdy nazywającej samą siebie — antygwiazdą.

A oto i ona. Znienawidzony sweterek, niemodna, plisowana spódnica, nie uczesane włosy, brak makijażu, czyli nic podniszczone buty i przypadkowa, lekka dolegliwość żołądkowa. Słynny uśmiech, bezpośredni, szalenie naturalny sposób bycia. Odpowiada na moje 5 pytania, przyjmując liczne telefony, wizytę dwóch filmowców, rozmawiając z przyjaciółką-aktorką Antoniną Girycz, asystującą przy wywiadzie i bacznie uważającą, aby nie zadać niedyskretnego pytania i nie udzielić (przez Beatę) nieprzemyślanej odpowiedzi.

— Przyleciała pani z Paryża. Nie będę pytał o przebieg lotu i pogodę nad Sekwaną, ale zapytam o cel wizyty we Francji, gdzie lata pani coraz częściej?

— Bywam często w Paryżu, ponieważ mój mąż mieszka na stałe we Francji. Paryż jest cudowny, jak zawsze. Ostatnio mieszkałam w nim wyjątkowo długo. Zauważyłam, że zmienia się tak, jak zmienia się Europa. To bardzo ciekawe zjawisko. Jestem wielką patriotką i nie umiem żyć długo poza ojczyzną. Zostawiam więc wszystkie jego uroki i wracam do Warszawy.

— Lubi pani podróżować?

— Bardzo lubię i nadal podróżuję.

— Szkoda, że te podróże niezbyt często są zawodowe, a przecież mogłyby takimi być, ba! powinny!?

— Co ja zrobię, że tak bardzo lubię pracować w kraju. Tu czuję się u siebie i prawdziwie potrzebna. Przebywając niedawno w Paryżu, zagrałam rolę Madame De Valledieu w najnowszym filmie Claude Lelucha „Marcel i Edith". Miałam grać Niemkę, ale z uwagi na mnie reżyser zmienił pochodzenie tej postaci, co uważam za rzecz miłą. Współpraca z Leluchem była interesująca, jestem zadowolona. Aby coś zrobić, osiągnąć na tamtym rynku filmowym, trzeba tam stale być i żyć, mieszkać, a to jest mi obce. W kraju otrzymałam dwie nowe propozycje filmowe.

— Co słychać w świecie artystycznym Paryża?

— Przede wszystkim szalony sukces „Dantona" Andrzeja Wajdy. Film jest pokazywany w 10 największych kinach, będzie więc miał milion widzów w samym Paryżu, co jest wielkim sukcesem, zważywszy jego trudny temat. Byłam w kinie na jednym z seansów i po zakończeniu projekcji roz-

• „Zadyma! Punki! Zadyma!" — druga część reportażu Andrzeja Makowieckiego • Poker życiem zwany — o cinkciarzach pisze Dariusz Dorożyński • Kartuzy, moje miasto — Paweł Tomaszewski • Dwa opowiadania SF

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 18 (1309) ROK XXVI 30 KWIETNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

W Harnamie tańczą mimo kryzysu

BOGDA MADEJ

Był rok 1972. Nie było żadnej specjalnej okazji. Ot, po prostu poznałam Marię Szkudlarek — wówczas pełniącą obowiązki dyrektora Zakładowego Domu Kultury ZPB im. Szymona Harnama. Zrobiłam z nią rozmowę, która ukazała się w „Odgłosach". Zapytałam:

— Chyba wtedy nie przypuszczała pani, że w waszej placówce powstanie zespół, który będzie znany niemal na całym świecie?

MARIA SZKUDLAREK: — Oczywiście, że nie. Zajmowaliśmy się wtedy czymś innym. Trzeba było pomagać pracującym matkom, zajmując się ich dziećmi. Trzeba było też likwidować analfabetyzm, organizować kursy dokształcające, kompletować książki w bibliotece. Dopiero trochę później zaczęliśmy myśleć o zespołach artystycznych.

To był rok 1945, kiedy powstał Zakładowy Dom Kultury i kiedy zaczęła w nim pracować Maria Szkudlarek. Zespół Tańca Ludowego powstał dwa lata później — w 1947 roku. I można powiedzieć, że zrodził go przypadek.

Instruktorem teatralnym był wówczas **Roman Sykała.** Wystawiano „Nadzieję" Heijermansa i „Matkę" Maksyma Gorkiego. Roman Sykała wprowadził wstawki taneczne i tak narodził się zespół. Zaczęła się nim zajmować **Jadwiga Hryniewiecka.** Początkowo tańczyły same dziewczęta. W 1949 roku zostały zaproszone do Pragi i tam doszły do wniosku, że lepiej jednak tańczy się z chłopcami, jeśli ma się już tańczyć polskie tańce ludowe.

Harnam powstał i zaczął występować, kiedy jeszcze nie było ani Mazowsza, ani Śląska. Był reprezentacyjnym zespołem Związku Zawodowego Włókniarzy. Dziś pełna nazwa brzmi: **Reprezentacyjny Zespół Tańca Ludowego Włókniarzy im. Sz. Harnama.** I liczy sobie 35 lat.

Po drodze był też rok 1956. Próbowano wówczas rozwiązywać różne zespoły, likwidować świetlice i domy kultury. W Harnamie świetlica jakoś się ostała, a i to dzięki Marii Szkudlarek. Ale choć obroniła swój byt, to przecież poniosła jakieś straty. Przed październikiem 1956 roku zajmowała całe piętro w fabrycznym budynku przy ul. Kilińskiego 2. Po październiku ostało się jej 5 pokoi — i to w amfiladzie — i tak jest do dziś.

— A może to i lepiej, że jest tak ciasno — powiada **Andrzej Klinowski,** który obecnie piastuje stanowisko

Przegląd prasy

JERZY URBAN PRZESZKADZA

tym razem Polskiemu Związkowi Katolicko-Społecznemu, jako że Zarząd PZKS i *„przedstawiciele środowisk terenowych"* wystosowali 25 lutego 1983 roku pismo do premiera Wojciecha Jaruzelskiego, w którym wnoszą *„o odwołanie ze stanowiska rzecznika prasowego Rządu Ob. Jerzego Urbana"*. Wniosek ten motywują tym, że *„Jerzy Urban dopuścił się obrazy uczuć religijnych Polaków nazywając (...) pisma redagowane przez św. Maksymiliana Marię Kolbego „plugastwem"*. A na dodatek *„uczynił to w trzy zaledwie miesiące po uroczystym ogłoszeniu O. M. M. Kolbego świętym i w momencie kiedy Naród Polski oczekuje przybycia Ojca św. do Ojczyzny"*. W taki to sposób Jerzy Urban *„usiłuje za pomocą jątrzących sformułowań i insynuacji dyskredytować wielkiego naszego Rodaka, obrażając tym samym uczucia religijne i patriotyczne katolickiego społeczeństwa wbrew art. 69 pkt. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej"*.

Tekst tego listu i odpowiedź wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego pod tytułem „Pretensje nieuzasadnione" opublikowała „POLITYKA" (nr 17 z 23 kwietnia 1983 r.).

„Ze zrozumieniem przyjmuję — pisze M. F. Rakowski — *wyrażoną przez władze PZKS dezaprobatę z powodu nietaktownego sformułowania, którego Jerzy Urban użył w swym felietonie w „Tu i Teraz", odnoszącego się do kultu Rajmunda Kolbego. Autor przyznał to i opublikował przeproszenie. Wyrażam również ubolewanie. Muszę jednak okazać zdziwienie, że ta incydentalna przecież sprawa nie została zakończona po wydrukowaniu przez J. Urbana w „Tu i Teraz" tekstu pt. „Usta"."*

I dalej pisze M. F. Rakowski:

„Nie mogę zgodzić się z kwalifikowaniem naostrzej choćby formułowanych krytyk dotyczących tej materii jako jątrzenia, obrażania uczuć religijnych i działania wbrew artykułowi 69 pkt. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tak rozszerzona interpretacja przedmiotu kultu religijnego prowadziłaby bowiem do istotnego zawężenia swobód obywatelskich, w tym wolności słowa".

I nieco dalej:

„Nie sądzę też, że wspieranie uchwały Zarządu PZKS akcją protestacyjną organizowaną w terenie (np. Zduńska Wola) jest faktem, który może wpływać pozytywnie na prawidłowe kształtowanie się stosunków pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi.

Odpowiadając na interpelację grupy 17 posłów w tej samej sprawie przedstawiłem w imieniu premiera i własnym pozytywną ocenę działalności Jerzego Urbana jako rzecznika prasowego rządu. Ocenę tę podtrzymuję".

A na dowód tego, jakie treści niósł z sobą „Mały Dziennik" autor odpowiedzi załączył wybór cytatów, które „Polityka" opublikowała. Oto jeden z nich:

„Sprawa żydowska może być w Polsce rozwiązana tylko w drodze planowanej emigracji żydowskiej i to w szerokim zakresie, przy udziale czynników międzynarodowych. Żydzi chcą czy nie chcą muszą tę prawdę sobie uświadomić" („Istotna sprawa", nr 169 z 20 maja 1936 r.).

Jerzy Urban zamilkł już jako publicysta, pozostał nadal jako urzędnik państwowy. Co prawda — jak sam zainteresowany przyznał to w ubiegłą niedzielę (24 kwietnia 1983) w „Studio 2" ktoś napisał do niego list, proponując, aby rzucił tę posadę i wrócił do pisania felietonów, a większy będzie z tego pożytek. Ale są i tacy, którzy woleliby, aby J. Urban nie był urzędnikiem państwowym i nie pisał felietonów. Przede wszystkim dlatego, że J. Urban prezentuje poglądy, z którymi oni się nie zgadzają.

Okazuje się, że można być przeciw komuś, choć ten ktoś już dawno w grobie. Oto w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 16 — 24 kwietnia 1983 r.

ROMUALD KARAŚ BRONI PAWŁA HULKĘ--LASKOWSKIEGO,

a broni go nie tylko przed Józefem Waszkowem, autorem nowego przekładu książki Jarosława Haszka „Przygody dzielnego wojaka Szwejka" Słuchacze radiowej audycji „Pory roku" wiedzą zapewne, że Wojciech Siemion czytał fragmenty tej popularnej książki w nowym przekładzie Józefa Waszkowa. Nowy jest nie tylko przekład, ale i tytuł. Brzmi on: „Tarapaty dzielnego żołnierza Szwejka podczas wojny światowej". Książka w tym nowym przekładzie ma się ukazać jesienią nakładem „Książki i Wiedzy". Z tej to okazji Leszek Mazan przeprowadził rozmowę z Józefem Waszkowem i opublikował ją w świątecznym numerze „Przekroju". Rozmowa ta stała się pretekstem do napisania przez Romualda Karasia artykułu pt. „Hebluj, hebluj synu...".

Romuald Karaś cytuje Józefa Waszkowa z „Przekroju": — *„W moim tłumaczeniu pozostaną całe partie prawie idealnie zbieżne z przekładem Hulki--Laskowskiego! Martwię się nawet, że jakiś życzliwy krytyk przyczepi się do owej zbieżności, powstałej, rzecz jasna, niezależnie ode mnie: po prostu obaj z Hulką wpadliśmy na to samo"*. I Romuald Karaś to kwestionuje: *„Paweł Hulka-Laskowski zrobił to pół wieku temu. To jest fakt, którego nie da się podważyć"*. A więc Józef Waszków mógłby na to wpaść *„równocześnie"*, gdyby obaj robili to samo w tym samym czasie. A nie wtedy, gdy od pół wieku funkcjonuje w świadomości społeczeństwa przekład Pawła Hulki-Laskowskiego i wielu czytelników już nawet nie uzmysławia sobie, kto jest autorem tego przekładu, traktują go jako polską wersję książki Jarosława Haszka.

Romuald Karaś nie mógł też się zgodzić ze stwierdzeniem Józefa Waszkowa, że Paweł Hulka-Laskowski to *„przecież nie literat czy profesjonalny tłumacz"* i ostro przeciw takiemu sądowi zaprotestował. Słusznie. U nas coraz bardziej umacnia się instytucjonalne kwalifikowanie ludzi. Ktoś, kto ma — mniejsza o to w jaki sposób — legitymację związku twórczego jest twórcą, mimo że nic nie tworzy już od dłuższego czasu, a ktoś, kto takiej legitymacji nie ma, ale ma dorobek, ten twórcą nie jest. Ba! Paweł Hulka-Laskowski nie był nawet magistrem, cóż dopiero doktorem, albo lepiej docentem. Gdyby był docentem, to byłby uznanym tłumaczem, bo docent nie może być nie uznanym.

KIM BYŁ PAWEŁ HULKA--LASKOWSKI

— przypomina Romuald Karaś. *„Był poliglotą"* — pisze i wymienia jego dorobek tłumacza: *Poza przyswojeniem naszej kulturze „Przygód dobrego wojaka Szwejka" (1929—1930) zasłużył się przekładami J. Swifta „Podróże Guliwera", R. Martina du Gard „Rodzina Thibault", J. F. Coopera i innych"*. A do tłumaczenia „Przygód dobrego wojaka Szwejka" miał specjalne predyspozycje, gdyż *„miał niejako we krwi czeszczyznę"*, bowiem *„był potomkiem czeskich ewangelistów, którzy w obronie swej wiary musieli opuścić ojczyznę, szukając schronienia w Polsce. Na co dzień rozmawiał w Żyrardowie z pracującymi tam Czechami, wiele czytał i tłumaczył z czeskiego"*. W 1920 roku *„wyjechał do Pragi i pełnił funkcję referenta prasowego polskiego poselstwa"*.

Ale to nie wszystko.

„Paweł Hulka-Laskowski — pisze Romuald Karaś — *należał do najwybitniejszych przedstawicieli naszej literatury w dwudziestoleciu międzywojennym. Jego pisarstwo zwracało powszechną uwagę walorami społeczno-moralnymi, pasją, odwagą i pięknem formy. Należał do najciekawszych piór „Wiadomości Literackich", zasłynął obroną Żyrardowa, doprowadzonego do nędzy przez rodzimych oszustów i obcy kapitał."*

Pracę zawodową zaczął w fabryce jako kilkuletni chłopiec. Poprzez liczne wyrzeczenia zdobył ogromną wiedzę, choć nie zdobył żadnego tytułu ani zawodowego, ani naukowego, *„ale jego wiedza budziła podziw największych erudytów"*. Stał się symbolem. *„Przed wojną uważano go za sumienie robotniczego Żyrardowa. To człowiek* — pisze R. Karaś — *który ma trwałe miejsce w polskiej literaturze i publicystyce"*. Zostawszy pisarzem nie porzucił Żyrardowa. Był więźniem Pawiaka w czasach okupacji. Po wyzwoleniu *dostał nagrodę literacką, ale* szybko odsunięty został na bok. *„W latach błędów i wypaczeń próbowano zatrzeć po nim ślad, szykanując także rodzinę nieżyjącego już pisarza"*. Zrobiono to widać tak dokładnie, że... dziś zapomnieliśmy o setnej rocznicy urodzin Pawła Hulki-Laskowskiego. Z tej okazji mógłby się na przykład ukazać „Mój Żyrardów" tego autora. Zawiera on ciągle żywą dedykację, którą cytuje R. Karaś:

„Robotnikom żyrardowskim, towarzyszom walk i porażek z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo."

A *„żyrardowscy robotnicy zabiegali o wydanie „Mojego Żyrardowa", zbierając na ten cel stosy makulatury"*.

W tymże samym numerze „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" Marek Zwierz opowiada jak trafił na ślady Ludwika Edwarda Kalksteina-Stolińskiego, który w Mysiadle próbował dorobić się majątku na hodowli kur. Ludwik Kalkstein uważany jest za tego człowieka, który gen. Stefana Roweckiego „Grota" — komendanta Armii Krajowej wydał gestapo. Tytuł publikacji: „Tylko cień".

CIENIE NA NASZEJ PRZESZŁOŚCI

kładą się gęsto, bo i ta przeszłość nie jest łagodna i spokojna, a pełna dramatycznych rozdziałów, zdarzeń i wręcz tragedii. „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 17 z 24 kwietnia 1983 r.) przynosi niebywale interesujący fragment wspomnień Stanisława Pempela pt. „Tragedia AK we Lwowie". Jest to opowieść o wsypie lwowskiego oddziału wywiadu wschodniego, która doprowadziła też do aresztowania ludzi podziemia w Kijowie i Warszawie. Oddział ten nosił kryptonim: WW—72 O—III.

A wszystko, można powiedzieć, przez... miłość i brawurę. Do Lwowa pod koniec czerwca 1943 roku przybył z Warszawy „Karol" — Roman Halicki. Wszedł on w rozliczne kontakty z lwowskim podziemiem AK, zaprzyjaźnił się z osobami kierującymi pracą podziemia, a następnie zakochał się w poznanej w pociągu Marii Friedmanównie. Nie pomogły ostrzeżenia, że jest ona agentką gestapo. „Karol" przed przedmiotem swej miłości nie miał tajemnic. Ona z tego skorzystała i gestapo też. *Nie uratowało to go od śmierci.* Gestapowcy go powiesili.

A dwie radiostacje i inne punkty kontaktowe wpadły przede wszystkim przez brawurę. Po pierwsze — nie zmieniano zbyt długo miejsca i pory nadawania, co pozwoliło Niemcom dokładnie namierzyć radiostacje. A po drugie — pracowały one bez obstawy. Radiotelegrafiści i skoczkowie z Anglii zaskakiwani byli bezpośrednio w trakcie łączności z Anglią. Wpadali nie tylko oni, ale i szyfry.

Wspomnienia Stanisława Pempela obfitują w wiele szczegółów i powinny zainteresować zajmujących się z amatorstwa czy zawodowo czasami II wojny światowej.

Na zakończenie zmiana tematu. „TYGODNIK KULTURALNY" (nr 17 z 24 kwietnia 1983 r.) opowiada piórem Jana Nieporowskiego o tym

JAK ABDUL SZUKAŁ W LUBLINIE GARSONIERY

Autor poznał Abdula, zwanego też Adasiem, u swojej znajomej, u której mieszkaniec Bliskiego Wschodu, a obecnie student jednej z lubelskich uczelni, pragnął wynająć samodzielny pokój. J. Nieporowski postanowił mu pomóc, dał do „Kuriera Lubelskiego" ogłoszenie i podał swój telefon. Nie musiał długo czekać na odzew. Zgłaszali się różni ludzie. Cwaniacy zajmujący się wynajmowaniem mieszkań, ludzie, którzy chcieliby sobie w taki sposób dorobić, emeryci i tacy, którzy za grube pieniądze gotowi byli odstąpić pomieszczenia w suterenie lub na strychu. Abdul wziął do rozpatrzenia 13 ofert — tylko kawalerki i samodzielne mieszkania. W Lublinie — i chyba nie tylko — to nie nowość, że cudzoziemscy studenci wynajmują garsoniery.

Na marginesie tej całej historyjki autor słusznie pisze: *„Darmo zachodziłem w głowę, jakim to cudem, może ktoś oferować do wynajęcia kompletne M-6, komfortowe 4 pokoje z kuchnią... — skoro w PRL obowiązuje ponoć żelazna zasada, że jedna rodzina nie może mieć więcej niż jedno mieszkanie. Widać nie może, ale ma."*

I to nie tylko w Lublinie, o czym można się przekonać czytając drobne ogłoszenia.

LUCJAN BOGUSZ

SZALONE DZIECI ALLACHA

To są dzieci. Dzieci-żołnierze, szalone dzieci Allacha. Imam z Teheranu wysyła je na pierwszą linię walki. Rzuca je na czołgi. Rzuca na pola minowe. Wysyła je na śmierć. Czoło mają przewiązane opaską, na której widnieją pierwsze słowa modlitwy wiernych: „Nie ma Boga ponad Boga". Albo noszą koszulę z napisem: „Mam specjalne zezwolenie Imama na wejście do nieba". Mają od 13 do 18 lat. Niektóre są nawet jeszcze młodsze. Umierają z okrzykiem: „Allach o akbar!" — „Bóg jest największy", wierząc, że zdobyły paszport do raju.

Jest ich czterysta tysięcy, jak oświadczył przewodniczący irańskiego parlamentu, Haszemi Rafsanżani. Prawie pół miliona chłopców, którzy poszli na front odkąd — dwa i pół roku temu — zaczęła się wojna z Irakiem. Nie są to dzieci rządzących mułłów, elity władzy. O nie! Są to dzieci biednych — chłopów, proletariuszy. To właśnie ci synowie Iranu, od których Chomeini żąda, by stali się „niewolnikami wiary".

Nad ich losem pochyliła się w odruchu serca pewna kobieta. Każe się zwać Irandochte, „Córą Iranu". Jest to Iranka zamieszkała w Szwajcarii, członkini kilku organizacji humanitarnych, w tym „Amnesty International", i założycielka Anahity — organizacji, która postawiła sobie za cel ujawnienie pogwałceń praw kobiety i dziecka w Iranie. Z tego właśnie tytułu spotkała się niedawno z wziętymi do niewoli na froncie nieletnimi bojownikami, znajdującymi się w irackich obozach pod kontrolą Czerwonego Krzyża.

Irakijczycy gotowi są odesłać tych chłopców do domu. Ale Chomeini ich nie chce. Porzucił je. Zaparł się własnych dzieci, winnych temu, że dały się ująć żywcem. Irandochte odtworzyła historię tych zagubionych dzieciaków, „przemienionych w roboty, mentalnie i fizycznie przygotowanych do tego, by zabijać lub zostać zabitymi, do gloryfikowania i podziwiania wojny, do wdychania jej zapachu".

Ich historia zaczyna się w szkole. To właśnie tam wzbudza się w nich fascynację męczeństwem i tam nabywają pewności o zbawieniu przez śmierć na polach walki dżihadu — świętej wojny — które przetworzą ich w mięso armatnie. Nawet podręczniki szkolne głoszą chwałę Rewolucji Islamskiej, nienawiść do Izraela, Ameryki, Francji, Iraku oraz ślepe poddanie się woli „Welajat Faghigh" — Przewodnika. Na ścianach w klasie wiszą portrety tych, co oddali życie za islam. Uczniowie codziennie wznoszą zbiorowe okrzyki: „Niech żyje Chomeini! Śmierć zdrajcy Saddamowi! Śmierć kontrrewolucjonistom!" Ich nauczyciele, członkowie komitetów i stowarzyszeń islamskich, instruują ich: „Głośniej! Niech was usłyszą ci, co ukrywają się za granicą! Głośniej! Niech wasz głos dotrze do Saddama, po drugiej stronie granicy!" A oni krzyczą aż do utraty tchu.

Prowadzi się ich, aby szli w kondukcie żałobnym na pogrzebach męczenników. Prowadzi się ich na niektóre egzekucje publicznie. Mają obowiązek denuncjowania wszelkich kontrrewolucjonistów, łącznie z domniemanymi, nawet jeśli są to ich bliscy: ojciec, matka, brat, siostra, przyjaciel lub nauczyciel. Mówi się im, że jest to ich święte zadanie.

To samo dzieje się w telewizji. Codziennie o 17,00 pojawia się na ekranach mułła Geraati ze swoim kursem „wychowania obywatelskiego". Program przekazuje w postaci lekcji w klasie. Geraati pyta, na przykład, swoich „uczniów":

— Kto to jest imam?

— Imam — odpowiadają dzieci — **jest przewodnikiem, za którym każdy powinien ślepo podążać.**

— Czy trzeba zwalczać hipokrytów? (oficjalne określenie wrogów Iranu).

— Tak. Jeśli ktoś zabije jednego z nich lub przez jednego z nich zostanie zabity, czeka go raj.

— Czy po to, by iść na wojnę jest konieczne zezwolenie rodziców?

— Nie, jeśli armia i Iran ciebie potrzebują.

— A co ze szkołą?

— Walka z wrogiem i obrona islamu są ważniejsze, niż szkoła.

W innym programie — rozmowa z czteroletnim chłopczykiem:

— Kim jesteś, synku?

— Pobożnym sługą islamu.

— Kim chcesz zostać?

— Męczennikiem.

— Co byś radził innym dzieciom?

— Żeby byli wierni linii Imama.

Od czasu do czasu przychodzą do szkoły pasdaranowie (strażnicy rewolucji), aby opowiedzieć dzieciom, co słychać na wojnie. Zdarza się, że opowiadają, jak Dwunasty Imam, Zamana, na którego powrót szyici czekają od 12 stuleci, ukazał im się pośród bitwy na białym koniu i jak uratował ich od niechybnej śmierci.

Wśród niezliczonych filmów wojennych, pochodzących przede wszystkim z krajów Wschodu, telewizja często pokazuje też dzieci na froncie. Pada pytanie:

— Czy boisz się śmierci, synu?

— Nie. Moim największym pragnieniem jest umrzeć w imię boże i dostać się do raju.

Chowani w takiej atmosferze egzaltacji i fanatyzmu, porzucają szkołę i czekającą ich w domu biedę, aby wstąpić w szeregi Basidżi — armii wydziedziczonych, armii 20 milionów, której zawsze pragnął Imam. Dla panującego reżimu są to, bądź co bądź, obywatele, którzy nie powiększą masy bezrobotnych i niezadowolonych, dostarczając jednocześnie świeżej krwi frontowi. Młodzi, starzy, upośledzeni fizycznie, wszyscy nie podlegający oficjalnie mobilizacji, otrzymują w szeregach Basidżi „wychowanie religijne" i szkolenie wojskowe, w wymiarze nie przekraczającym kilku tygodni. Dla starych i chorych szkolenie jest bardzo uproszczone. Ich rola polega tylko na rzuceniu się na pola minowe, aby otworzyć drogę czołgom.

„Fatiwa", czyli dekret z października 1982 r. pozwala dzieciom wstępować do Basidżi bez pozwolenia rodziców. Nazajutrz po zgłoszeniu, każdy „nowy" jest uroczyście przyjmowany do jednostki przez jednego ze strażników rewolucji, który przekazuje mu mundur i karabin (zazwyczaj niemiecki G-3). W zamian za syna, rodzice dostają odszkodowanie w wysokości 400 tomanów (ok. 30 dolarów). Jeśli zginie — a ryzyko jest tu bardzo wysokie — zostanie im przyznana „karta męczennika", uprawniająca do otrzymania bonów żywnościowych, do kupna niektórych produktów po niższych cenach i do pierwszeństwa w dostaniu pracy.

— Nie możemy zabronić tym dzieciom iść na bój — mówi Rafsandżani — **gdyż same się tego domagają.**

To prawda. Większość z nich idzie szczęśliwie bić się z Irakijczykami, z wypranym mózgiem, pewna, że imam Zaman pośpieszy im na ratunek, a w każdym razie — pewna, iż zasłuży sobie na raj. Tymczasem los, który ich czeka, jest straszny. Na froncie irackim lub w Kurdystanie — bo Basidżi uczestniczą także w represjach skierowanych przeciwko plemionom kurdyjskim, walczącym o autonomię — posyła się ich na pierwszą linię, wystawiając na najcięższe ciosy, lub rzuca do najbardziej szalonych ataków, na jakie może się zdobyć piechota.

— Chomeini wysyła ich tam — powiedział Irandochte, pewien dorosły żołnierz irański — **gdyż nawet osioł odmówiłby pójścia w taki sposób na śmierć.**

Ci, którzy uchodzą z życiem — a nie jest ich wielu — trafiają do niewoli. Jest ich dzisiaj kilka tysięcy, stłoczonych w obozach jenieckich w Iraku. W jednym z nich Irandochte widział się z około dwustu małymi jeńcami — najczęściej zamkniętymi w sobie, milczącymi, pełnymi wrogości. Gnębi ich poczucie winy, że nie zostali zabici; wstyd, że nie spełnili świętego obowiązku.

— Jestem Basidżi — mówi 13-letni chłopiec. **— Moje życie nie ma znaczenia.**

Drugi ma 16 lat. Przy rozmowie asystuje, iracki strażnik. Jednak chłopak nie boi się krzyczeć w jego obecności.

— Musimy zabijać wrogów islamu. To Irakijczycy nas zaatakowali. To oni pozabijali naszych ojców, braci, siostry. Za każdego zabitego Irańczyka musimy zabić czterech Irakijczyków. Tak powiedział Imam. Musimy ich zabić... Musimy ich zabić...

Co robić z tymi dziećmi, których Chomeini nie chce z powrotem? **Boi się** — mówi Irandochte. **— Boi się, że kiedy wrócą do Iranu, mogą powiedzieć prawdę. Że cud z Imamem Zamanem nie wychodzi i tyle innych rzeczy....**

Te doskonale i przerażające wytwory chomeinizmu nie są już — w oczach swoich panów — warte więcej, niż zapalniczki jednorazowego użytku: kiedy płomień w nich wygasa, wyrzuca się je bez żalu.

JACQUES BUOB
SAFA HAERI
(„L'Express")

Co robotnicy mówią o 1 Maja

Dokończenie ze strony 1

nich to przede wszystkim okazja do odpoczynku po pracy, od myślenia o normalnych kłopotach i zmartwieniach. Tym bardziej drażni sztampa, sztywność i fałsz. Może tu tkwi źródło paradoksu, że w dniu święta pracy, ludzie nie chcą myśleć o pracy?

W ŚWIĄTECZNY DZIEŃ — ZABAWA

LECHOSŁAW ŁAPKA: — Każdy świąteczny dzień ma w Polsce inny klimat. Są święta rodzinne, są państwowe, a 1 Maja to jest święto rodziny robotniczej. Oczywiście obchodzą je wszyscy ludzie pracy, ale właśnie dla robotników to jest święto szczególne. Niech więc będzie tak, jak w dniu uroczystości rodzinnej. Spotykamy się w odświętnych ubraniach, żeby zobaczyć dawno nie widzianych bliskich. Jest okazja, żeby ci, co mijają się w pośpiechu, w biegu na różne zmiany, do kolejki, do tramwaju, mieli nareszcie czas pogadać, powspominać, ponarzekać.

ZBIGNIEW BOROWIAK: — Myślę, że sedno tradycji tkwi w tym, że 1 Maja nie musi wcale być świętem „kuczci", może raczej mieć bardziej pasującą do naszych, współczesnych warunków formę święta ludowego.

ALICJA IDZIKOWSKA: — To jest znakomita okazja do pokazania codziennej pracy w różnych zakładach, no i do pochwalenia się dorobkiem kultury robotniczej. Mogłyby to być małe wystawy osiągnięć, ale nie od początku istnienia, tylko od ostatniego 1 Maja. Co zrobiliśmy, co ulepszyliśmy, co się udało, co nie. I nie tylko sukcesy w produkcji, ale i rzeczy nieudane, te, które jeszcze trzeba poprawić, zmienić. Można byłoby prezentować w tym dniu efekty pracy robotniczych chórów, teatrów, domów kultury. Teraz przyszły ciężkie czasy na domy kultury, my sami oddaliśmy nasz dom zakładowy pod opiekę dzielnicy, ale przecież nic się nie skończyło, kultura istnieje, ludzie dalej mają swoje zainteresowania. Każda dzielnica mogłaby przedstawić dorobek modelarzy, plastyków, muzyków, tych wszystkich, którzy mogą świadczyć, że robotnicy umieją nie tylko pracować, ale i tworzyć. 1 Maja w ogóle mógłby stać się dniem kultury robotniczej. Wszyscy mieliby okazję zobaczyć, może nawet kupić prace swych kolegów, podyskutować, pokrytykować, być wśród swoich.

PIOTR KRAMER: — I jeszcze jedno — wydaje mi się to ważne dla samego upowszechniania sensu i wartości święta pracy. — Nie dzielić się w pochodzie, czy na wiecu na odrębne zakłady. Widziałbym to jako wspólną manifestację robotników, niezależnie od rodzaju branży, czy firmy.

WRÓCIĆ DO AUTENTYZMU

ZDZISŁAW WLAŹLIK jest już na emeryturze, po ponad trzydziestoletniej pracy w słynnej Widzewskiej manufakturze. — Przede wszystkim — mówi — my, starzy powinniśmy uczyć młodych i najmłodszych naszych robotniczych tradycji. Jeśli dziś młodzi niechętnie nas słuchają, to niekoniecznie dlatego, że są zapatrzeni tylko we własny czubek nosa, choć i takich nie brakuje. Może to my nie umieliśmy dobrze przekazać własnych doświadczeń? Zresztą, co tu dużo mówić, wielu starych fachowców uciekło na wcześniejsze emerytury, bo miało już dość. Nie tylko ciężkiej pracy, ale i stosunków, atmosfery premiowania cwaniaków, bałaganu i całej tej rozdętej administracji. Wielu myśli tak — teraz niech się młodzi szarpią, ja swoje zrobiłem. Może zabrakło nam siły i umiejętności przebijania się przez skorupę obojętności, głupoty, pazerności? Nie wiem i wcale mi nielatwo myśleć, że odszedłem z fabryki nie zrobiwszy wszystkiego, co chciałem zrobić.

Rodzinne święto

Tradycja święta pierwszomajowego dla mnie zawsze to była duża rzecz, bo chowałem się na naukach ojca, no i sam zaczynałem pracę w 1940, za Niemca. Pamiętam, co opowiadał ojciec o przedwojennych czasach. Pracował także w tych samych zakładach (wtedy mówiło się „u Khona"). Nawet, gdy pod bramą fabryki stały setki bezrobotnych, gotowych przyjąć każdą, byle jaką pracę, gdy robotnik mógł stracić miejsce w każdej chwili, nawet wtedy 1 Maja nie pracował nikt. To była święta rzecz. Wszyscy, z różnych fabryk spotykali się odświętnie ubrani i szli do parku (na Zdrowiu), bo to było miejsce upamiętnione walką robotników w rewolucji 1905 roku. Tam śpiewało się pieśni robotnicze, oddawało hołd poległym, bywały przy tym nierzadko starcia z policją, to fakt, ale dzień był świętem. Często też manifestacje robotnicze wychodziły z Wodnego Rynku, tam były przemówienia przywódców, śpiewało się. A potem były spotkania towarzyskie, zabawy na powietrzu. Rozmawiało się o życiu, o pracy i o tym, że musimy walczyć o nasze ludowe państwo. W takiej tradycji rosłem i pamiętam nędzę robotniczych mieszkań w blokach fabrycznych i szacunek, jaki miało się dla pracy. Bo praca to był chleb, bezrobocie oznaczało głód i poniewierkę. I jeszcze krótko po wojnie był ten sam nastrój radości i nadziei. Nędza była w rodzinach żałoba, ale ludzie brali się do roboty z zapałem, bo wierzyli, że budują dom dla siebie i swoich dzieci. Potem z latami zaczynało brakować wiary i radości, zaczynał się fałsz i pompa.

Przed wojną ciężko było wyżyć, ale ludziom jakby łatwiej przychodziła życzliwość, wzajemna pomoc, wspólna zabawa. Razem żyli, dzielili ten sam los. A dziś? Pracownicy tej samej fabryki, po robocie rozjeżdżają się po całej Łodzi, od Chojen po Teofilów. Nikt nie ma czasu, każdy się spieszy, do kolejki, do domu. I dlatego nawet ludzie pracujący obok siebie całymi latami, często w ogóle się nie znają, nie mają kiedy pogadać, pobyć razem. Dlatego 1 Maja musi być okazją, żeby spokojnie i bez pośpiechu zejść się, zobaczyć starych znajomych, poczuć się we własnej gromadzie. W końcu mało kiedy robotnicy z różnych zakładów mogą się nawzajem spotkać i powymieniać doświadczenia, podzielić się kłopotami. A to swoje święto muszą mieć na to czas.

I nie oszukujmy się, było i tak, że ludzie bali się nie pójść, żeby nie podpaść majstrowi, żeby sekretarz nie przywarzył i — broń Boże — nie zaczął człowieka szarpać „za światopogląd". A jak już własne święto ma być dla robotnika obowiązkiem, to cześć pieśni. Tradycji nie ma i szacunku dla święta nie ma.

Ja jestem stary partyjniak, niejedno już widziałem i powiem, że to partia ma obowiązek wobec klasy robotniczej i całego społeczeństwa, odbudować wielkość tego święta, przywrócić mu wartość. Ale nie w oprawie, a w sercach ludzi. Jak 1 Maja znowu stanie się rodzinnym spotkaniem robotników przy świątecznej okazji, gdzie się będzie szło z przyjemnością i bez musu, wtedy będzie dobrze. Do tego celu prowadzi tylko jedna droga. Przywrócić szacunek dla uczciwej, rzetelnej roboty. Jak patrzę na te wszystkie kanty i głupoty, to mnie skręca. Jak ma się młody przy maszynie nauczyć porządnej roboty, kiedy widzi, że niedouczona „piszpanna" w biurze zarabia więcej niż on, i nic nie robi?

MAŁA RZECZ A MOŻE CIESZYĆ

O jednym jeszcze chciałbym powiedzieć. Po wojnie narodziła się bardzo wartościowa tradycja czczenia 1 Maja nową ulicą, fabryką, przedszkolem. Pomysł piękny, ale z czasem coś się zaczęło prać w praktyce. Ileż to było kpin z tego pucu na dzień przed otwarciem, z tego malowania trawy na zielono, podlizywania się władzom z centrali. Robiła się w człowieku zła krew i już wszystko traktował jak fasadę. A nie można by było na 1 Maja wyszykować na przykład 50 punktów szewskich, albo punktów naprawy sprzętu domowego, albo zasadzić 100 arzewek na osiedlu? Można by kiedyś to było w „1 MAJU" przygotować na terenie fabryki zakład kosmetyczny z zapleczem kąpielowym dla robotnic? Blisko, bez kolejek i wychodzą z bramy jak bombonierki. Jest przecież tyle do zrobienia, tyle marnotrawstwa dokoła, że przez najbliższe 50 lat mamy co robić. I takimi zwykłymi, służącymi zwykłym ludziom sprawami można świętować 1 Maja. Ciekaw jestem, czy doczekam czasów, kiedy nie będzie wielkiej fety, ale za to będzie nowa oczyszczalnia ścieków, albo ktoś dla uczczenia święta pracy rozwiąże problem makulatury i butelek. Myśmy się głupio nauczyli, że wielkie okazje trzeba czcić wielkimi wydarzeniami, a powinno być na odwrót. Wielkie święto — zrobiliśmy małą rzecz, ale za to taką, która oszczędzi ludziom czasu, nerwów i pozwoli się z całego serca cieszyć pięknym Świętem Pracy.

Notowała:
JOLANTA WROŃSKA

Przyznam się, że nie dowierzam tym, co zachęcają mnie do czegokolwiek — wyłącznie dla pozyskania mnie przeciwko czemuś innemu. Pamiętam z dawnych czasów szkolnych, że panowała wówczas taka moda, czy może poza, że trzeba było być albo „za" Mickiewiczem, albo „za" Słowackim, jakby nie wolno było lubić poetów różnych i dobrych, nie dyskryminując jednego dla drugiego.

Co innego oczywiście z naszym stosunkiem do postaci politycznych, działających z sobą współcześnie, a reprezentujących zwalczające się lub wykluczające orientacje polityczne. Toteż zupełnie absurdalna wydaje mi się jednoczesna adoracja Piłsudskiego, Dmowskiego, Sikorskiego, Witosa, Niedziałkowskiego, nie można bowiem godzić z sobą sił politycznie sprzecznych, chyba że doraźnie, w sytuacji wyjątkowego i bezpośredniego zagrożenia bytu narodowego (jak we wrześniu 1939 r.)

Pozornie łatwiej z postaciami z historii odleglejszej, które kiedyś, oczywiście, budziły sprzeczne emocje, z czasem jednak stały się ogólnonarodowymi symbolami. Ot, choćby Kościuszko. Kto z dzisiejszych Polaków, bez względu na swoje obecne sympatie polityczne, byłby przeciwko „naczelnikowi w sukmanie"? Demokrację na ustach mają wszak wszyscy. A przecież Kościuszko to rzeczywisty lub domniemany „jakobin", czyli po dzisiejszemu... bolszewik! A więc czy ten, komu nie pachnie dziś socjalizm, ma prawo wciągać na swój sztandar Kościuszkę i wymachiwać nim przeciwko o pokolenia późniejszym przywódcom polskiego ruchu rewolucyjnego?

Najdogodniejszej sposobności do demagogicznego szermowania historycznym rodowodem dostarcza zestawienie z sobą wydarzeń występujących w niejednakowym czasie. Toteż trzeba się dobrze zastanowić, nim się rozstrzygnie, czy mieszczą się one w jednym nurcie dziejów, czy też należą do nurtów sprzecznych. Dlaczego dziś o tym? Bo niektórzy wymachują od wielu już lat 3-majowym sztandarem, jako symbolem tych wartości, które, w ich mniemaniu, są całkowicie sprzeczne z obowiązującym w Polsce ustrojem społecznym.

Sądzę, że ci, którzy tak czynią, nie są prawdziwymi ideowymi spadkobiercami Majowej Konstytucji i tego wszystkiego, co ona z sobą niosła. Była ona bowiem śmiałym choć nie do końca konsekwentnym, krokiem reformatorskim, zmierzającym do likwidacji pozostałości feudalizmu, torującym drogę do pełniejszego uczestnictwa w życiu społecznym nowym warstwom, i w tym głównie sensie (nie zaś wyłącznie w parlamentarnym) miała ona charakter demokratyczny.

Chętnie niektórzy dziś o tym zapominają, jakie siły społeczne miała Konstytucja Majowa przeciwko sobie: zwolenników „złotej wolności" szlacheckiej, wolności do ekonomicznego wyzysku chłopów, a ponadto wolności do anarchistycznego przeciwstawiania się nadrzędnym racjom

Majowi przebierańcy

państwowym. W tym rozumieniu dzisiejsi sympatycy anarchii są rzeczywistymi spadkobiercami ideowymi szlacheckiego warcholstwa.

Oczywiście, gdy Polska utraciła niepodległość, wszyscy po jakimś czasie zaczęli się powoływać na tradycje 3 Maja. Nie wszyscy od razu, bo niektórym jeszcze przez długie lata marzyła się Polska przedrozbiorowa w przedkonstytucyjnym kształcie, Polska feudalnego przywileju stanowego, a póki co najpewniejsze gwarancje dla zachowania swojej pozycji społecznej upatrywali pod berłem zaborczych monarchii. Więc kto był „krew z krwi i kość z kości" Konstytucji 3 Maja w powstaniu listopadowym i styczniowym — konserwatyści czy radykałowie, „biali" czy „czerwoni"?

Dopiero w końcu ubiegłego stulecia, gdy mimo zaborów nie ocalało już nic z pańszczyzny, żadna nawet nadzieja na powrót do feudalnych stosunków nie mogła zaświtać w kapitalistycznie już przeobrażonej Europie, a potomkowie szlachty, jeśli się nie spauperyzowali, stali się de facto burżuazją i, na domiar złego, odezwały się pod nowymi hasłami 1 Maja rewolucyjne wstrząsy, wtedy dopiero „Trzeci Maj" stał się zawołaniem wszystkich „patriotycznie" myślących rodaków. Cudzysłów odnosi się do tych, którzy właśnie zaczęli się gromadzić i manifestować nie gwoli uczczenia postępowej tradycji trzeciomajowej, lecz dla przeciwstawienia jej 1-majowym treściom i symbolom.

I z tym weszliśmy w międzywojenne, niepodległe dwudziestolecie — z zalegalizowanymi i popieranymi przez władzę rocznicami i pochodami 3 Maja oraz nielegalnymi przeważnie i rozpędzanymi demonstracjami 1-majowymi klasy robotniczej. Wtedy zresztą, kiedy powrót do skromnych reform Konstytucji Majowej byłby już anachroniczny, gdyby nawet był realny. Ale ta uzurpacja trzeciomajowej tradycji przez prawicę wytworzyła skuteczną mistyfikację o dość szerokim zasięgu, stała się udaną próbą wypaczenia świadomości historycznej narodu, w czym celowała konserwatywna endecja wmawiająca drobnomieszczaństwu że jest ono wraz z ziemiaństwem ostoją „narodowych wartości", zagrożonych przez ruchy robotnicze i ludowe.

Tylko światlejsza, bardziej świadoma część społeczeństwa zachowała niezachwiane przeświadczenie, że każdy ruch postępowy społecznie jest spadkobiercą i kontynuatorem (w zmienionych warunkach, a więc i z nowym programem) poprzedzających go idei i ruchów postępowych. I taka jest dialektyka historii.

Kto święci dziś 1 Maja, ten odnosi się ze zrozumieniem i sympatią do pięknej 3 majowej tradycji, ale dostrzega też, że konserwatyści wespół z anarchistami w trzeciomajowym kostiumie prezentują się mało efektownie, jak żałośni przebierańcy.

JERZY KWIECIŃSKI

Przewrót myśli

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

W dziejach narodów i państw są wydarzenia i daty, które na **trwałe stają się tradycją, do której** nawiązują zmieniające się **pokolenia.** Wokół wydarzeń narasta legenda, lecz ona także odgrywa rolę postępową, umacnia bowiem poczucie jedności narodowej, niweluje różnice postaw, umacnia poczucie konieczności rezygnacji z nieistotnych rozbieżności w imię celu nadrzędnego — dobra ojczyzny.

Rocznica **3 maja 1791 r.** stała się świętem jedności narodu, **obchodzona** była w mrokach niewoli, zachęcała do patriotycznej **wytrwałości, przypominała, że „ta co nie zginęła, jednak powstanie".**

W oparciu o wydarzenia lat niewoli Sejm Ustawodawczy w **1919 r. uznał** dzień 3 maja za święto państwowe.

W warunkach okupacyjnego terroru ruch oporu wszelkich odcieni akcentował rocznicę majową. Tego dnia w Warszawie i innych miastach Generalnej Guberni znajdowano wiązanki biało-czerwonych kwiatów przy pomnikach chwały narodowej oraz na grobach żołnierzy września. W 1940 roku właśnie 3 maja rozpowszechniono nielegalny „dekalog obywatelski" — swoisty kodeks postępowania i zachowywania się w warunkach okupacji.

W latach 1941, 1942, 1943 i 1944 Polska Walcząca czciła dzień **3** maja szeregiem patriotycznych manifestacji. Ukazywały się w miejscach pamięci narodowej wiązanki kwiatów, a nawet wieńce z szarfami o barwach narodowych, rozrzucano ulotki przypominające znaczenie Konstytucji 3 Maja; prasa podziemna, bez względu na zabarwienie polityczne, poświęcała rocznicy wstępne artykuły.

Duże poruszenie wywołała audycja nadana 3 maja 1943 r. o godz. 18 przez nieczynny megafon uliczny na pl. Wilsona w Warszawie (obecnie Plac Komuny Paryskiej). Ostatnią okupacyjną rocznicę 1944 r. odnotowano artykułami w prasie konspiracyjnej, pogadankami na kompletach tajnego nauczania, umieszczaniem w różnych punktach Warszawy chorągwi o barwach narodowych (m. in. na ruinach Zamku Królewskiego).

W pierwszych latach Polski Ludowej również obchodzono rocznicę 3 Maja; w szkołach organizowano zebrania i sesje specjalne, odnotowywała wydarzenia 1791 roku skrupulatnie prasa i czasopisma. Potem przyszło zapomnienie. Włączono tę rocznicę do obchodów oświaty, prasy i książki; akcentowano nie tyle uchwalenie konstytucji, ile **utworzenie Komisji Edukacji Narodowej** — pierwszego państwowego ministerium oświaty i edukacji w skali światowej.

Jeśli dziś będziemy analizować postanowienia **Konstytucji 3 Maja** okażą się one nader skromne. Nowa Ustawa Zasadnicza nie zmieniła feudalnego ustroju ówczesnej Polski. Szlachta nadal pozostawała klasą panującą i uprzywilejowaną, natomiast zmieniał się kształt Rzeczypospolitej. Stawała się ona państwem zdolnym (w razie zrealizowania postanowień konstytucji) do stawiania czoła niebezpieczeństwom zewnętrznym.

Państwo szlacheckie przeżyło już pierwszy rozbiór (1772 r.), ale potrzebowało kilkunastu lat, by wyciągnąć z tego faktu wnioski polityczne, ukształtować obóz walczący o postęp, rozpocząć współdziałanie z mieszczaństwem, dojść do przekonania o konieczności reform. Wciągano w wir życia politycznego bardziej oświecone kręgi mieszczaństwa. Poprzez reformę systemu oświatowego dążono do rozszerzenia kręgu ludzi myślących kategoriami państwowo-narodowymi. Jeszcze nie odważono się postawić celu, który sformułuje **Tadeusz Kościuszko** mówiąc w 1974 roku: **„Nasz cel naczelny, by wszystkich ludzi uczynić obywatelami"**

W latach walki o nowy kształt państwa w wir zagadnień państwowych wciągnięto stosunkowo niewielką część mieszkańców kraju — szlachtę, niższe duchowieństwo, bardziej oświecone i aktywne w życiu gospodarczym kręgi mieszczaństwa, nieliczną wówczas warstwę urzędniczą. Masy chłopskie, przytłoczone feudalnym uciskiem i wyzyskiem, rozpijane w karczmach dworskich, stanowiły bezkształtny pod względem politycznym żywioł, dla którego obce były takie pojęcia jak: ojczyzna, patriotyzm, prawa obywatelskie.

Sejm czteroletni (1788—1791), obradujący pod znakiem konfederacji, a więc chroniony przed zgubnym liberum veto i nie ograniczony czasem trwania, przyczynił się do polaryzacji klasy szlacheckiej. Było jeszcze zbyt wcześnie na powstanie partii w naszym znaczeniu tego słowa, ale zarazem ostatnia chwila dla wypracowania ogólnego programu zmian, zmierzających do ratowania państwa. Siły staroszlacheckiego warcholstwa, umiłowania „złotej wolności", bynajmniej nie były małe i rozporządzały ogromnymi środkami materialnymi.

Cztery lata trwała walka o wypracowanie konstytucji, a w decydującej chwili trzeba było chwycić się środków nadzwyczajnych, działań przez zaskoczenie i osłonić się demonstrującym ludem warszawskim i wojskiem.

Do walki o pozyskanie umysłów dla dzieła reform włączyli się najwybitniejsi myśliciele polskiego Oświecenia **(Stanisław Staszic, Hugo Kołłątaj, Adam Naruszewicz),** najtęższe pióra **(Julian Ursyn Niemcewicz, Ignacy Krasicki, Franciszek Zabłocki).** Powstało swoiste centralne biuro propagandy patriotycznej, jakim była **„Kuźnica Kołłątajowska",** skupiona przy Kołłątaju, współpracująca z mieszczaństwem warszawskim, a poprzez pisma ulotne i broszury oddziaływująca nie tylko na młodzież szlachecką, ale i na większe ośrodki miejskie, takie, jak: Kraków, Lublin, Wilno czy Poznań.

„Kuźnica" skupiła najlepszych publicystów polskich, którzy bezlitośnie atakowali okopy wstecznictwa i prywaty. **Franciszek Jezierski, Franciszek Ksawery Dmochowski, Jan Dembowski,** ksiądz **Meier** i in. kładli podwaliny pod nowoczesną publicystykę polityczną. Obóz wstecznictwa nie miał ani zdolnych piór, ani ważkich kontrargumentów. Za to szastał magnackimi pieniędzmi, byle utrzymać przy sobie drobną szlachtę i spekulacyjne elementy spośród mieszczaństwa.

Sytuacja międzynarodowa odciągała uwagę mocarstw sąsiednich od zagadnień polskich w latach Sejmu Wielkiego. Ale w 1791 r. Katarzyna II zakończyła zwycięsko wojnę z Turcją. Prusy przeszły z pozycji neutralności do aktywnie wrogiej polityki wobec Polski. Znowu zwachały one możliwość łupu zanim nie będzie za późno, zanim Polska zrealizuje uchwały sejmowe o aukcji wojska.

Obóz patriotyczny, który pozyskał w tym czasie dla swych planów **króla Stanisława Augusta** rozumiał, że trzeba działać szybko, nawet po drodze zamachu stanu. Patrioci postanowili w ciągu jednego dnia obrad po przerwie wielkanocnej przedłożyć i uchwalić zredagowany pospiesznie cały tekst ustawy zasadniczej.

3 maja 1791 r. przy asyście oddziałów wojskowych oraz tłumów ludności zgromadzonych wokół Zamku Królewskiego, łamiąc w czasie sesji opór i prowokacje posłów konserwatywnych, patriotyczna większość uchwaliła przedstawiony tekst wśród entuzjastycznych oklasków i okrzyków przepełnionej galerii.

Większość sejmujących poszła za głosem posła lubelskiego **Stanisława Potockiego,** który zaklinał: **„aby odrzuciwszy wszelkie zwady, uwieńczyć dzień dzisiejszy zgodą i jednomyślnością powszechną uchwalając Konstytucję".**

Poseł Zabiełło zaproponował, by król natychmiast zaprzysiągł Konstytucję oddając w ten sposób za nią pierwszy głos. W uroczystej scenerii wśród wiwatów, ale i okrzyków sprzeciwu **Stanisław August** powtórzył dobitnie słowa przysięgi odczytywanej przez biskupa krakowskiego. Wnet potężny okrzyk: **„Niech żyje konstytucja"** stłumił protesty. Okrzyki sali podchwycił tłum przed Zamkiem. Wiwaty na cześć sejmu, króla, narodu rozbrzmiewały na Starym Mieście. Wieczorem iluminowano domy, a w teatrze wystawiono „Powrót posła" — Niemcewicza.

Postanowienia Konstytucji 3 Maja nie zmieniły dotychczasowego charakteru państwa, ale wykreśliły te elementy życia parlamentarnego i politycznego, które gwarantowały staroszlacheckie warcholstwo. Tron stawał się dziedziczny, zniesiono liberum veto, władze wykonawcze uzyskały znacznie szersze niż dotychczas uprawnienia, wprowadzono do Sejmu deputowanych mieszczańskich z głosem rozstrzygającym w sprawach miast, a doradczym w innych.

Mieszczanie uzyskali prawo nabywania dóbr ziemskich, dostęp do stopni oficerskich, a jako oficerowie otrzymywali szlachectwo. Mieszczanie, posiadacze dóbr ziemskich mogli być **„do zaszczytu szlacheckiego dopuszczeni",** a nadto Sejm miał nobilitować corocznie pewną ilość mieszczan. Przerzucono więc pomost poprzez dotychczasową przepaść stanową, lecz nie kosztem zrównania stanów, ale wchłaniania najbardziej aktywnych elementów mieszczańskich przez nadal uprzywilejowaną szlachtę.

W sytuacji chłopów nie zaszły jakieś istotne zmiany. Konstytucja wzięła klasę chłopską pod niesprecyzowaną bliżej **„opiekę rządu krajowego"** i nadała moc prawną wszelkim umowom zawieranym między dziedzicem a chłopem. Ważne, że w akcie zasadniczym znalazły się słowa poświęcone chłopom — zapowiedź dalszych przekształceń społecznych.

Współcześni określili Konstytucję 3 Maja jako **„przewrót myśli",** otwartą furtkę do dalszych przekształceń ustrojowych. Ważne, że rozbudziła ona patriotyzm, proklamowała konieczność ponoszenia ofiar na rzecz ojczyzny, zrezygnowania z interesów partykularnych na rzecz interesu ogólnonarodowego.

W miarę zmian w sytuacji międzynarodowej, objawienia się nowych myśli społeczno-politycznych, rewolucji przemysłowej, walk narodowo-wyzwoleńczych treść Konstytucji stawała się coraz bardziej archaiczna. Lecz równocześnie zachodziło inne, znamienne zjawisko. Dokument nie tracił rumieńca w zbiorowych przeżyciach narodu. Działał wychowawczo nie tylko przez swoje postanowienia o zerwaniu ze starymi wadami ustrojowymi, ale przez swój ton patriotyczny, przez wysunięcie na plan pierwszy takich pojęć, jak: człowiek, obywatel, ojczyzna, prawo.

Daleka była jeszcze droga od Polski kontusza i karabeli do Polski warsztatu i pługa, ale **na drodze formowania się nowoczesnego narodu Konstytucja jest etapem ważnym, jednym ze słupów milowych.**

Pomimo perspektywy lat postacie bojowników Sejmu Czteroletniego są nam bliskie i nadal stanowią wzorce charakterów i poświęcenia. 3 maja składamy hołd dziełu Staszica, Kołłątaja, Potockiego, Małachowskiego i armii nieznanych z nazwiska żołnierzy walki o postęp.

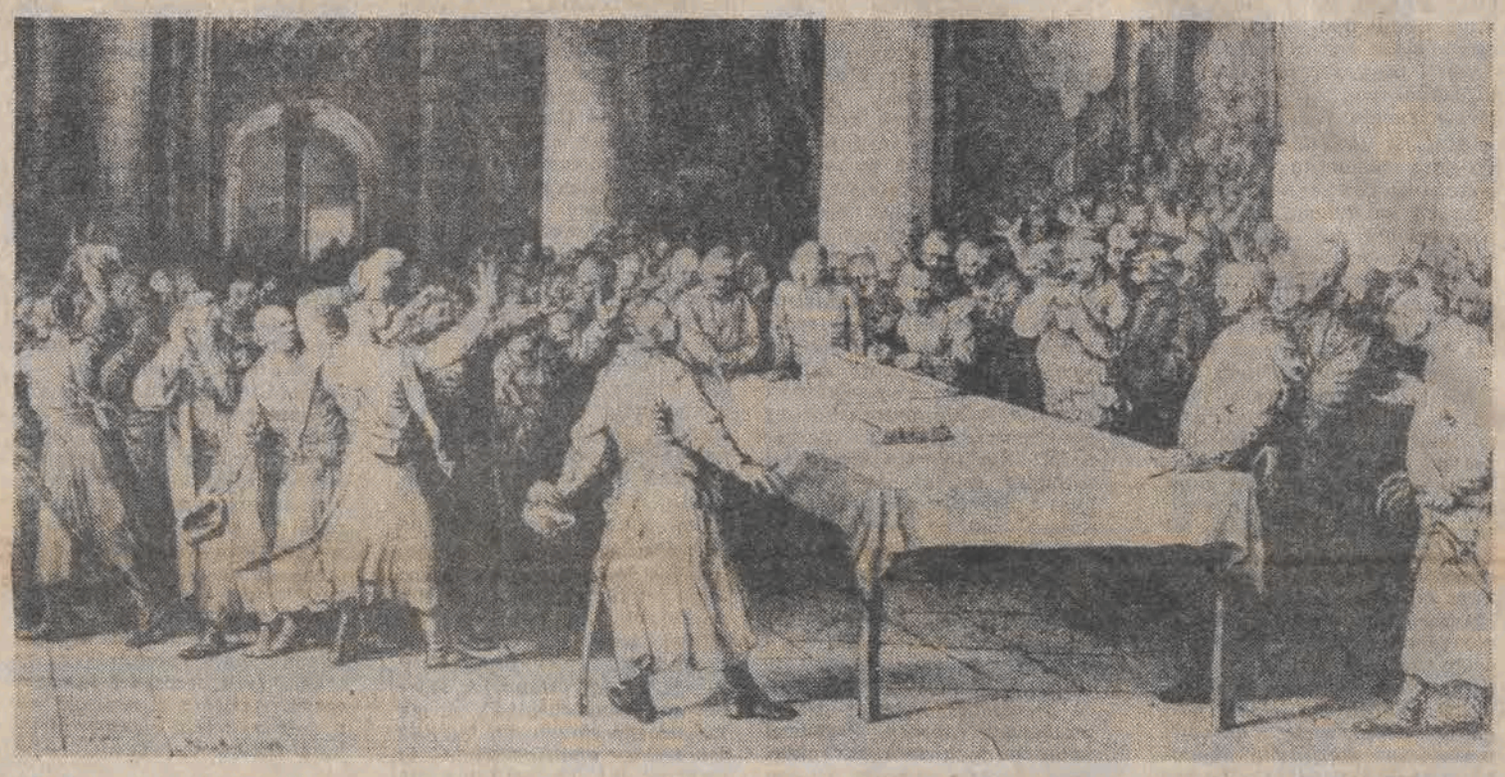

Widziane z zewnątrz

HENRYK KOCÓJ

Nie ulega wątpliwości, że Ustawa Rządowa z 3 maja 1791 była bardzo ważnym wydarzeniem dla Polski i Europy. Żywo interesowała także społeczeństwa wielu państw. Można tu mówić o dwóch rodzajach zainteresowania: bezpośrednim (czynnym) i pośrednim (wyrażającym poparcie). Bezpośrednio były zainteresowane Konstytucją 3 Maja, mocarstwa ościenne, dla których każda istotna reforma w Rzeczypospolitej była niedogodną. **Dla Rosji** nie było tak istotne czy mieszczanie zostaną zrównani w prawach ze szlachtą; czy rząd weźmie chłopów w obronę czy też nie. Natomiast interesowała ją bardzo liczebność armii polskiej, która miała wynosić 60 lub 100 tysięcy. Dla Rosji carskiej istotne było to, że reformy te mogły zagrozić jej wpływom w Warszawie. Reformy, jakie zamierzano przeprowadzić w Polsce mogły ją uczynić państwem silnym, sprawnie administrowanym, posiadającym dobrze uzbrojoną armię. Tym samym ziemie polskie przestałyby być „karczmą zajezdną".

Podobny rodzaj zainteresowania Polską przejawiały **Prusy.** Wykorzystywały one trudne położenie naszego kraju. Skorzystały z faktu, że Polska potrzebowała wtedy sojusznika, na którym mogłaby się oprzeć. Prusy znając zaangażowanie Rosji i Austrii w wojnie z Turcją skwapliwie skorzystały z tej okazji, by umocnić swoje wpływy w Polsce. 29 marca 1790 roku zawarto polsko-pruskie przymierze odporne. W kręgach patriotycznych szlachty polskiej nastąpiły protesty przeciwko cenie, jaką mieliśmy zapłacić za ten sojusz. I dlatego uchwalono deklarację o niepodzielności ziem Rzeczypospolitej. Nie zgodzono się w niej na włączenie Gdańska i Torunia do Prus.

Pod koniec lat osiemdziesiątych XVIII stulecia nastąpiła także zmiana w polityce **Austrii** wobec Polski. Nowy cesarz, Leopold II, następca Józefa pod wpływem nacisków angielskich skupił swe zainteresowania polityczne na sprawach niemieckich. Istotny wpływ na osłabienie zainteresowania się Polską w Wiedniu odegrało militarne zaangażowanie się Austrii w wojnie z Turcją.

Reasumując, można stwierdzić, że mocarstwa ościenne najbardziej zainteresowane były w sposób bezpośredni i czynny w zniweczeniu wysiłków polskich. Rosja poprzez wojnę z Turcją, Prusy sojuszem, Austria silniejszym zainteresowaniem się sprawami Rzeszy. Można więc mówić o dwojakim rodzaju zainteresowania polską konstytucją. Jeden reprezentowały Prusy, Rosja i Austria, drugi natomiast to echa wydarzeń majowych 1791 roku na zachodzie Europy.

Konstytucja 3 Maja budziła na Zachodzie żywe zainteresowanie u wybitnych osobistości życia politycznego, kulturalnego jak i u zwykłych prostych ludzi. Dla nich Konstytucja 3 Maja była symbolem złotego środka między rewolucją a koniecznością reform. Koła te analizowały Ustawę Rządową jako dokument odzwierciedlający idee wolności, równości i braterstwa. Nie interesowały ich natomiast bliżej ani okoliczności opracowania tego dokumentu, a tym bardziej jego dalsze losy.

Inaczej odbierali Konstytucję Polacy, a inaczej obcokrajowcy. Dla nich samo formalne uchwalenie konstytucji było ukoronowaniem jednego etapu, a równocześnie początkiem drugiego, tj. konieczności wprowadzenia w życie i obrony jej przed Rosją. Dla Polaków walka o Konstytucję zaczęła się naprawdę dopiero z chwilą jej uchwalenia, podczas gdy dla europejskiej opinii publicznej istotne były formalno-prawne założenia nowej ustawy.

Reperkusje polskich wydarzeń 1791 roku odbiły się szerokim echem w świecie, szczególnie w Europie. I tak np. w Irlandii podczas obchodów rocznicy 14 lipca w Dublinie doszło do wielkiej manifestacji, podczas której **„przed środkową kolumną noszona była wielka latarnia, na której z jednej strony widać było dwa półkręgi ziemi; na jednym z nich w dużych przeźroczystych literach czytamy: Ameryka, na drugim Francja i Polska".**

Podobnie było w Londynie. Manifestacji odbywającej się w tym mieście towarzyszyły hasła **„Prawa ludzkości — Naród, Prawa i Król — rewolucja francuska, bodajby prawdziwa wolność obywatelów jej była nieśmiertelną — Szczęśliwa rewolucja polska".**

Imię Polski stało się synonimem dążeń niepodległościowych, buntu przeciwko tyranom, niekrwawej rewolucji. Pojawiało się ono na ustach ludzi z różnych grup społecznych. Te krótkie notatki, jakie spotykamy w prasie tego okresu **„pouczają więcej, niż może niejedna nota dyplomatyczna sfer oficjalnych o szumnych, lecz nieszczerych frazesach gratulacyjnych".**

Echa wydarzeń polskich z lat 1788—1791 znajdujemy także w Amsterdamie. Tak oto pisze o nich „Gazeta Narodowa i Obca" z 17 sierpnia 1791 roku.

„Najjaśniejszy Królu! Przejęci z całą Europą zadziwieniem nad rewolucją równie szczęśliwą, jak dobroczynną, którą W.K. Mość i sejm Polski uskuteczniliście, szukamy sposobu, jakim by uwiecznić to wielkie zdarzenie i tym końcem nakłoniliśmy P. Holtzhey'ego sławnego artystę, ażeby wybił medal".

Największe zainteresowanie sprawami polskimi miało miejsce **we Francji.** Mimo, iż reperkusje te były o wiele silniejsze niż w innych krajach, rzadko były dla nas w pełni przychylne. Opinie te były bardzo różnorodne. Od nam przychylnych aż do całkowicie wrogich. Jako pierwszy przykład można tu przytoczyć fragmenty listu G. Moniera, prezydenta miasta Tain:

„(...) daliście świeżo przykład wielkomyślności i sprawiedliwości, przywracając ludowi polskiemu niezmierzone prawa przyrodzenia, wolności (...), zgromadzenie przyjaciół Konstytucji w mieście Tain prosi was abyście je chcieli rachować w liczbie tych, którzy was wielbią. Chciejcie złożyć królowi Polaków, opiekunowi honoru i sprawiedliwości hołd naszego uszanowania i podziwienia. A wy panowie przyjmijcie śluby, które zasyłamy do najwyższej istności dla podziwu narodu polskiego".

Wydawca „Gazety Narodowej i Obcej" donosi:

„Wszyscy tu (tj. w Paryżu) **zazdroszczą Polakom spokojności i zgody, z któremi tak wielka odmiana w ich rządzie się stała, życzą bo lubią tu Polaków, może wyżej nad wszystkie inne narody".**

Ogólnie w Paryżu przeważały opinie utrzymane w duchu nam wrogim. Na przykład Abdallah Menou uznał w Konstytuancie 24 maja 1791 **„rewolucję polską za piękne urojenie".** W inspirowaniu i podsycaniu wrogiej propagandy wobec naszej Konstytucji istotną rolę odegrał działający w Paryżu poseł Katarzyny II Simolin. Dzielnie sekundowali mu agenci Szczęsnego Potockiego i szpiega pruskiego Ephraima.

Nic przeto dziwnego, że francuska opinia o Konstytucji 3 Maja (rojalistyczna jak i jakobińska) formułowała swoje sądy głównie pod wpływem sprężyn wrogiej Polsce propagandy państw rozbiorowych. Propaganda ta wspierana obficie dukatami wciskała się do klubów i sekcji paryskich. I tak np. „Gazette d'Europe" **„uważała dzieło Sejmu Wielkiego za głęboko niemoralne".** Tego typu paszkwili było wiele.

Konstytucja 3 Maja została wysoko oceniona jako dokument, a podziw wzbudzał pokojowy charakter rewolucji, która doprowadziła do jej powstania. Przychylnie odnosiła się do Konstytucji europejska opinia publiczna. Natomiast mocarstwa ościenne zaciekle zwalczały Konstytucję, widząc w niej groźbę dla swych wpływów w Polsce. Mimo słownego poparcia Europa nie uczyniła praktycznie nic, by w sposób czynny pomóc Polakom.

W Harnamie tańczą mimo kryzysu

Dokończenie ze strony 1

zajmowane niegdyś przez Marię Szkudlarek, czyli jest dyrektorem — bo tu się nie można wyizolować nie ma gabinetów, sekretarek, wszyscy robią wszystko, co potrzeba i jakoś to idzie do przodu.

ANDRZEJ KLINOWSKI przyszedł do zespołu w 1953 roku. Był wówczas młodym nauczycielem geografii. Przyszedł, aby tańczyć. I został. Najpierw więc tańczył, później był zastępcą Marii Szkudlarek, teraz jest jej następcą. Ale Maria Szkudlarek nie opuściła swego domu kultury, choć przeszła już na zasłużoną emeryturę. Przychodzi i pomaga. Radzi, załatwia. Teraz zastępca Andrzeja Klinowskiego jest **STANISŁAW KRYŃSKI.**

— Tu wszyscy wyrośli z zespołu — mówi — a ja jestem obcy. Dowiedziałem się przez znajomych, że w Harnamie jest wolne miejsce. Więc się zgłosiłem. I musiałem najpierw zdać jedyny w swoim rodzaju egzamin. Zapytano mnie mianowicie, czy potrafię zaparzyć herbatę lub kawę. Odpowiedziałem, że potrafię. To kazano mi zaparzyć. Zrobiłem i okazało się, że jak sobie umiem z tym poradzić, to i z resztą też dam sobie radę. I tak się stało. Wżeniłem się zresztą w zespół. Teraz tańczy moja córka, a żona prowadzi zespoły dziecięce. Sam też zresztą trochę tańczyłem.

Bo w Harnamie — co godne jest podkreślenia — naukę tańca rozpoczyna się od dziecka. Tu nie ma „naboru" jak w innych zespołach. Przeciwnie — harnamowcy zasilają te inne, jak choćby Mazowsze czy Śląsk. Zresztą, kiedy zakładano Mazowsze zabrano tam kilkoro harnamowców jako zaczyn, trzon przyszłego zespołu. Kiedy w 1972 roku rozmawiałam z Marią Szkudlarek, zapytałam ją o receptę na sukces. Usłyszałam, że powodzenie zespołu Harnama zależy właśnie od tego, że panuje tu iście rodzinna atmosfera, że tańczą już dzieci tych, którzy już taniec porzucili, że tańca uczy się od małego. Ta zasada obowiązuje do dziś. Obecnie jest 5 zespołów dziecięcych. Zdolniejszych, wyróżniających się tancerzy przesuwa się do grup wyższych, aż dojdą do zespołu reprezentacyjnego.

— Czy są wśród nich pracownicy zakładu, ich dzieci?

— Różnie to się układa — odpowiada **Andrzej Klinowski.** — Do zespołu przychodzą dzieci z różnych rejonów Łodzi. Dzieci naszych pracowników również. Są też i pracownicy. Ale często tak bywa, że dziecko zaczyna tańczyć, dorasta, przechodzi do wyższej grupy, kończy szkołę, studiuje i nadal tańczy. Układa sobie życie zgodnie z własnymi aspiracjami i jego droga wcale nie musi prowadzić do ZPB im. Szymona Harnama. A nawet jak w zespole zacznie tańczyć dziecko, to jego droga życiowa nie musi również prowadzić przez naszą fabrykę. Do zespołu przyjeżdżają młodzi nawet z Brzezin. Mówię nawet, gdyż w ubiegłym roku, kiedy były utrudnienia, przyjezdni musieli wystarać się o specjalne przepustki, aby mogli przyjeżdżać na próby.

— A zakład? Co ma z tego załoga?

— Proszę, bardzo — mówi **Andrzej Klinowski** i podaje mi program koncertu jubileuszowego, który ma się odbyć 23 kwietnia 1983 roku w Teatrze Wielkim. Na odwrocie pomieszczona jest opinia dyrektora ZPB im. Sz. Harnama — inż. **ZDZISŁAWA ŁUCZAKA.** Czytam tam między innymi:

„Dość powszechna jest opinia w zakładzie, że wysoki poziom artystyczny Zespołu, wieloletnia ciągłość pracy, mimo różnych warunków i klimatu dla amatorskiego szerzenia kultury robotniczej, są wynikiem pracy ludzi, którzy z ogromną pasją i umiłowaniem kierują tą działalnością.

Cieszy fakt, że artystyczne sukcesy Zespołu, powszechna sympatia widzów, tak krajowych jak i zagranicznych, wiązane są nie tylko z Zespołem Tanecznym, Domem Kultury, ale również są wizytówką dla naszego zakładu. Dlatego też, kolejne sukcesy Reprezentacyjnego Zespołu Tańca Ludowego są przyjmowane przez członków załogi naszego przedsiębiorstwa z powszechnym zadowoleniem, a opinie o „NASZYM ZESPOLE" wypowiadane z dużą satysfakcją.

Myślę, że właśnie patronat załogi przemysłowego zakładu pracy, jakim są Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Szymona Harnama, prowadzenie obok technicznego procesu produkcji działalności kulturalnej, stanowi trwałe podstawy do szerzenia kultury robotniczej włókniarskiej Łodzi, którą to działalność Reprezentacyjny Zespół Tańca Ludowego ZPB im. Sz. Harnama z ogromnym powodzeniem prowadzi już 35 lat".

— **Pięknie** — mówię i jeszcze szybciutko wynotowuję, że zespół został odznaczony Orderami Sztandaru Pracy I i II klasy, Orderem Sztandaru Pracy I klasy Socjalistycznej Republiki Wietnamskiej, Honorową Odznaką Miasta Łodzi, Medalem Towarzystwa „Polonia" i innymi — **Ale** — ciągnę zaczętą wcześniej myśl — **przecież załoga fabryki poza satysfakcją nic więcej jednak nie ma. Koncertów zespołu zbyt często nie ogląda.**

— A gdzie mamy występować? — **pytaniem odpowiada Andrzej Klinowski.** — Przecież w Łodzi w ogóle nie ma sceny, na której mogłyby występować zespoły amatorskie. Kiedyś była. W remontowanym ciągle DK. Później zrobiono tam kino. I skończyło się. Teraz, jak chcemy wystąpić, to musimy płacić za salę.

— A nie chciano was przypadkiem... zlikwidować?

— Jeśli były takie zamiary, to nikt ich jednak oficjalnie i publicznie nie miał odwagi zgłosić.

— Sądzi pan, że zawahano się przed przekreśleniem tyloletniego dorobku zespołu?

— Nie wiem.

— No dobrze. To powiedzcie mi wobec tego, skąd teraz bierzecie pieniądze na działalność domu kultury i zespołu?

Andrzej Klinowski wzdycha, a później dziwnie mi się przygląda. Stanisław Kryński uśmiecha się tylko pod wąsem. Nie wiem, z ironią czy litością.

— A może się pani napije kawy? — **pyta nagle Andrzej Klinowski.**

— Z przyjemnością, ale to i tak pana nie uratuje przed odpowiedzią na moje pytanie.

— Odpowiem, odpowiem. Tylko to jest dość złożona sprawa. Oficjalnie niby jesteśmy pracownikami zakładu. Czytała pani, co pisał dyrektor, że załoga jest z naszej działalności dumna. I to prawda. Ale prawdą jest i to, że jesteśmy opłacani z funduszu socjalnego. I teraz, gdyby nastąpiła taka sytuacja, że samorząd odmawia finansowania przez zakład działalności kulturalnej, to dyrektor musi nas natychmiast zwolnić.

— Sugeruje pan, że powinniście być zatrudnieni tak samo, jak wszyscy inni pracownicy.

— Oczywiście — **wtrąca się do rozmowy Stanisław Kryński** — i również to, że zakład powinien mieć możliwość finansowania działalności kulturalnej z odpisu, a nie z funduszu socjalnego, gdyż w gąszczu przepisów zdarzają się różne paradoksy i absurdy...

— Na przykład biblioteka — **kontynuuje tę myśl Andrzej Klinowski.** — Czy widziała pani kiedyś bibliotekę bez nowości? No właśnie, a my nie możemy kupić książek. Za każdy transport musimy płacić.

— Za stroje?

— Jeśli chodzi o stroje — **mówi Stanisław Kryński** — to na szczęście mamy spore zapasy. I ludzi, którzy się nimi nieźle potrafią opiekują. Myślę o **Celinie Woźniak** i **Janinie Golis.** Obie związane są z zespołem od wielu lat. Pani Celina powiedziała niedawno, że strasznie żałuje, że musiała przestać tańczyć. I łzy miała w oczach. To dzięki obu paniom koszule tancerzy i tancerek zawsze są śnieżnobiałe, a w strojach niczego nie brakuje. Bo najczęściej niszczą się wszelkie dodatki do strojów.

— I nie macie żadnych kłopotów?

— No, nie. Kłopoty mamy. — **Stanisław Kryński uśmiecha się.** — Kto dziś nie ma kłopotów? Na przykład z baletkami. Dostaliśmy partię baletek i po pierwszej próbie... rozleciały się. Byłem w Warszawie, w firmie z którą nie mieliśmy do tej pory żadnych kłopotów. Mówię im o baletkach, a oni śmieją się. Wiemy, wiemy — mówią — nie pan pierwszy i jedyny. Ale już poprawimy się. Następne partie będą lepsze. Cóż to dla mnie za pocieszenie, skoro ja na tę następną partię muszę poczekać, a teraz mam baletki do niczego niezdatne. Ale oni mnie pocieszyli. Im dłużej poczekam, tym lepsze dostanę. Bo od nich starzy fachowcy odeszli na emeryturę, a młodzi nie bardzo jeszcze potrafią, no i skóry były liche.

— Ciągle jednak nie wiem, skąd bierzecie pieniądze?

— Z różnych źródeł — **odpowiada wreszcie Andrzej Klinowski.** — Wydział Kultury nam pomaga, pomaga zakład, pomaga kto może. Z bieżącymi kłopotami jakoś sobie radzimy. I nie w tym rzecz. Tylko, że na takiej metodzie finansowania domu kultury i zespołu daleko nie wiedziemy. Nie możemy nic długofalowo planować.

— Dlatego — **dodaje Stanisław Kryński** — byłoby dobrze, gdybyśmy mogli być systematycznie finansowani przez Narodowy Fundusz Kultury. Chyba na to zespół sobie zasłużył?

Chwilę milczymy, bo muszę sobie uporządkować dane. A więc w Domu Kultury ZPB im. Sz. Harnama poza zespołami tanecznymi działają również zespoły muzyczne, śpiewu i oświaty, tych ostatnich jest jednak niewiele. W sumie 24 zespoły. Do tego trzeba doliczyć dwie biblioteki z przeszło 30 tysiącami woluminów.

— Czy taki model domu kultury odpowiada dzisiejszym czasom?

Andrzej Klinowski chwilę się zastanawia.

— My w koncepcji nic nie zmieniliśmy z tego, co stworzyła Maria Szkudlarek. Metody się zmieniły. Jeśli to przetrwało wszelkie burze i działa z powodzeniem nadal, to znaczy, że odpowiada ludziom. A młodzież się zmieniła. To już nie ta młodzież, która tu kiedyś przychodziła. Proszę sobie wyobrazić, że dzieci miały na scenie przedstawiać wielkie pranie i maglowanie. I nie potrafiły. Pranie — mówiły — robi się w pralce, jak można pralkę przedstawić na scenie? Trzeba było dopiero specjalnej lekcji, aby im pokazać i wytłumaczyć, jak się kiedyś prało ręcznie, co to była wówczas pralka, jak wyglądała i co to jest maglowanie ręczne. Dopiero wtedy zrozumiały.

— A czy zdaniem pana, to wszystko, co robicie wystarcza?

— Oczywiście, że nie. Zawiesiliśmy działalność Klubu Seniora, no bo taki był czas. Teraz renciści przychodzą i domagają się spotkań. Nic nie pomaga tłumaczenie, że mamy trudności. Oni tu przepracowali swoje życie i im się należy. I trzeba będzie do Klubu Seniora wrócić. Ale z tego wynika, że my możemy naszą działalność adresować głównie do młodych i starszych. Średnie pokolenie ma w domu lepszy sprzęt rozrywkowy niż nasz, i można mu tylko zaimponować magnetowidem lub filmami w kasetach. A poza tym jest zagonione, zajęte kłopotami, troską o dzieci. Zatem my powinniśmy mieć głównie na uwadze młodzież. Im więcej wydamy pieniędzy na jej wychowanie, na ukształtowanie jej zainteresowań, tym później mniej będziemy mieć z nią kłopotów.

— Ja nie pamiętam — **wtrąca Stanisław Kryński** — aby któryś nasz wychowanek zszedł na złą drogę.

— No — **Andrzej Klinowski woli być ostrożny** — mogło się zdarzyć.

— Ale do mnie żaden taki fakt nie dotarł — **upiera się przy swoim Stanisław Kryński.**

— A gdzie ostatnio był zespół za granicą? — usiłuję przerwać spór zmianą tematu.

— Każdy dziennikarz o to pyta — **powiada Andrzej Klinowski i wylicza.** — W zasadzie to cała Europa, Chiny i Wietnam, to był rok 1963. Mongolia w 1964, USA, Kanada i Rumunia w 1969, USA i Kanada znów w 1972, w 1974 Algieria i Tunezja, Francja w 1980 i zespół dziecięcy w 1982 w Belgradzie na Festiwalu Interwizji „Radość Europy". W zeszłym roku koncertowaliśmy też na Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Wystarczy?

— Wystarczy. Ale mam jeszcze jedno pytanie. 23 kwietnia macie koncert jubileuszowy, 25 kwietnia już normalnie, z biletami.

— Zgadza się. Już wszystkie poszły.

— Nie macie pieniędzy, borykacie się z różnymi kłopotami a dochód z tego koncertu przeznaczyliście na Centrum Zdrowia Matki. Skąd taka filantropia?

— To proste. My tego, co robimy nie robimy dla siebie. My to robimy dla ludzi. Matki mamy też u nas w zespole. W ogóle bez rodziny, rodzinnej atmosfery, a niekiedy matczynego ciepła nie byłoby naszych sukcesów. Rodzice tu przychodzą i pomagają nam. A poza tym, kiedy cały naród ma budować Centrum Zdrowia Matki, to nas w tym może zabraknąć?

Foto: M. Zajdler

BOGDA MADEJ

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kartuzy, moje miasto

1.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest ulica Sienkiewicza?

— Sienkiewicza... Sienkiewicza...

— Podobno gdzieś pod samym lasem, ale tu wkoło lasy...

— A kogo pan szuka?

— Pani Anny Dziewiątkowskiej.

—No, to trzeba było tak od razu. Pójdzie pan...

2.

Anna Dziewiątkowska nie mogła spać tej nocy. Cały czas myślała o wywiadzie, jaki miał z nią przeprowadzić dziennikarz, z którym umówiona była na rano.

Wstała wcześniej niż zwykle. Ogarnęła mieszkanie i zabrała się za przygotowywanie śniadania dla siebie i niecodziennego w jej domu gościa. Gdy stół był już nakryty, wybiła godzina ósma. Dlaczego nie przychodzi?

Młody dziennikarz z centralnej Polski też nie mógł zasnąć tej nocy. Długo przewracał się z boku na bok na niewygodnym łóżku w hotelu „Rugan". Analizował wydarzenia minionego dnia, myślał o spotkaniu z niejaką Anną Dziewiątkowską, którą przypadkowo poznał kilka godzin wcześniej.

Do Kartuz zaprosiły go władze miasta, obchodzącego w tym roku podwójny jubileusz: 600-lecia istnienia i 60-lecia nadania praw miejskich. Gospodarze terenu najpierw pokazali miasto, czyli: **Regionalną Spółdzielnię Rękodzieła Artystycznego i Ludowego „Cepelia"**, w której m. in. wyrabia się ręcznie ceramikę według starych kaszubskich wzorów; **muzeum regionalne**, posiadające bogate i unikalne zbiory etnograficzne, ale nie dysponujące odpowiednio dużą powierzchnią, by je należycie wyeksponować; **świetlicę Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Kaszuby"**, dla którego miasto mało ma pieniędzy, choć szczyci się nim przy każdej okazji, a także — **zabytkowy pokasztorny kościół.** To właśnie klasztor kartuzów — zakonu o wyjątkowo surowej regule i antypolskim nastawieniu, sześć wieków temu dał początek osadzie, która dopiero w XIX wieku zaczęła nabierać miejskiego wyglądu.

Po wycieczce odbyła się konferencja prasowa, w czasie której naczelnik miasta i gminy Kartuzy, **Teofil Klein** długo mówił o dokonaniach i planach. Że nowe szkoły, nowe mieszkania, których ciągle za mało, że wielka zamrażalnia owoców i warzyw, że sztuka ludowa i turystyka, którą chcemy rozwijać, bo **Kartuzy to oaza ciszy, szczególnego uroku i czystości...**

Redaktorzy (nie wszyscy, nie wszyscy!) pilnie notowali każde jego słowo, a zaproszeni goście — dyrektorzy i „zasłużeni dla miasta i regionu Obywatele" — ze zrozumieniem kiwali głowami. Na stole stały kanapki z tatarem i jajkiem, ciastka i lemonida. I wszystko przebiegłoby według dobrze znanego schematu, gdyby niespodziewanie monologu władzy nie przerwał kobiecy głos z drugiego końca stołu:

— Panie naczelniku, oba nasze jeziora, tak niegdyś czyste i rybne, przypominają dziś zbiorniki ścieków. Latem na brzegu aż nos zatyka, a o kąpieli lepiej w ogóle nie wspominać. I pan mówi o rozwoju turystyki?...

Teofil Klein zaczął coś mówić o przedłużającej się (z przyczyn obiektywnych!) budowie miejskiej oczyszczalni ścieków, o tym, że nikt przecież jeszcze z powodu brudnej wody w jeziorach nie zachorował, a ostatnio w Klasztornym złapano ponoć nawet dwa raki, co może świadczyć...

Młody dziennikarz z centralnej Polski wiedział już, że niespodziewaną dyskutantką jest emerytowana pracownica Pogotowia Ratunkowego, założycielka żeńskich oddziałów Ochotniczej Straży Pożarnej, przed- i powojenna społeczniczka, **Anna Dziewiątkowska,** z którą był się już wcześniej umówił na „wywiad". To była jego nadzieja. Żywy człowiek, przeciętny (no i zasłużony zarazem) obywatel, który też potrafi myśleć i mówić. To prawda, że nie ogarnia całości, że jest subiektywny w swych sądach, ale nie ma żadnego interesu w wychwalaniu czy ganieniu ponad miarę, a w dodatku ma ten atut, że mieszka w Kartuzach prawie od tego roku, gdy stały się oficjalnie miastem, i niejedno widział. Tylko czy zechce szczerze podzielić się swymi doświadczeniami? Ostatnio ludzie niechętnie mówią to, co myślą. Uciekają w slogany, półsłówka, cytaty, wolą milczeć. Młodemu dziennikarzowi z centralnej Polski obawy te długo nie pozwalały zasnąć.

Następnego dnia rano zwolnił pokój w hotelu i po zjedzeniu śniadania w restauracji „Kaszubska" wolno ruszył pod wskazany adres. Nie spieszył się — składanie wizyt o zbyt wczesnej porze mogło być przecież kłopotliwe. Pospacerował więc po uliczkach, obejrzał nie w pełni jeszcze zatarte napisy na murach, zaszedł nad — rzeczywiście brudne — jeziora i na cmentarz, gdzie znajdują się mogiły zamordowanych podczas okupacji obrońców Kaszub, by wreszcie zapukać do drzwi niewielkiego domku przy ulicy Sienkiewicza 5.

Zniecierpliwiona gospodyni podała gorącą kawę i wmusiła weń drugie śniadanie. Nim zdążył o cokolwiek zapytać, zaczęła opowiadać.

3.

Przed wojną były w Kartuzach trzy baseny, wydzielone w jeziorze Klasztornym. Dziś nie ma ani jednego. Latem fale dopiero po św. Janie, bo mówiono, że wcześniej jezioro wciąga ludzi, jak przyszła niedziela, to cała młodzież siedziała na wodzie, albo na stadionie. Zresztą nie tylko młodzież, bo i potańczyć można było nad jeziorem, i dobrze zjeść. Ludzie nie zamykali się tak w domach jak teraz.

Przed wojną w Kartuzach był sport. Nie było chłopca, żeby nie biegał, pływał, grał w piłkę... I zawody były. Z dyplomami, a jakże.

Annie Dziewiątkowskiej te brudne jeziora nie dają spokoju, bo była tu kiedyś instruktorką pływania. Starostwo wysłało ją na specjalne szkolenie dla instruktorów do Torunia i Warszawy, żeby mogła potem uczyć kartuską młodzież. I uczyła. Kurs pływania trwał dwa tygodnie. Potem były zawody i następna dwudziestka zaczynała edukację. I tak przez całe lato.

Po wojnie chciała do tego wrócić. W 1948 roku rozpoczęła starania o budowę basenu. Ze znajomym porucznikiem z Tczewa, Kruszyńskim uzgodniła, że odda do Kartuz żołnierzy, którzy za stadionem wykopią basen — duży, 50-metrowy, żeby można było organizować prawdziwe zawody. Z właścicielem hurtowni załatwiła, że da na budowę basenu złotówkę od każdej sprzedanej butelki alkoholu. Rocznie byłby z tego niezły grosz. Wreszcie wybrała się do przewodniczącego powiatowej Rady Narodowej, a ten od razu uciął dyskusję:

— Co? Chce pani za wódkę budować basen? Nie pozwalam!

Mąż Anny Dziewiątkowskiej też był sportowcem. Biegał na trzy kilometry. Gdy się poznali, był czeladnikiem kominiarskim. Potem został mistrzem, prowadził swój własny interes, dużo zarabiał, więc młoda żona mogła zrezygnować z pracy w Gdyni. Było to w 1931 roku.

Zaraz po ślubie wynajęli mieszkanie — bez żadnych problemów, bo w Kartuzach było wówczas tyle wolnych mieszkań, że — jeśli kto miał pieniądze — mógł przeprowadzać się co miesiąc. Miasto liczyło wtedy około pięciu tysięcy mieszkańców. Było w nim 11 sklepów kolonialnych, 7 rzeźniczych, kilka piekarń, tartaki, browary, był szpital, dwie szkoły podstawowe, gimnazjum, biblioteka, ukazywała się lokalna gazeta... Jedne sklepy prowadzili Polacy, inne — Niemcy. Ojciec Anny Dziewiątkowskiej, kolejarz jeszcze sprzed tamtej wojny, który aby dostać państwową posadę musiał zaciągnąć się do pruskiego wojska, jechać walczyć do Chin i żywy stamtąd wrócić, też założył sklep. Nazywał się Krygier. Niemieccy sklepikarze nosili nazwiska: Modrzejewski, Sakulowski... Doskonale mówili po polsku, choć nie zawsze chcieli. Polaków było oczywiście dużo więcej niż Niemców, którzy trzymali się osobno — mieli swoje zebrania, swoje zabawy... Nie czuli się tak pewnie jak w pobliskim Gdańsku, choć nikt im w Kartuzach złego słowa nie mówił.

Trochę inaczej było na wsi, gdzie większość dużych gospodarstw należało do niemieckich bauerów, a prawowici mieszkańcy tej ziemi, Kaszubi żyli na ogół w biedzie. Wielu emigrowało za ocean. Budująca się Gdynia nie wszystkim mogła zapewnić pracę.

W 1939 roku *Polacy nie wierzyli, że Niemcy* mogą wygrać wojnę, choć dla wszystkich było już jasne, że prędzej, czy później wojna wybuchnie. Anna Dziewiątkowska zgłosiła się do obrony cywilnej. Kiedy pod koniec lipca w polskim mundurze wracała ze szkolenia w Augustowie przez Freistadt Danzig niemieccy kolejarze rzucali w stronę pociągu najgorsze przekleństwa.

Pierwszego września, będąc sanitariuszką, wraz z wojskiem opuściła miasto. Wycofywano się na Grzybowo, na Kamień... Zdążyła jednak jeszcze widzieć, jak Niemcy strzelali z kościelnej wieży do ludzi na rynku. Z niemałym trudem dotarła do Gdyni, by zameldować, że Kartuzy zajęte, a dziesiątego września wróciła już do domu. Nie na długo, bo następnego dnia przyszło po nią dwóch Polaków w towarzystwie żołnierzy Wehrmachtu. Została aresztowana. Ci dwaj, których dobrze przecież znała, bo kolegowali się z jej braćmi, już dawno podpisali folkslistę. Jeden z nich był wozakiem, często jeździł do Gdańska... To nie był odosobniony przypadek.

Oskarżyli ją, że zastrzeliła niemieckiego oficera, a dla polizeiinspektora Borka każdy pretekst był dobry. W więzieniu torturowano ją, bito metalowym prętem z haczykami, które przy każdym uderzeniu wyrywały kawałki ciała. W celi spała na betonowej podłodze. Rany leczyła własnym moczem. Gdy nie chciała przyznać się do nie popełnionego morderstwa, skazano ją na śmierć, ale wykonanie wyroku odwlekano z dnia na dzień — w nadziei, że przynajmniej powie, gdzie ukrywa się mąż.

4.

Bernard Dziewiątkowski trafił do Gdyni, do wojska jako ochotnik. Pod Wejherowem, gdy hitlerowcy rozbili jego oddział zabrał zabitemu koledze dokumenty, podkładając swoje, zdobył cywilne ubranie i postanowił przedzierać się na południe. Przeszedł całą Polskę, by przez Słowację, Węgry i Jugosławię dostać się w końcu do Francji, do polskiego wojska. Potem walczył pod Tobrukiem. Ale o tym jego żona miała się dowiedzieć dopiero po wojnie. W 1939 roku znajomi powiedzieli jej, że mąż nie żyje, że pochowany jest pod Wejherowem. Nie chciała w to wierzyć. Niemcy chyba też, jednak pod koniec listopada zwolnili ją, zabraniając opuszczania Kartuz.

Wkrótce dowiedziała się, że jest na liście osób, które miały trafić do obozu koncentracyjnego. Nie było na co czekać — uciekła.

Do marca 1940 roku ukrywała się w Kosobudach u rodziny czeladnika jej męża. W marcu trafiła do partyzantki w Borach Tucholskich, gdzie była łączniczką. Pseudonim — „Franciszka". Rozwoziła meldunki i żywność na leśne kwatery chłopców z **„Gryfa Pomorskiego".** Przez ponad cztery lata, ze względu na bezpieczeństwo swoje i innych, nie spała w łóżku. Latem nocowała w czymś w rodzaju psiej budy, zimą — w stodołach.

W Borach Tucholskich było około dwóch tysięcy partyzantów. Ci, którzy nie chcieli znaleźć się w Wehrmachcie, nie mieli innego wyboru niż las. Dla wielu Kaszubów wybór nie był łatwy — w domu zostawały przecież matki, żony, dzieci...

Na początku lutego 1945 roku Anna Dziewiątkowska potajemnie wróciła do Kartuz. Front był już blisko. Wokół trwały zacięte walki. 10 marca do miasta weszli Rosjanie. Po raz pierwszy od pięciu lat mogła normalnie wyjść na ulicę. Przeżyła prawdziwy szok.

5.

Kartuzy pozbawione były wody i elektryczności. Panowała epidemia tyfusu. Wojsko zajęło wiele domów. Brakowało żywności, a ocalałe bydło wędrowało wprost do wojskowego kotła. Żołnierze wrzucali wiązki granatów do jezior, wyławiając ogłuszone ryby. Nie zawsze chcieli widzieć w Kaszubach Polaków, zwłaszcza gdy mówili po kaszubsku.

O wkroczeniu Rosjan mówi się dziś w Kartuzach różne rzeczy. To prawda — przyznaje Anna Dziewiątkowska — że zdarzały się rzeczy nie najprzyjemniejsze. Takie są nieubłagane prawa wojny. Ale najgłośniej krzyczą o tym ci, którzy Niemców witali z kwiatami i te, które, jako młode dziewczyny same wlazły hitlerowcom do łóżek.

Nie chciała, nie potrafiła siedzieć bezczynnie. Poszła do komendanta miasta, majora Popowa i powiedziała, że nie ma mieszkania, nie ma pracy, niech da jej jakieś zajęcie.

— Jak długo będziesz nam pomagać? — zapytał dwuznacznie.

— Jak długo się da.

— No to załóż w Kartuzach milicję.

Nie wiedziała jeszcze wtedy, co to takiego milicja, ale polecenie wykonała. Ludzie sami zaczęli się do niej zgłaszać. W komendzie zorganizowano kuchnię. W mieście znalazło się wielu uwolnionych więźniów ze Stutthofu — im też trzeba było pomóc. Nie dane było jej jednak pozostawać długo na tej trudnej służbie. I ją dopadł tyfus. Wystarczył łyk wody z kranu zaraz po uruchomieniu wodociągu.

W 1947 roku Bernard Dziewiątkowski wrócił do domu z Anglii. Przywiózł ze sobą parę odznaczeń i owrzodzenie żołądka, z którego nigdy już się nie wyleczył. Nie przez wszystkich, niestety, był witany z radością — wrócił przecież „stamtąd". Na Nowy Rok państwo Dziewiątkowscy otrzymali tajemniczy list z życzeniami dla „sługusów sanacji", podpisany bezczelnie — „klasa robotnicza". W liście były też dwie kule i zapowiedź rychłego spotkania.

6.

Młody dziennikarz z centralnej Polski oddał gospodyni pożółkłą kartę papieru, zapisaną „robotnicza" ręką i nabój, który dosyć długo ważył w dłoni. Oto wartość ludzkiego życia — pomyślał. Na tyle je kiedyś wyceniono. W imię czego?

Młody dziennikarz z centralnej Polski nie pamiętał, nie mógł pamiętać tamtych czasów. Znał je tylko z książek, z lekcji historii. Teraz uczył się tej historii jakby od nowa, inaczej niż w szkole. Czuł też, że tu, na Kaszubach o wiele trudniej o jej jednoznaczność. Gładkie, podręcznikowe sformułowania nabierały w Kartuzach szorstkości, blakły i gięły się pod ciśnieniem procesów społecznych, narodowościowych, kulturowych, jakie tu zachodziły i nadal jeszcze zachodzą. Wszystko, co dotychczas powiedziano i napisano na ten temat, jest tylko cząstkową analizą zjawiska: wielkiej syntezy dziejów Kaszub ciągle brak.

A dzień dzisiejszy... Cóż, wygląda podobnie, jak gdzie indziej. Te same problemy, te same kłopoty...

— To co, zrobię teraz herbaty — przerwała milczenie Anna Dziewiątkowska — **a pan niech przeprowadzi wreszcie ten wywiad. Proszę wybaczyć starej babie, że tak się rozgadała. Więc co chciałby pan wiedzieć?**

Swego nie znacie

ROBERT GLUTH

O Trzebnicy i tamtejszym szpitalu napisano już tomy. Oczywiście tamtejsi chirurdzy mają poważne osiągnięcia w leczeniu schorzeń kończyn, a szczególnie dłoni, tym niemniej w naszym niemal milionowym mieście istnieje, skromnie licząc kilka szpitali, o których pisze się tylko z okazji Dnia Pracownika Służby Zdrowia. Zawsze oczekujemy wielkich sensacji. W latach siedemdziesiątych łódzki „Express Ilustrowany" „chwycił" niebywałą wiadomość: w szpitalu im. Kopernika przyszyto dłoń, która przyjęła się i pacjentka została wypisana zdrowa i cała.

Ileż tam śmiechu i wściekłości było! Bo środowisko lekarskie, jak żadne inne, bardzo nie lubi, gdy o nim pisze się zbyt dobrze — ciekawostka tego tachu. Sprawa była o wiele prostsza i dosyć przypadkowa. Z jednej z łódzkich fabryk przywieziono młodą robotnicę z oskalpowaną przez maszynę dłonią. Behapowiec był na tyle mądry i przytomny, że dołączył niejako do poszkodowanej skórę ściągniętą przez mechanizm. Dyżur miał wtedy młody dr Pilarski. Pomyślał w sposób jak najbardziej prawidłowy: każdy opatrunek założony na oskalpowaną dłoń będzie urażać. Wobec tego przywiezioną skórę należy wymyć, zdezynfekować, przesycić roztworem antybiotyków i użyć jako podstawowego opatrunku biologicznego własnego. Dopiero na to inne opatrunki — trudno w tej chwili wdawać się w szczegóły zabiegu. Fakt pozostaje faktem: siła i odporność organizmu młodej dziewczyny sprawiły, iż ten nie kolidujący z jej organizmem „własny opatrunek biologiczny" został częściowo zaadaptowany przez organizm, skóra, oczywiście z licznymi zabliźnieniami — przyrosła, a chora, po szeregu zabiegach, z wolna powracała do zdrowia.

Organizm czasami czyni cuda. Oczywiście wtedy, gdy na miejscu jest zdolny chirurg, który potrafi podjąć momentalną decyzję i działać z dużym procentem ryzyka. Dr Henryk Rybicki wspomina przypadek, którego nigdy już w życiu nie zapomni. Pracował wówczas od dwóch lat w szpitalu koszalińskim. Przywieziono córkę rybaka z Jamna z ręką kompletnie ogołoconą ze skóry, mięśni, z pozrywanymi ścięgnami, nerwami, naczyniami. Ostry dyżur. Sytuacja natychmiastowa. Rybicki przystępuje do operacji, asystuje mu studentka odbywająca staż, narkozę daje świeżo upieczony anestezjolog, praktycznie debiutujący, zabieg trwa długie godziny: szycie, łączenie szlaków nerwowych, naczyń... Młoda rybaczka miała 15 lat, ogromną odporność i wielkie pragnienie życia. Po kilku latach, gdy Rybicki opuszczał Koszalin, zaszedł do tamtejszego magistratu, gdzie spotkał swoją pacjentkę pracującą... jako maszynistka. Oczywiście, nie istniał tu żaden cud. Dobre rzemiosło lekarskie, wiele lat rehabilitacji i silna wola pacjentki uczyniły to wszystko, co dzisiaj wspomina jeden z najpopularniejszych lekarzy oddziału chirurgii urazowej i ortopedycznej szpitala im. Mikołaja Kopernika.

No, bo właśnie piszemy o tym kombinacie zdrowia: ktoś może powiedzieć — kombinacie cierpienia. Do szpitala na skrzyżowaniu ulicy Pabianickiej i Ronda Titowa, na oddział chirurgii urazowej przywozi się ofiary wypadków, ludzi z czasami wręcz nieprawdopodobnymi i zaniedbanymi urazami, wreszcie ofiary własnej lekkomyślności.

Kiedy w latach siedemdziesiątych sam leżałem tam jako pacjent, zdarzył się bardzo znamienny wypadek: Izba przyjęć przyjęła chłopca z uszkodzeniem kręgosłupa i nie sprawdziła stanu higieny osobistej pacjenta — co należy do podstawowych obowiązków izby przyjęć. A tam była ewidentna wszawica. I wtedy dr nauk medycznych, Eugeniusz Kniaziew, oświadczył wszystkim pielęgniarkom oddziału, że zostaje im odebrana premia uznaniowa. Powiedział, że podobnie jak kierowcę, pielęgniarkę obowiązuje prawo nieufności. Skoro pielęgniarka zawierzy koleżance dyżurującej w izbie przyjęć i sama jeszcze raz nie dokona oględzin chorego, wówczas, zdaniem ordynatora Kniaziewa, jest winna. Wtedy — pamiętam — biały personel trochę popłakiwał, po cichu oburzał się. Trudno. Taki właśnie jest do dziś ordynujący dr Kniaziew, u którego nie mogłaby się powtórzyć tragedia taka, która wstrząsnęła Polską, gdy w ślubickim szpitalu umierały cztery położnice.

Może nieco szerzej o tej dość niezwykłej postaci, jaką jest ordynator oddziału chirurgii urazowej i ortopedycznej. Życie — wielka przygoda.

Eugeniusz Kniaziew urodził się w 1917 roku w Helsingforts, gdzie jego ojciec — oficer Wielkorosyjskiej Marynarki Wojennej — musiał zbiec przed rozruchami rewolucyjnymi. Później była wędrówka z maleńkim dzieckiem przez pół Europy, bo przecież Polski niepodległej jeszcze nie było, a gdy wybuchła 11 listopada 1918 roku — wówczas rodzina Kniaziewów znalazła się na naszej ziemi. Ojciec obecnego ordynatora był jednym z zasłużonych organizatorów polskiej floty handlowej. On zaś sam odbył kampanię 1939 roku, był więźniem oflagu, skończył medycynę, pracował jako lekarz wojskowy i trafił do kliniki chirurgii polowej, urazowej i ortopedii Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Tutaj doktoryzował się, stąd był wysłany na stypendium do Wielkiej Brytanii — gdzie szczególnie zainteresowało go leczenie skutków głębokich oparzeń i plastyka. Dr nauk medycznych Kniaziew powiada, że medycyna jest nauką ścisłą, mieszczącą się w humanistyce. Zdanie paradoksalne, ale jakże słuszne. Na dobrą sprawę nigdy nie pociesza pacjenta, nie czyni mu jakichś gigantycznych nadziei — jest zwolennikiem mówienia prawdy i tym zjednuje sobie wyjątkowe zaufanie. Jak znalazł się w szpitalu im. Kopernika? Gdy zbliżał się moment, kiedy mógł przejść na wojskową emeryturę, po prostu przystąpił do konkursu na ordynatora oddziału chirurgii urazowej i ortopedii i konkurs bezapelacyjnie wygrał.

„No cóż, jutro, zły człowieku, będziemy ciąć rączkę" — powiedział do mnie dr Kniaziew. I zapytał, czy mu ufam. Tak, ufałem bezgranicznie. I dzisiaj, kiedy z trudem ktoś może wskazać ślad po szwie, myślę, ile w tej Wielkiej Brytanii Kniaziew potrafił podpatrzeć. Na marginesie trzeba dodać, że po operacji przemawiał do mnie per *„dobry człowieku"*. A zresztą ma taki już zwyczaj, że do każdego — starszego czy młodszego — mówi per ty.

Któregoś dnia na obchodzie, ordynator, mijając łóżko jednego z pacjentów, w odległości kilku metrów od karty gorączkowej, odwrócił się nagle i powiedział do młodego lekarza: *„Co pan za bzdury tu powypisywał, tu nie ma żadnego złamania, to odklejenie obojczyka"*. Takie osobliwe zachowanie dr Kniaziewa zrodziło legendę, że szef wszystko widzi, a w okularach nosi zwyczajne szkła zerowe.

Oddział chirurgii urazowej szpitala im. Kopernika jest bardzo trudny. Tu, w praktyce, trafia 70 procent ludzi, którzy ulegli wypadkowi pod wpływem alkoholu, z własnej lekkomyślności. W związku z tym kultura, sposób bycia pacjentów w wielu wypadkach wydaje się nie do przyjęcia. Lekarze mają wiele wyrozumiałości, ale czasami pacjent przekracza granice.

Tak było gdzieś w połowie lat 70-tych z pacjentem, klnącym w najbrutalniejszy sposób, nieprzerwanie. Któregoś dnia do pielęgniarki, najłagodniejszej chyba dziewczyny z całego oddziału, bluznął potokiem rynsztokowych wyzwisk. Dziewczyna rozpłakała się i na to wszedł właśnie z obchodem, zastępujący nieobecnego dra Kniaziewa, dr Henryk Rybicki. Zaproponował — ten człowiek pozbawiony nerwów — żeby pacjent pielęgniarkę przeprosił, zmienił postępowanie, ponieważ inaczej zostanie wypisany. Na to padła ordynarna odpowiedź: *„O niczym innym nie myślę"*. Rybicki wówczas pacjenta wypisał, ale przedtem kazał tak go zabezpieczyć, aby mógł dalej kurację wymagającą długotrwałego leczenia odbywać w domu.

To zresztą szczególny człowiek: lekarz drugiej specjalizacji, dr Henryk Rybicki. Jest łodzianinem, kończył tutaj słynną szkołę im. Tadeusza Kościuszki, gdzie wszystkich zaskoczył dużymi zdolnościami matematycznymi i malarskimi. Po maturze postawił sobie pytanie: czy iść na architekturę czy na medycynę? Wybrał to drugie. Dziś rysuje bardzo mało. Powiada, że całą manualną zdolność plastyka wykorzystuje w trakcie operacji. Chirurdzy nie mają łatwego życia — czasu więc mu nie starcza ani na dorabianie w spółdzielni, ani na praktykę prywatną. Jedno jedyne hobby jednak sobie zachował: jest lekarzem sportowym kobiecej drużyny koszykówki ŁKS. To „jego" dziewczyny zdobyły właśnie tytuł mistrza Polski.

Rybicki również miał wędrowne życie. Zaczynał jako chirurg w szpitalu miejskim w Koszalinie, gdzie w trudnych warunkach wytrwał jedenaście lat. Później — już po dwóch specjalizacjach — wygrał konkurs i objął stanowisko ordynatora oddziału chirurgii urazowej w Piotrkowie Trybunalskim. Tam ordynował przez pięć lat. Dlaczego odszedł? Przez własną konsekwencję. Miał wielki projekt — stworzenia odrębnego pododdziału przypadków „czystych", odrębnego ropnych i do leczenia zachowawczego oraz pododdziału rehabilitacji. To wszystko obiecano mu, oświadczając jedynie, że chwilowo, prowizorycznie, sale o których już marzył, będą przeznaczone dla chorych na gruźlicę. Rybicki powiada, i słusznie, że w naszym kraju najtrwalsze bywają prowizoria. Ale na zbyt długie i zbyt absurdalne sąsiedztwo oddziałów nie mógł się zgodzić w żadnym wypadku. Wrócił tutaj do Łodzi, do swojego miasta i przyjął pracę w szpitalu im. Mikołaja Kopernika, bez gwarancji mieszkania dla siebie i dość licznej już rodziny. Obecnie takie mieszkanie posiada, jedna córa studiuje na II roku AM, druga robi maturę — a Rybicki, jak to on, tyra. Lubi właściwie brać wszystkie przypadki. Uważa, że praktyka lekarza wymaga rozszerzania wiedzy nieprzerwanie, mimo, iż operuje od 25 lat.

A oddział chirurgii urazowej i ortopedii w szpitalu im. Kopernika liczy sobie ni mniej ni więcej, tylko 60 łóżek — oczywiście nominalnych, bo wielokrotnie w czasie ostrych dyżurów kładzie się pacjentów na korytarzach. Sprawa znana nie od dziś. W każdym razie rocznie przechodzi przez ten oddział około 1.200 chorych i wykonywanych jest 900 operacji.

Warto jeszcze wrzucić kamyczek do ogródka ministra Szelachowskiego. Właśnie w Łodzi wyspecjalizowali się lekarze w zakładaniu tzw. endoprotez. Są to po prostu sztuczne uzupełnienia kostne złamanych stawów. Zaczynano od endoprotez metalowych, obecnie na świecie dominują ceramiczno-metalowe. W większości wypadków endoprotezy zakładane są przy złamaniach stawu biodrowego (oczywiście, również w ten sposób zastępują „wybrakowany" staw łokciowy i inne, nawet całkiem maleńkie endoprotezy istnieją dla stawów paliczkowych). Jest rzeczą charakterystyczną, że o ile dawniej złamania z dużym ubytkiem kości stawu biodrowego następowały u ludzi starszych, o tyle ostatnie lata niejako notują obniżanie się tego wieku.

Otóż, obecnie wielu pacjentów nie zostaje przyjętych na oddział — nie z braku endoprotez, bo ich zapas szpital posiada. Nie dlatego, że umiejętności naszych lekarzy są mniejsze, aniżeli zachodnich. Przeciwnie, w wielu wypadkach wiedzą i umiejętnościami przewyższamy renomowane kraje europejskie. Brakuje drobiazgu: specjalnego kleju, kleju z antybiotykiem rzeczy, którą trzeba importować — podobnie zresztą jak i same endoprotezy. Jak długo drobne braki decydować będą w Polsce o kompletnej niemożności?

Z mamą w sanatorium

EDWARD BRYL

Coraz więcej rodzi się dzieci kalekich, z wadami postawy, wzroku, centralnego układu nerwowego, itp. Tylko w Łodzi około czterdziestu tysięcy wymaga natychmiastowego leczenia, rehabilitacji. Tymczasem lekarzy specjalistów w tej dziedzinie jest niewielu. Trochę to dziwne, gdyż liczba medyków w mieście wynosi dwakroć więcej niż średnia krajowa, a mimo to jest niewystarczająca, także dostęp do lekarzy pierwszego styku — w rejonach — jest niełatwy. Znacznie lepiej to wygląda choćby na terenie woj. piotrkowskiego. Brakuje też przychodni dla dzieci, placówek rehabilitacyjnych. W Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu m. Łodzi uważa się, że są to drobiazgi, szukanie przysłowiowej dziury w całym.

Prawda jest taka, że kompleksowy Szpital-Pomnik Matki Polki, w którym między innymi będzie czterysta łóżek pediatrycznych, stanie dopiero za parę lat, a to tylko częściowo rozwiąże trudną sytuację w lecznictwie łódzkim. Już dziś potrzebne są ośrodki mogące od zaraz objąć opieką dzieci ułomne. Sprawę tę zaniedbywano od lat. Konieczna jest wojewódzka przychodnia wad postawy, wzroku. Przydałyby się żłobki specjalistyczne. Dotychczas działa w Łodzi przy ul. Uniejowskiej 6 jedyny w Polsce żłobek dla dzieci z wadami centralnego układu nerwowego. Maluchy tam rehabilitowane robią duże postępy. Ich kilkugodzinny pobyt pod fachową opieką daje rodzicom chwile wytchnienia, relaksu psychicznego, a przede wszystkim nadzieję na poprawę stanu zdrowia dzieci. Szkoda tylko, że mimo zabiegów ZOZ Matki i Dziecka następne placówki nie powstają — trudno się zresztą dziwić, skoro łódzki Wydział Zdrowia jest na to więcej niż obojętny.

W pobliżu Łodzi są dwa sanatoria. W Kolumnie dla dzieci z wadami postawy w wieku szkolnym i w Arturówku, gdzie leczy się również wady postawy oraz wzroku. Przyjeżdżają tu przedszkolaki, a także dzieci młodsze razem z matkami. Jest to jedna z nielicznych i największych tego typu placówek w kraju. Jednorazowo może przyjąć siedemdziesięciu małych kuracjuszy, podczas gdy podobne w Rabce zaledwie trzydziestu.

Ośrodek jest zlokalizowany w lasach łagiewnickich, stanowiących pozostałość dawnej puszczy łódzkiej. Ten liczący tysiąc sto hektarów kompleks leśny jest największym parkiem w Europie. W bezpośrednim sąsiedztwie obiektu rozciąga się akwen zasilany rzeką Bzurą.

Do dyspozycji matek z dziećmi jest siedemdziesiąt estetycznie, funkcjonalnie urządzonych dwuosobowych pokoi z łazienką i tarasem każdy. Wszystkie wychodzą na słoneczną południową stronę. Na miejscu znajduje się kawiarnia, czytelnia, biblioteka, sala gier oraz sale telewizyjne na każdym piętrze. Jest też przedszkole, gdzie przebywają maluchy, podczas gdy ich matki korzystają z zabiegów leczniczych. Wnętrza są urządzone komfortowo — boazerie z dębu i modrzewia, będące dziełami artystów plastyków, niektóre ściany wybijane tkaninami, oświetlenie w stylu Księstwa Warszawskiego, itp.

Mówi HENRYKA STANIASZCZYK — lekarz pediatra, ordynator sanatorium:

— Dysponujemy dobrze wyposażonymi gabinetami zabiegowymi i rehabilitacyjnymi. Pracuje tu na pełnym etacie lekarz okulista i ortopeda. Dla matek zatrudniamy internistę. Mimo że młode, ale też schorowane. Dopiero tutaj mają okazję zająć się sobą. Na co dzień brakuje czasu. Sanatoryjny lekarz ma pełne ręce roboty.

Jest również magister rehabilitacji, pięciu fizykoterapeutów i siedem pielęgniarek. Terapię zajęciową prowadzą przedszkolanki. Całą dobę dyżurują lekarz i pielęgniarka. Dyżuranci są z AM i ZOZ, na brak chętnych sanatorium nie narzeka. Wspaniały mikroklimat, zdecydowanie odcinający się od wielkomiejskiego, cisza, spokój, sprzyjają nie tylko kuracjuszom. To także wymarzone warunki do pracy.

Sanatorium działa od niedawna. Pierwszy turnus rozpoczął się 25 października 1982 roku. Szybko „Prząśniczka" uzyskała sobie zasłużoną, dobrą renomę. Przyjeżdżają tu pacjenci z całej Polski. Obiekt jest własnością związków zawodowych, z którymi Uzdrowiska Polskie w Wieńcu-Zdroju zawarły umowę: przez dziesięć miesięcy w roku funkcjonuje tu sanatorium, w lipcu i sierpniu są wczasy pracownicze. Ponieważ współpraca układa się bardzo pomyślnie i nie zerwanie umowy się nie zanosi, dyrektor sanatorium, MICHAŁ ROGOWSKI, ma w planie budowę placu zabaw dla dzieci i boiska do gier. Sprowadzono już sprzęt za ponad sto tysięcy złotych. Będzie też postawiony magazyn i garaż. Przewidywana jest również radiofonizacja ośrodka, która ułatwi wewnętrzną komunikację, przekazywanie informacji, itp.

Jak do tej pory warunki są tu bardzo dobre. Każda matka z dzieckiem zajmuje oddzielny pokój. Pobyt trwa 24 dni, jest nieodpłatny, zarówno dla dziecka, jak i matki. Z tym, że dorośli mogą tu być jedynie w ramach urlopów wypoczynkowych, wychowawczych, nie na druku L-4. Rozkład dnia podobny jak we wszystkich placówkach tego typu. Przewiduje dużo ruchu na świeżym powietrzu, spacerów. Dzieci chodzą spać o dwudziestej, matki o 22. Jest też sporo imprez: filmy, teatr lalek, iluzjoniści, koncerty muzyki poważnej i rozrywkowej. Sanatorium utrzymuje stały kontakt z ŁDK. Placówka ma przyznany mikrobus „Robur" — niedługo będą wycieczki po Łodzi. Nad wyżywieniem czuwa dietetyczka i ordynator. Potrawy są urozmaicone — dużo warzyw, owoców, słodyczy. Dzieci otrzymują posiłki pięć razy dziennie, dorośli — trzy. Karty zaopatrzenia na mięso i masło oddają tylko matki.

Mówi dyr. MICHAŁ ROGOWSKI:

— Nawet w tych trudnych, kryzysowych czasach nie mamy większych kłopotów z zaopatrzeniem, a to dzięki władzom miasta i dzielnicy Bałuty. Prezydent Łodzi, Józef Niewiadomski, osobiście dogląda sanatorium, interesuje się jego potrzebami.

Jeszcze dysponujemy stawką 125 zł na osobę. Jest to trochę za mało przy wysokich, zresztą szybko kroczących cenach. Na dzisiejsze warunki 150 zł to minimum. Myślę, że wkrótce będziemy mieli ją podniesioną.

Od 1 stycznia 1983 roku regularnie, co godzina, z placu Dąbrowskiego kursuje autobus, ułatwia on dojazdy personelowi i gościom. Problem zdobycia ludzi do pracy przy ogromnej konkurencji Łodzi jest niełatwy. Tylko dzięki dużym zabiegom, staraniom, kadra jest ustabilizowana. Ogromną pomocą sanatorium służy Pełnomocnik Komisji Krajowej do Spraw Majątku ZZ w Łodzi — ZOFIA POLAK. Wszystkie kłopoty są załatwiane nie tylko doradczo. Wsparcie jest konkretne, finansowe.

Oprócz leczenia, rehabilitacji, racjonalnego żywienia, dzieci w łódzkim sanatorium zyskują znacznie więcej — ciągły kontakt z matką, podbudowanie więzi rodzinnej, tak bardzo nadwątlonej w dzisiejszych czasach. Kobiety są z różnych środowisk, reprezentują cały przekrój społeczny — nauczycielki, robotnice, urzędniczki, pracownice handlu, naukowcy, rolniczki, a problemy wszystkie mają te same — wychowawcze. Wynikają one w dużej mierze z braku czasu dla dzieci.

Oczywiście, że i w „Prząśniczce" zdarzają się matki niezadowolone, które przyjeżdżają z góry nastawione na „nie". Ogromnie trudno jest usatysfakcjonować naraz tak wielu ludzi z różnymi nawykami, przyzwyczajeniami. Utyskują, że nie wszędzie można palić, wybrzydzają na wyżywienie, a przecież w wielu domach nie jest ono nawet w połowie tak wartościowe i smacznie przyrządzone jak tutaj. Matki są młode, niektóre chciałyby się zabawić, a w sanatorium mężczyzn brak i dziećmi zająć się trzeba...

Maluchy pod opieką mam sprawują się wspaniale. Czują się pewnie, nie tęsknią za domem. Ich wszystkie potrzeby psychiczne, a także fizyczne zostają tu w pełni zaspokojone. Dzięki temu leczenie i rehabilitacja dają bardzo dobre rezultaty. Zresztą opieka matek nad tak małymi dziećmi podczas kuracji jest znacznie tańsza, niż gromadzenie dużej ilości personelu pomocniczego do obsługi milusińskich. Pobyt w sanatorium z matką jest formą leczenia ze wszech miar korzystną, niestety, niezbyt popularną. Ośrodków takich brakuje, a potrzeby są ogromne. W warunkach Łodzi termin wyczekiwania na rehabilitację wynosi około roku, albo i więcej.

Mówi BARBARA BOJANOWSKA, matka z osiedla Retkinia:

— Moje dziecko przeszło poważną operację. Od pół roku czekam bezskutecznie na rehabilitację, mimo że mam pilne skierowanie. Przypadek Michała jest niezmiernie trudny, grozi mu trwałe kalectwo, nie będzie chodził. Nie mam żadnej możliwości mu pomóc. Jestem załamana. W podobnej sytuacji jest wiele matek...

Na przykładzie łódzkiej „Prząśniczki" chciałem pokazać, że nawet dzisiaj istnieje realna możliwość tworzenia dobrych ośrodków sanatoryjnych. Na terenie całej Polski w najbardziej atrakcyjnych zakątkach kraju — są setki obiektów wczasowych czynnych tylko w miesiącach letnich. Przez resztę roku stoją nie wykorzystane, niszczeją. Oczywiście, że nie wszystkie nadają się na adaptację, ale znaczna część — tak. Dlaczego odpowiednie władze nie interesują się ich wykorzystaniem? Istnieją przecież dobre i sprawdzone wzorce. Potrzeby są ogromne, na leczenie czekają tysiące dzieci. To ich życiowa szansa — zmarnowanie jej oznacza dla wielu kalectwo — życie poza nawiasem społeczeństwa, a przecież jeszcze wszystko przed nimi.

Jerzy Głuszek

★ ★ ★

— pamięci
Mikołaja Stanisławskiego
artysty i oficera artylerii.

Złożyłeś nagle batutę —
Wpół dźwięku cisza nadchodzi,
Gdzieś tylko na lewym skrzydle
Stłumiony kornet zawodzi
I ciągnie zamgloną barwą
Drgający ton pożegnania —
Złamanym już mezzo piano,
Milczący sygnał rozstania.

Złożyłeś spokojnie nuty
Przecięte kluczem wiolinu,
Gdzie dumny Marsz Gladiatorów
Ogniami lśnił karmazynu —
Ruszyłeś w drogę daleką
Żołnierskim krokiem upartym,
W żałobnej wizji Szopena —
Na szlak nieznany, zatarty.

Dla Ciebie szumi tam cisza
W nabrzmiałych dźwięków feerii,
A dawno zamilkle działa —
Salwą wrześniowej baterii
I mruczą koneckie lasy
Dalszą sonatę istnienia,
Która się smugą księżyca
W głęboką pamięć zamienia.
23 luty 1983 r.

Dla nich taniec to sens życia

Mówi się o nim po prostu **„Harnam"**. „Harnam" tańczy i śpiewa już trzydzieści pięć lat. **Reprezentacyjny Zespół Tańca Ludowego Włókniarzy ZPB im. Szymona Harnama** jest wciąż urzekająco młody. Pełen werwy i prawdziwego wigoru zachwyca tym autentyzmem i pasją, które osiąga się wraz z indywidualnym wyrazem i własną osobowością artystyczną.

„Harnam" nader korzystnie wyróżnia się spośród setek innych zespołów folklorystycznych. Jest autentyczny w swym amatorskim charakterze, ma świeżość nie skażoną żadnym zinstytucjonalizowanym profesjonalizmem, a jednocześnie szczycić się może wysokim kunsztem artystycznym, który podnosząc do godności prawdziwej sztuki ów najszlachetniej rozumiany amatorski charakter zespołu, przez wszystkie te lata skutecznie strzeże go przed amatorszczyzną.

Tajemnicę swego długiego życia i wielu prawdziwie wielkich sukcesów „harnamowcy" zdradzają sami w swej jubileuszowej piosence:

„...dla nas taniec to sens życia,
dla nas taniec to jest wszystko".

Trzydzieści pięć lat to w przypadku zespołu amatorskiego czas niezwykle długi. W tym czasie na próbach i na koncertach spotykały się tysiące członków „Harnama". W tym czasie odbyło się tych prób i koncertów tak wiele, że dziś trudno je doprawdy zliczyć. W tym czasie kunsztem wokalnym i tanecznym, finezją i urodą zespołu zachwycały się setki tysięcy widzów. To dla nich członkowie „Harnama" — pracownicy wielu zakładów pracy i instytucji, studenci i uczniowie — poświęcają na próby i koncerty cały swój wolny od pracy zawodowej czas, dla nich rezygnują z innych rozrywek, dla nich tańczą i śpiewają na wielkich scenach i małych estradach. Wszędzie spotykają się z zachwytem. Wszędzie nagradzani są gromkimi brawami, a Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Szymona Harnama są z nich tak dumne, że ta ich duma stanowi dla zespołu dodatkowy bodziec do wytężonej pracy nad coraz pełniejszym kształtem artystycznym prezentowanych programów.

Z od wielu już lat bardzo wysokiego poziomu artystycznego „Harnama" dumne mogą być zarówno jego założycielki, **Jadwiga Hryniewiecka** i **Maria Szkudlarek**, jak i obecny dyrektor zespołu, **Andrzej Klinowski** oraz kierownik artystyczny i choreograf „Harnama", **Stanisław Mazurkiewicz**. Z sukcesów „Harnama" dumna jest cała Łódź!

Na wspaniałym doprawdy, jubileuszowym koncercie „Harnama", który w minioną sobotę odbył się w Teatrze Wielkim, długo nie milkły brawa. Bo też było co oklaskiwać! Porywające tańce ze wszystkich regionów Polski zaprezentowane przez zespół w precyzyjnych i pięknych układach choreograficznych wzbudzały w pełni zasłużony entuzjazm widowni. Tańce opoczyńskie, łowickie, sądeckie, śląskie, góralskie, lubelskie, wielkopolskie, rzeszowskie, a także wspaniały oberek, piękny, kolorowy polonez i porywający wręcz krakowiak, złożyły się na imponującą zgoła całość. Świetna jest przeszłość i bardzo dobra aktualna kondycja artystyczna łódzkiego, naszego „Harnama". O tym, że absolutnie pewni możemy być jego przyszłości, przekonaliśmy się oglądając popisy najmłodszych członków tego zespołu. Rozpierająca ich duma z przynależności do rodziny „Harnama" i wyraźna chęć dorównania w kunszcie dorosłym kolegom, są dobrą prognozą na przyszłość. Zupełnie więc o nią spokojni, życzymy „Harnamowi" stu lat.

EWA PANKIEWICZ

Wzmożone uczucie przemijania

Wzmożone uczucie przemijania — to stan, który ogarnia wszystkich niemal bohaterów **„Nocnego tramwaju"**, debiutanckiego zbioru opowiadań **Józefa Stanisława Kmieciaka**, autora od dawna związanego z łódzkim środowiskiem młodoliterackim. Do tej pory Kmieciak z powodzeniem uczestniczył w kilku konkursach literackich, parę rzeczy opublikował w prasie literackiej, fragmenty jego prozy czytane były w Polskim Radiu, niedawno złożył w wydawnictwie powieść.

W trakcie lektury tych opowiadań pomyślałem, że są to utwory typowe dla tak zwanej młodej prozy, posiadające wszakże bardzo własne, odmienne oblicze. Typowość młodej prozy (podkreślana niezwykle mocno w wydanych ostatnio książkach krytycznoliterackich, takich jak „Następni" Leszka Bugajskiego czy „Dwa pejzaże świata" Bogusława Sławomira Kundy) zasadza się głównie na rozczarowaniu wobec zastanego świata, na nieprzystosowaniu bohaterów, przeważnie ludzi młodych, lecz już w jakiś sposób doświadczonych życiowo i intelektualnie, na pokazywaniu rozpiętości postaw wobec tak zwanej otaczającej rzeczywistości. Problemy te, rzecz prosta, towarzyszą każdej wstępującej generacji — różnice sprowadzają się na ogół do realiów i sposobów ujęć. Dzisiejsza młoda proza jest zasadniczo dość oszczędna w wyrazie i przywiązuje znaczną wagę do odświeżenia skonwencjonalizowanego języka literatury poprzez sięgnięcie do zasobów współczesnej polszczyzny mówionej, poprzez korzystanie z różnych jej odmian środowiskowych. Ów dopływ „językowej codzienności" był pod koniec lat siedemdziesiątych tak wyraźny, iż w oparciu o niego Henryk Bereza począł głosić „rewolucję artystyczną". Obecnie o rewolucji artystycznej raczej głucho, ale wyczulenie na językowy i nie tylko językowy konkret pozostało. I w tym zakresie można by uznać autora „Nocnego tramwaju" za dość typowego przedstawiciela młodej prozy.

Jego odmienność zaś tkwi przede wszystkim w sposobie argumentacji, w nawiązywaniu — być może w sposób nie w pełni świadomy — do pewnych doświadczeń literackich poprzedników.

Stało się przecież zwyczajem (inna sprawa, czy dobrym zwyczajem), że przy okazji debiutu wypada zastanowić się nad artystyczną czy ideową parantelą, wypada wkraczającego w życie literackie autora obdarzyć pewnym kontekstem. I w tym przypadku trudno się bez tego obejść, z tą może różnicą, iż prowokuje do takiej refleksji nie tyle sam zwyczaj, co po prostu konkretne utwory. Czytając opowiadania Kmieciaka mimowolnie wspomniałem modną przed półwieczem tendencję populistyczną, zapoczątkowaną przez Leona Lemonniera. Sens literatury dostrzegała ona w najściślejszym związku z życiem i nakazywała odzwierciedlać sytuację zwykłych, szarych, prostych ludzi, pokrzywdzonych przez los i przez innych ludzi. Nie precyzując płaszczyzny artystycznej populizm zalecał adekwatność przedstawionej rzeczywistości na zasadzie odbioru przez tak zwaną przeciętną świadomość. Populizm po prostu dokumentował negatywne przejawy życia, rejestrował zarówno jednostkowe, jak i zbiorowe zachowania wobec niesprzyjających okoliczności życiowych. Środowiskowa penetracja populistów miała dać literaturze „lekcję życia", to znaczy ukazać prawdziwe, niczym nie zafałszowane oblicze rzeczywistości. Myślę, że ze zbliżonego stanowiska wywodzi się pierwsza przesłanka interpretacyjna prozy autora „Nocnego tramwaju". Druga bierze się z tendencji, którą reprezentują u nas Marek Hłasko, Marek Nowakowski, Himilsbach. Przy czym chodzi mi tutaj nie o sam świat marginesu społecznego, najczęściej przez nich opisywany, ale o postawę outsidera, człowieka zagubionego w społeczeństwie, hołdującego własnemu kodeksowi moralnemu i towarzyskiemu, udającego człowieka silnego, lecz w gruncie rzeczy sentymentem podszytego i bezsilnego wobec bezmiaru ludzkiej krzywdy. Wydaje się, że zwłaszcza sentymentalizm bohaterów „Nocnego tramwaju" tu mógłby znaleźć swój rodowód.

Wracajmy jednak do samych opowiadań. Ich bohaterowie — rzecz charakterystyczna — ludzie starsi i mocno przez życie poturbowani doznają wzmożonego uczucia przemijania. Następuje to zwykle wówczas, gdy zdarzenie jakieś (z reguły niekorzystne) wyzwala w nich pamięć przebytej dotychczas drogi. Czują wtedy to, co odczuwa bohater „Przygody": **„Poczułem w sobie nagle ogrom poniżeń i bólu wszystkich moich przodków. Jak to tak? — pytałem siebie. Trzeba wreszcie wydobyć na wierzch prawdę naszego losu!"** I wydobywają, i zapamiętują się w tym swoim podłym losie, boć przecież wiedzą, że świat ma swoje prawa i jest raczej bezlitosny. Zdobywają się w końcu na odruch buntu i wówczas ciśnie się im na usta retoryczne pytanie: **„Kto potrafi przejąć się jeszcze cudzym losem? Wszędzie tylko obojętność, pycha i chamstwo. Skąd tyle nienawiści między ludźmi?"** Na to ostatnie pytanie próżno szukalibyśmy odpowiedzi w książce Józefa Stanisława Kmieciaka. Zdaje się on bowiem sądzić, że zło w człowieku jest immanentne i wieczne. Dlatego też trochę trudno zgodzić się z reklamową notą wydawcy, w której czytamy o „nieudacznikach". Chyba, że miano owo obejmuje nas wszystkich.

Proza ta jest raczej surowa, bardzo oszczędna w środki wyrazu, silnie (może nieraz zbyt silnie) zdialogizowana. Jakby autor posługiwał się magnetofonem. Niekiedy zaś nieco rozgadana w rezultacie nie zawsze najszczęśliwszych powtórzeń, w rodzaju: „Teofil już wraca, już nadchodzi".

Autor „Nocnego tramwaju" cierpliwie rejestruje ludzkie słabości, chcąc najwidoczniej zbliżyć się w ten sposób do prawdy życia, która w tych opowiadaniach smutny, by nie rzec ponury, znajduje wyraz. W jakiejś zapewne mierze czyni to ku przestrodze, ku refleksji. Jakkolwiek przecież wie, że „z samego czytania książek człowiek lepszy i mądrzejszy się nie stanie".

J. S. Kmieciak, Nocny tramwaj, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, nakład 9650 + 350 egz., s. 201, cena zł 40.—

Z półki recenzenta

AKCJA „MARZWIRBEL"

Dzień 15 marca 1939 r. był dla Czechosłowacji końcem jej niepodległości. Tego dnia oddziały faszystowskich Niemiec z trzech stron — południa, zachodu i północy — runęły na kraj. Był to prolog najstraszniejszej z wojen, której początek nastąpił pół roku później, 1 września.

Miloslav Moulis z drobiazgową skrupulatnością, niemal godzina po godzinie, przedstawia historię dni poprzedzających napaść, dzień utraty niepodległości i kilka dni później. Jest w tej książce pokazana bezradność ówczesnego rządu, bezkarność agentów V Kolumny, bezceremonialność wysłanników III Rzeszy i nadzieje miejscowych faszystów na przejęcie władzy. Jest też ukazany stosunek mocarstw zachodnich do losów Czechosłowacji (ostrożny, trochę mentorski wobec Hitlera, ale sprowadzający się jedynie do przekazywania not), której los, na dobrą sprawę, nikogo zbytnio nie obchodził.

Miloslav Moulis: Akcja „Märzwirbel" Czytelnik 1983 r. Str. 332. Cena 110 zł.

KOCZOWNICY

„Jak piersiowa choroba zżera płuca chorego, tak od wieków namiętność do podbojów zżerała serca Czyngisydów" — tak można byłoby najkrócej scharakteryzować temat książki kazachskiego pisarza Iliasa Esenberlina pt. „Koczownicy". Jest to bowiem opowieść (właściwie trylogia, bowiem „Koczownicy" stanowią jej tom pierwszy), o dziejach Kazachów od XV do połowy XIX w.

Bohater „Koczowników" chan Abulchair, jak inni chanowie i wodzowie, jest postacią historyczną. Opisane w powieści waśnie, zawiści, konflikty, walki, życie ludów koczowniczych, obyczaje — wszystko to posiada swój odpowiednik w zdarzeniach zanotowanych przez ówczesne kroniki i podania. Walory książki podnoszą dobry warsztat i sprawność pisarska autora, a także sumienny i wierny przekład dokonany przez Stanisława Kałużyńskiego.

Iljas Esenberlin: Koczownicy. Czytelnik. 1982 r. Str. 384. Cena 120 zł.

SZCZURY

Dziennikarz o wykształceniu prawniczo-handlowym Miguel Delibes jest u nas prawie nieznany. Zaczął pisać dość wcześnie i szybko zyskał rozgłos i sławę w Hiszpanii. Krytyka podkreślała i podkreśla jego niezwykłą zdolność do konstruowania fabuły, do rysowania postaw psychologicznych bohaterów swoich książek.

„Szczury" — minipowieść, uznana przez niektórych za szczytowe osiągnięcie Delibesa, jest przejmującą opowieścią osadzoną w realiach wsi kastylijskiej, pełną egzotyki, opisów obyczajów, nawyków i przesądów. Jej bohaterowie Nini, Szczurolap, Justo, Sime i inni przeżywają swoje małe zmartwienia, radości i dramaty. Ich świat jest mały, sprowadzony do wioski i jej okolic, ale jest on jednocześnie wielki ze względu na wypadki, jakie się w nim rozgrywają.

Przekładu dokonał Jerzy Kühn.

Miguel Delibes: Szczury. PIW 1983 r. Str. 150. Cena 80 zł.

CZARNE ŁABĘDZIE

Dyplomata, profesor w Akademii Sztuk Pięknych, redaktor naukowy „Literaturen front" pierwszy wiceprezes Związku Pisarzy Bułgarskich, ale przede wszystkim poeta i prozaik Bogumił Rajnow, znany jest polskiemu czytelnikowi z wydanych tomików opowiadań „Noc na bulwarach" i „Moja nieznajoma". Obecnie otrzymaliśmy miniopowieść pt. „Czarne łabędzie", rzecz dość ciekawą, napisaną sprawnie, o wartkiej akcji.

„Czarne łabędzie" — to opowieść o środowisku baletowym, o jego specyfice, o jego, nieznanych szerzej, problemach, a przede wszystkim o ambicjach, o marzeniach o sławie i sukcesach. Jak w każdej społeczności, tak i tu do głosu dochodzą ludzkie słabości i słabostki, powstają intrygi, rodzą się konflikty. Jest to także opowieść o dziewczynie dążącej do osiągnięcia sukcesu, choć napotyka na swojej drodze wiele przeszkód, niepowodzeń i porażek.

Przekład: Hanna Karpińska.

Bogumił Rajnow: Czarne łabędzie. PIW 1983 r. Str. 124. Cena 60 zł.

PIĘKNA HELENA

Miroslav Josić Višnjić jest postacią niezwykłą: pisze książki, sam je opracowuje, sam je drukuje i sprzedaje tym, kogo sam wybierze. Cena — jeden procent od pensji nabywcy. W Jugosławii istnieje jedna jedyna tego typu drukarnia — wydawnictwo „Fabryka literacka MJV i dzieci". Jest to autor niespokojny, niekonwencjonalny i osobliwy.

„Piękna Helena" jest zbiorem 19 opowiadań, po raz pierwszy wydanych po polsku i sądząc z ich treści i sposobu narracji, znajdą uznanie u naszych czytelników, tym bardziej, że nie są to zwyczajne opowiastki, lecz małe studia o ludziach i świecie ich otaczającym, o sprawach dnia powszedniego, i o tym, co tkwi głębiej w człowieku, czyli o psychice.

Przekład: Magdalena Petryńska.

M. J. Višnjić: Piękna Helena. PIW 1983 r. Str. 156. Cena 80 zł.

SALVATORE INCORPORA, rzeźbiarz i poeta sycylijski, mieszka w Catanii. Urodzony w 1920 r. w Reggio Calabria. Otrzymał nagrodę „Premio Verga Pennello d'Oro" za malarstwo. Medale na międzynarodowych konkursach poezji. Pracuje w kolegiach redakcyjnych kilku czasopism włoskich. W czasie ostatniej wojny był w obozie jeńców włoskich w Zawierciu. Poniższe wiersze są wspomnieniem z pobytu w Polsce. Wydrukowane w tomie poezji: „Salvatore Incorpora, OSSA VIVE, Catania, 1969".

Twój szal

Twoim szalem, kobieto polska,
chroniłem się przed zimnem pod koszmarem śmierci.
Żołnierz niemiecki,
— który przeznaczył piec dla mnie —
dobry w tę noc
powierzył mnie mrozowi księżyca.
Kiedy okrutne bicie serca
liczyło godziny do końca
w wozie zaplombowanym wśród żywych kości Żydów
twój szal okrywał moją powolną agonię...
Partyzant polski
spojrzał na mnie oczami nieba
zerwał mi szal z grzbietu,
„mamusia!" krzyknął...
Podał mi swoje ramię bohatera.
dał mi pić.

Bariery

W twoim kraju jest zimno
podczas gdy słońce
w moim igra z trawą
a pomarańcza krwawi się ogniem.
Jeszcze czuję słodkość
twego wojennego chleba,
ciepło czapki spoconej
i słyszę ciężki twój oddech
gdy przesłuchiwał
pułkownik niemiecki.
Potem objęliśmy się ponad ruinami
twojej białej Polski
ażeby nie zobaczyć się więcej. Teraz
granice dla ciebie, dla mnie...
i mury między Bałtykiem a Morzem Jońskim.

Sama z zimnem

Spłoszone miałaś oczy
kiedy razem złączeni w oczekiwaniu
kradliśmy dzień jutrzejszy, nadziei.

Było zimno w polu
wśród krzewów i krzewów
i krew zmieszana z gliną.
Pozostawiłem ci bijące serce w żywocie,
krew Calabrii...

Wyczerpany nienawiścią,
wspomnienie o tobie zasmuca wizja —
krzewy i krzewy...

Mój syn nie będzie umiał zawołać mnie
i może przez los lub nieszczęście
strzeli mi w pierś na granicy.

Przełożyła: NATALIA CANOVA

Benon

Był jednym z kilku Wielkich, na miarę naszych czasów i łódzkiego środowiska, z którym związał się już na zawsze. Jego nazwisko wymieniało się jednym tchem mówiąc o współczesnym łódzkim malarstwie i twórcach z fabrycznego miasta, najczęściej z dumą — bo przecież znany był szeroko poza Łodzią. Obrazy BENONA LIBERSKIEGO są jak emblematy, łatwo rozpoznawalne, nawet dla „nieopatrznego" widza. Nie brakowało ich dotąd na żadnej ważniejszej wystawie, bo inaczej pejzaż współczesnej sztuki byłby niepełny. Kupowały je też chętnie muzea i prywatni kolekcjonerzy.

Należał do pokolenia całkowicie już uformowanego w powojennej rzeczywistości. Miało to — a z pewnego dystansu czasowego ocena taka jest możliwa — podwójne znaczenie dla artystycznej postawy Jego i rówieśników: dziedziczyli oni tradycję rzetelnego profesjonalizmu, może nawet sposób bycia dawnej bohemy, ale przede wszystkim uznawali nowy rodzaj powinności artysty. Słowa „zaangażowanie" jest tu najwłaściwsze i tak właśnie rozumieli swoje zadania w czasach, gdy miało jeszcze elementarny sens. Liberski i współcześni mu widzieli dobrze, jak na ich oczach „zaangażowanie" zmienia się w pustą deklarację. Wielu starało się wyjść temu naprzeciw i ożywiać własną postawą zapomniane już ideały.

Dla Benona Liberskiego zawsze to słowo - klucz znaczyło określoną filozofię łączenia w jedno postępowości i prostoty z bogactwem treści i wyrazistością formy. Niełatwo jest odtworzyć taką doktrynę bez wyjaskrawień i uproszczeń pamiętając, że uległa już mitologizacji. Liberski nazywał siebie po prostu realistą i nie był przywiązany do etykietek.

W przyszłym roku minie 20 lat odkąd zaczęto mówić o „ŁÓDZKICH REALISTACH". Cała grupa: JERZY KRAWCZYK, BARBARA SZAJDZIŃSKA, WIESŁAW GARBOLIŃSKI, JÓZEF SKROBIŃSKI, LESZEK RÓŻGA i BENON LIBERSKI wystawiała już wcześniej (razem lub indywidualnie), ale od pewnego momentu stało się jasne, że tworzą szkołę o bardzo wyrazistych cechach, że próbują inaczej określić swój stosunek do świata. Sztuka — według nich — powinna służyć ludziom, musiała więc być przede wszystkim humanistyczna w takim sensie, jaki nadawał jej Herbert Read: zrozumiała, żywa, czasami też agitująca. Krytycy u realistów z Łodzi odnajdywali pokrewieństwo z klarownością i siłą włoskiego neorealizmu, drapieżnością modnego wówczas Buffeta, ideowym przesłaniem polskich rówieśników spod znaku Arsenału. Ale oni chcieli także manifestować swoją genealogię z robotniczego miasta, szukając tematów na ulicach i w domach mieszkających tu ludzi. Liczyli, że właśnie Łódź najlepiej zrozumie humanistyczny sens ich sztuki, ale nie pragnęli także ulegać zbytniemu naturalizmowi. Stąd zrodziła się metafora jako artystyczny sposób przetwarzania rzeczywistości, pod postacią nastrojowego liryzmu albo: opowiadania prostymi, malarskimi środkami o rzeczach i zjawiskach uwikłanych w filozoficzne konteksty.

Z całej grupy Liberski zwrócony był najwyraźniej w kierunku zaangażowanej ekspresji. Malarstwo, pomyślane jako świadectwo aktualnych nastrojów i tematów, często z codziennych sytuacji, w swojej warstwie formalnej było równocześnie najbardziej komunikatywne. Dlatego potrafiło głęboko zadomowić się w pamięci wystawowej publiczności po to, aby na kolejnej wystawie być już witane jako coś znajomego i bliskiego.

„Łódzcy Realiści" poszli dalej własnymi drogami, ale Benon Liberski pozostał chyba najbardziej wierny dawnemu programowi. Obrazy z kolejnych stadiów Jego twórczości: serie westernów, dyspozytorów z wielkich fabryk, kosmonautów, sportowców zatrzymanych w dynamicznym ruchu, rekwizytów powszedniego dnia czy zmysłowych aktów, były tylko coraz bardziej kolorowe i dekoracyjne — za każdym razem będąc też komunikatami artysty o aktualnych sprawach. Dzieje rozwoju i przemian zachodzących w Polsce lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (jeśli przyszli autorzy będą o tym pamiętać) można ilustrować tymi płótnami -plakatami, pokazującymi w skrótowej formie uprzemysłowienie, cywilizacyjny i konsumpcyjny awans czy zmiany obyczajów. Odbijają się w nich modne stereotypy i mity z kręgu „masowej wyobraźni", przeglądają nieraz komiksowe marzenia o lepszym, barwniejszym życiu. Na wielu z nich jest także twarz Artysty-obserwatora, nie w roli filozofa, ale uczestnika i partnera.

Obserwator ten umiał cieszyć się własną pracą i nie udawał nigdy pogłębionej analizy rzeczywistości, rozumiejąc dobrze zmienność upodobań i symboli. Od dłuższego czasu Jego obrazy zdawały raczej mówić: artysta jest tu z wami po to, aby zapisać jakoś wszystko, co nas intryguje i co jest tego warte, a przy tym nie znudzić. Sposób zapisu musiał być (z konieczności) szybki, a forma — skrótowa, bowiem w kolejce czekały już nowe tematy, mocniej jeszcze intrygujące. Taki sposób obrazowania świata nawiązuje bardziej do filmu dokumentalnego i jego wrażliwości na procesy zmian, niż do tradycyjnej refleksyjności sztuki. Być obecnym i dawać temu wyraz w artystycznej formie — tak można by odczytać program zaangażowania, któremu Benon Liberski pozostawał wierny. Łatwo znaleźć przykłady malarstwa bardziej nowoczesnego, ale trudniej — wskazać postawę lepiej oddającą aktywny stosunek do współczesności. Historycy malarstwa niebawem to docenią.

Liberski był też pedagogiem, wychowawcą całych pokoleń absolwentów łódzkiej uczelni plastycznej. W Jego osobowości mało jednak było akademickiej powagi. Uczył warsztatu, zasad kompozycji i ekspresji, ale przede wszystkim starał się być blisko swoich młodszych kolegów-uczniów. Nikt Go przy tym nie posądzał o kokietowanie młodzieży, a tradycja stosunku Mistrz — Adept była przestrzegana. Mimo to przebywanie w Jego pobliżu dawało pewność, że łączą te same problemy; Mistrz tylko lepiej je rozumie i potrafi zilustrować bardziej zwięźle — tak, by potem wszyscy Go rozumieli.

Benon Liberski zmarł w Łodzi 15 kwietnia 1983 r.

ANDRZEJ MAJER

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

MAJOWE ŻYCZENIA

U schyłku kwietnia witamy w naszym Bigosie pierwszomajowe święto, święto wiosny, młodości, nadziei. Maj to miesiąc kwiatów, oby dostępnych dla kieszeni przeciętnego śmiertelnika, miesiąc majowek i ludowego zwyczaju majenia domów i izb mieszkalnych. Paniom przeto życzę więcej uśmiechu i szczęścia, panom zaś poniektórym, by się im spełniły życzenia zawarte w „Cosmopolii polskim kalendarzu na rok Pański 1753":

W maju dobry trunek pijaj,
Grzecznych białych głów nie mijaj,
Nie wstydź się do wdowy chodzić,
Jeśli jej umiesz dogodzić!
A zrozumieszli co po niej,
Bierzże się, nieboże do niej.
Il conte Serpentine della Ruda granda

Władysław Wężyk (1816—1848), bratanek poety Franciszka Wężyka, serdeczny przyjaciel Cypriana Norwida, zwiedzał w latach 1839—1841 Egipt, Palestynę, Syrię, Turcję, Grecję i Włochy. Plon swej wędrówki opisał w książce „Podróże po starożytnym świecie" (Warszawa 1842). Paulina Wilkońska w „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskim w Warszawie" odnotowała, że Wężyk „we Włoszech kazał sobie podobno przez żart wydrukować bilety: „Il conte Serpentine della Ruda granda". Majątek Wężyków w Lubelskiem nazywał się Wielka Ruda". Aleksander Weryha Darowski w rękopiśmiennych zapiskach do własnej książki „Jeden rozdział do przyszłej księgi przysłów polskich" (Kijów 1867) zamieścił zabawną anegdotę o tym jak to Wężyk po powrocie do Warszawy używał wizytówek z tytułem beja i opowiadał przygody ze swych egzotycznych podróży tak nieprawdopodobne, że ktoś podejrzliwy ułożył złośliwą fraszkę, która lotem błyskawicy obiegła ówczesną Warszawę:

„Wężyku beju, więcej oleju!"

PRZYGANA I POCHWAŁA KAWY

Zdrożała nam kawa ostatnio tak bardzo, że mniemać należy, iż Polacy do aromatycznego napoju z dawien dawna przywykli, w srogą desperację popadną. Pewnie wnioskujący o cenie kawy uznali ją za wymysł szatański, może mając na myśli wiersz Jana Andrzeja Morsztyna:

„W Malcie-śmy, pomnę, kosztowali kafy,
Trunku dla Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby
Niech chrześcijańskiej nie plugawi gęby!"

Inaczej, bardziej ciepło, napisał ks. Gabriel Franciszek de Le Jay, o czym świadczy tłumaczenie pióra Józefa Epifaniego Minasowicza, poety z czasów stanisławowskich. Oto zakończenie utworu:

„Ma ze mnie pomoc zdrowie, ma wesołość serce,
I jeśli gorycz jaka, znak smutku, jest we mnie,
To jednak podniebieniu smakuje przyjemnie".

CHOCHLIK DRUKARSKI

Posiadam w swoim księgozbiorze niezmiernie rzadki egzemplarz „Wspomnień" biskupa Adama Stanisława Krasińskiego (Kraków 1900), stanowiący ongiś własność ordynata Edwarda Krasińskiego. Przepisuję z tej uroczej książeczki przygodę jaka się przydarzyła historykowi prawa ks. Maciejowi Dogielowi (1715—1760), wydawcy cenionego do dziś zbioru dokumentów „Codex diplomaticus Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae":

* * *

„Ks. Maciej Dogiel drukował swój „Codex diplomaticus" w Wilnie w drukarni pijarskiej i sam postanowił robić korektę. Prefekt drukarni powiedział mu, że autor najłatwiej pomyłki nie dostrzeże. A gdy Dogiel stał przy swoim, prefekt powiedział, że na pierwszym arkuszu znajdzie się omyłka. „Załóżmy się" — „Dobrze." — „O co?" — „O parę butelek wina." — „Zgoda." — Wydrukowano tedy pierwszy arkusz. Dogiel zrobił jedną i drugą korektę i oddał do druku. Przychodzi prefekt i pyta: „Czy drukować?" — „Czy nie ma omyłki?" — „Nie ma" — „Posyłaj więc Reverendissime po wino." Zdumiony Dogiel patrzy, aż on pierwszej litery tytułowej nie dostrzegł, gdzie zamiast: „Codex diplomaticus", wydrukowano wielką literą „Podex diplomaticus".

Dla wyjaśnienia dodajmy, że „podex" w języku łacińskim oznacza po prostu „zadek".

WDZIĘKI BIAŁOGŁOWSKIE

Dawna poezja polska obfitowała w teksty pisane dobrym przyjaciołom gwoli i rozpowszechniane w rękopiśmiennych kopiach, dzięki czemu przetrwały do naszych czasów na przekór ostrej cenzurze kościelnej i obyczajowej. Przytaczamy dziś szczęśliwie ocalały wiersz Ottona Melandra w tłumaczeniu Olbrychta Karmanowskiego, opiewający najskrytsze uroki płci nadobnej:

Trzydzieści sztuk mieć winna każda białogłowa,
Chce-li być gładka jako córka Tyndarowa.
Białych trzy, czarnych także, trzy też upatrować
Rumianych: długich, krótkich, w tąż się ma najdować.
Trzy miąższych; cienkich, ciasnych po trzy, także wiele
Przestronnych; małych też trzy ma być w uiecznym ciele,
Biała płeć, żeby jak śnieg, taż fa'da warkoczy,
Czarne brwi, gdzieś jak Murzyn, a sokole oczy.
Wargi, pazur rumiane, jak koral jagoda,
Włos długi, ręka także, wspaniała uroda,
Ząb drobny, uszko, nóżka, a przestrone
Piersi i pani stara, wiec brwi niespojone,
Krok ciasny, usta równe, wcięte w pas jak łątka,
Nos mierny, głowa mała, niewielkie drażniątka,
Zad i uda subtelne, cyś jak najiedrniejszy,
Warga, palec, włos im jest cieńszy, tym piękniejszy.

TYM, KTÓRZY NISZCZĄ KSIĄŻKI

Z każdą zniszczoną książką ginie część jakaś żywota ludzkiego na ziemi

J. I. Kraszewski, Metamorfozy (1859)

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

„Norma" w normie?

To już trzecia pod rząd premiera, dzięki której Teatr Wielki pod nową dyrekcją zapoznaje publiczność z dziełem operowym od dawna w kraju nie wystawianym i realizuje konsekwentnie linię repertuarową wypełniającą luki w edukacji łódzkiej widowni. Tak, w edukacji raczej, niż w umuzykalnieniu, po „Fidelio" bowiem, którego walory muzyczne są przecież bezsporne, otrzymaliśmy kolejno dwa utwory pod tym względem nie tak wysokiego lotu, reprezentatywne za to dla ważnych epok w rozwoju sztuki operowej: „Żydówkę" — dla francuskiej „wielkiej opery", a obecnie „Normę" — dla nieco wcześniejszego okresu i stylu — bel canta, w historycznym, nie zaś dowolnym rozumieniu tego pojęcia.

Skoro już wybór padł na tę właśnie operę Belliniego, trzeba przyjąć, że teatr musiał się liczyć ze swoimi możliwościami obsadowymi, które dotychczas oceniał na ogół trafnie, przede wszystkim (ale nie tylko!) z obsadzeniem roli, a ściślej — partii tytułowej, która, jak się o tym widzowie przekonali, wymaga wielkiego kunsztu wokalnego, niezależnie od rzadkich predyspozycji głosowych: dramatycznych w połączeniu z koloraturą. Ale, wiadomo na kogo można zawsze u nas liczyć!

Do pozostałych partii trzeba też nie byle jakich umiejętności, w sumie więc ostateczny sukces zależy tu, w wyjątkowym stopniu, od pięknych i wzorowo wyszkolonych głosów, sama bowiem poprawność wykonawcza nie wystarcza, by zatuszować dość liczne dłużyzny i banalności strony muzycznej utworu. Nie powinna nas dziś zwodzić wielka admiracja Chopina dla Belliniego, i to właśnie dla „Normy". Nasz genialny kompozytor nie cenił zresztą Mendelssohna, Liszta, Halevy'ego, którzy mu z pewnością (podobnie jak i Bellini) nie dorównywali, w tym jednak rzecz, iż nawet najwybitniejsi twórcy mylili się często w artystycznej ocenie wartości dzieł swoich współczesnych, jak choćby Mickiewicz, który wyżej stawiał poezję Malczewskiego niż Słowackiego, co dziś wydaje nam się niepojęte. Widocznie niezbędny jest nieraz pewien dystans czasu, a niezależnie od tego Chopin pozostawał pod urokiem niezwykle ujmującej osobowości starszego o kilka lat Włocha, co też mogło być nie bez znaczenia.

Co do samej akcji scenicznej „Normy", której osnową są szlachetne porywy wyzwoleńcze Galów przeciwko rzymskiej przemocy, charakteryzuje się ona, ośmielam się twierdzić, zbytnią zawiłością motywacji postępowania tytułowej bohaterki i pewnymi niedostatkami psychologicznego rysunku postaci, a musi to wyjść na jaw w chłodnej analizie stanowiska Normy wobec powstania przeciwko Rzymowi i jej stosunku do ukochanego Polliona, rzymskiego prokonsula. Jest to romantyczna heroina, zdolna do czynów niezwykłych w tej samej mierze co niezbyt wiarygodnych, jakby dalekie odbicie antycznej Medei, z którą się po części kojarzy, jednak bez jej tragicznego wymiaru.

Trzeba było dopiero wielkiego talentu interpretacyjnego ogromnej siły wyrazu dramatycznego i jednocześnie lirycznej ekspresji *Teresy May-Czyżowskiej*, żeby do końca uwiarygodnić przeżycia głównej bohaterki, dla których przecież nie najwłaściwszym środkiem artystycznym jest... koloraturowa wirtuozeria, jak tego jednak wymaga kompozytor i styl tej epoki. Na całkowity sukces tej nowej kreacji naszej znakomitej śpiewaczki złożyła się też, oczywiście, niezwykła sprawność i precyzja techniczna w wykonaniu koloraturowej ornamentyki, nie na zasadzie czystego popisu, lecz w intencji przyporządkowania dramatycznym treściom. Nie tylko porywająco wykonała słynną arię „Casta diva", ale ponadto „Śpią dzieci moje" z II aktu — o wielkiej rozpiętości skali i dynamiki, czy też wielce dramatyczna arie „W moich rękach teraz jesteś", przez całe bowiem ogromne dwa akty artystka nie ma prawie chwili wytchnienia. Dodajmy, iż interpretacja aktorska, bardziej koncentrująca się na mimice i geście, niż wyrażana w ruchu, doskonale przekazywała stan przeżyć bohaterki. I cóż za dykcja!

Dotrzymywanie kroku tak znakomicie śpiewającej artystce z pewnością nie jest zadaniem łatwym. Toteż z dużym uznaniem należałoby ocenić rzetelne wokalnie i także muzycznie przygotowanie roli przez *RYSZARDĘ RACEWICZ (Adalgiza)*, choć współbrzmienie obu głosów w dwu wielkich i jakże trudnych duetach, a zwłaszcza w pierwszym, nie było chwilami miłe dla ucha, mogła też budzić zastrzeżenia mimiczna strona interpretacji roli w momentach najtrudniejszych wokalnie.

Wzorową muzykalność, niezawodność wokalną i sugestywne aktorstwo zaprezentował w roli *Orowista ZDZISŁAW KRZYWICKI*. Należycie wywiązał się też ze swoich stosunkowo niewielkich zadań w roli *Flavia ROMAN WERLIŃSKI*. Nie można tego, niestety, powiedzieć o tak pierwszoplanowej postaci kochanka Normy i ojca jej dzieci, którego wspaniale rzymskie imię Severus zastępuje się, podobno powszechnie, z włoska brzmiącym *Pollionem*. W nieświetnej bowiem kondycji głosowej był *JÓZEF PRZESTRZELSKI*, nie zawsze pewny intonacyjnie, nie przekonujący aktorsko, słowem — w najlepszym razie — nietrafnie obsadzony. Rolę *Klotyldy* wykonywała *STANISŁAWA SZOPIŃSKA*.

Reżyserce, wydaje mi się, zabrakło spójnej koncepcji scenicznej, odczuwało się jakby brak zdecydowania w wyborze konwencji, rozgrywano akcję po części statycznie, zgodnie z wymaganiami epoki, po części uwspółcześniając przez szereg działań ruchowych o wątpliwej wymowie. Niezbyt fortunnie ruchowo wypadł duet pań II aktu, obejmujących się nieporadnie, a znów chór ustawionej w dwa rzędy zbrojnej drużyny, usłyszawszy wyznanie Normy, że to ona właśnie jest winna zdrady, wykonał nagle w tył zwrot, odwracając się od siebie twarzami, zamiast chyba zwrócić się w stronę bohaterki, jeśli ten manewr miał mieć związek z tak ważnym momentem.

Pięknie i nie szafując środkami skomponowała oprawę sceniczną scenografka Półkoliście, w górę od ofiarnego stosu wznosiły się szare kamienne stopnie pogańskiego ołtarza, obramowane w centralnym punkcie rozpostartymi konarami drzew świętego gaju. Te stopnie notabene, przysparzały jednak niemało kłopotu aktorkom ubranym w powłóczyste suknie. Zmiana scenerii wprowadziła widza w zaciszny nastrój domostwa Normy, utrzymany w tonacji ciepłego brązu. Widniejące w tle znaki (runicznego pisma?) odwołują się do dawności i poniekąd historyczności sprawy. Dobrze harmonizowały z dekoracją kostiumy o stonowanej kolorystyce.

Orkiestra, prowadzona bardzo sprawnie przez *TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO*, wypełniała swoją w znacznej mierze akompaniatorską funkcję jak najlepiej, brzmiała czysto i soczyście, nie przytłumiała solistów, dyscyplinowała na ogół skutecznie pod względem rytmicznym. Chór wykonywał swoje zadania w sposób zadowalający.

Tyle — o pierwszej obsadzie i... tylko o pierwszej. Dlaczego unikam oglądania i słuchania drugiej? Żeby ich nie konfrontować! Wydaje mi się, że podwójne premierowe obsady są przynajmniej jako reguła niepotrzebne, chyba że mogą one może sens w rzadkich przypadkach, kiedy teatr rozporządza tak znaczną rezerwą we wszystkich kategoriach głosów, iż nie wiadomo, komu powierzyć premierową rolę, aby przedstawienie jako całość było sprawdzianem najwyższych w danym momencie możliwości teatru. Ponadto, według mnie, dopuszczalne jest orzekanie każdego artysty w odniesieniu do jego roli w danym przedstawieniu, ale jako zbyt kłopotliwe dla recenzenta (i niestosowne wobec artysty) odczuwam porównywanie go z kolegą kreującym na zmianę tę samą postać. Być może praktykuje się to w wielu krajach, nasza jednak łódzka czy polska publiczność, oglądająca z reguły tylko jedno przedstawienie, a więc jedną obsadę, takich porównań nie potrzebuje.

Rozumiem zresztą, że im więcej „premierowych" obsad tym większy prestiż teatru w opinii publicznej...

JERZY KWIECIŃSKI

Vincenzo Bellini „Norma" — opera w dwóch aktach. Kierownictwo muzyczne — **Tadeusz Kozłowski**, inscenizacja i reżyseria — **Alicja Dankowska**, ruch sceniczny — **Zygmunt Kamiński**, dekoracje — **Jadwiga Jarosiewicz**, kostiumy — **Teresa Działak**, przygotowanie chóru — **Henryk Karpiński**. Premiera w Teatrze Wielkim w Łodzi 16 kwietnia 83 r.

Foto: Chwalisław Zieliński

Dokończenie ze strony 1

legły się brawa, co tam jest nietypowe. Ponadto trzeba odnotować sukces „Manekinów" Marka Grzesińskiego i Janusza Wiśniewskiego oraz wielką karierę Igora Mitraja.

— Ostatnio wydarzeniem i sensacją we Francji był telewizyjny film w trzech odcinkach z Brigitte Bardot w roli głównej i jej wywiad-rzeka. Czy pani oglądała ten film?

— Nie, bo w tym czasie byłam na zdjęciach filmowych w Polsce. Ale słyszałam od znajomych, że Bardot zaprezentowała w nim niesłychaną skromność, bezpośredniość, prostotę i odzyskała swoich dawnych wielbicieli, a także pozyskała nowych — młodzież. Poczyniła też wraz z reż. Rogerem Vadimem starania, aby ich pierwszy, głośny film „I Bóg stworzył kobietę" był pokazany francuskiej młodzieży.

— Podczas gdy Bardot zeszła z ekranów kinowych, pani gości na nich częściej niż zwykle i kręci film za filmem. Mało tego, pani, polski odpowiednik BB, nie zamyka się w swoim dworze a wsi z licznymi psami, kotami, kozami i osiołkiem.

— Gram równo, choć zastanawiam się czasami, czy można tak całe życie grać w filmie? Czasami nie ma mnie miesiącami w domu i gdy później muszę ponownie wyjechać, czuję się nie najlepiej, bo córki znowu będą same. Moja praca, mimo swojej intensywności i różnorodności zadań nigdy nie zastąpi mi dzieci. Odczuwam większą satysfakcję z ich wychowania i obserwacji — jak daleko można mieć wpływ na rozwój ich osobowości — aniżeli ciągłego grania w filmach. A ponadto mam tylko jednego psa i to mi wystarcza.

— A kiedy przebywa pani we Francji, kto zarządza dworem we wsi Głuchy?

— Kocham ten dom, robiłam i robię wszystko, aby był w jak najlepszym stanie. Np. wszystkie pieniądze, jakie otrzymałam za pracę w dwóch ostatnich filmach: „Synteza" i „Sexmisja", przeznaczyłam na konserwację okien we dworze. Nie mogę się wciąż doprosić, aby konserwator przysłał ekipę w celu wykonania sanitarnego cięcia parku, bo sama nie mogę zapewnić zrobienia tych niezbędnych czynności. Przecież ten dwór po Norwidzie to zabytek podlegający ochronie.

— Jaką nagrodę przyznano pani za uratowanie tego dworu, bo gdyby nie jego zakup i odrestaurowanie go przez panią i Andrzeja Wajdę, nie byłoby po nim wspomnienia?

— Pan żartuje. Miałam i mam same trudności. Byłam czterokrotnie okradziona. Nie chodzi tylko o poniesione straty materialne. Pozbawiono mnie nawet tych pamiątek, do których byłam szczególnie przywiązana. Gromadziłam dzieła sztuki, nieraz kosztem sporych wyrzeczeń. Teraz straciłam serce do tego, by ponownie je gromadzić.

— Przydałaby się chyba stała obecność męża w kraju. A propos mężów. Andrzej Wajda jakoś dziwnie zachowywał się w stosunku do pani, bo w swoich filmach kr wał inne gwiazdy, a nie swoją żonę?

— Zawsze starałam się grać to, co jest dla mnie i nigdy nie korzystałam z przywilejów. Mogłam zagrać główną rolę w filmie „Wszystko na sprzedaż", ale zrobiłam wszystko, aby ściągnąć do kraju Elżbietę Czyżewską, która tę rolę zagrała.

— Ostatecznie zagrała pani samą siebie, zresztą tylko ten jeden raz w filmie, to trudne zadanie?

— Nie, bo nie była to główna rola. Interesowało mnie budowanie scenariusza, poszczególnych postaci, po prostu pracowałam przy tym filmie.

— Zostańmy przy pani pracy filmowej. Stworzyła pani lub zrobili to realizatorzy filmów — mit aktorki-arystokratki. Przebiegało to świadomie i konsekwentnie, czy też odbywało się to jakby poza panią?

— Uważam, że nie ma takiego mitu. Moja pierwsza rola filmowa była kostiumowa, po prostu dałam się ubierać w kostiumy, w tamtym okresie kręcono dużo filmów kostiumowych, ekranizowano literaturę, w której widziano mnie w pewnych rolach: Dona Rebeca Uzeda w „Rękopisie znalezionym w Saragossie", Księżniczka Elżbieta w „Popiołach", Maria Walewska w „Marysi i Napoleonie", Izabela Łęcka w „Lalce", Warwara w „Szlacheckim gnieździe" czy Ewelina Hańska w „Wielkiej miłości Balzaka". Filmy opowiadające pewne anegdoty historyczne, o wysokich nakładach finansowych.

Arystokratka? To nie ma znaczenia, to pomylenie pojęć, to raczej przebranie mnie w kostium.

— Z pochodzenia jest pani arystokratką z rodu słynnych Tyszkiewiczów?

— Tak.

— Dziwię się więc trochę, że hrabina Tyszkiewiczowa zgodziła się, aby jej kilkunastoletnia córka Beata, będąc uczennicą gimnazjum zagrała w filmie: Klarę w „Zemście", a później np. bufetową w budce z piwem w „Szklanej górze"?

— Gdybym nie zagrała Klary, skończyłabym weterynarię i nie byłabym aktorką. Ale moja mama zawsze chciała być aktorką, tylko ojciec nie chciał się zgodzić. Skończyła więc z odznaczeniem rolnictwo, mleczarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz praktykę w Szwajcarii. Zdarza się, że wypełniamy ambicje rodziców.

— Co właściwie zadecydowało, że została pani aktorką?

— Przypadek, bo co może zadecydować, gdy gra się w filmie w wieku 15 lat. Wybór mnie do roli Klary w „Zemście", a potem tego konsekwencja.

— Pani indywidualny i unikalny przypadek w polskim aktorstwie obalił pogląd, że tylko teatr może ukształtować aktora, zapewnić mu rozwój rzemiosła i dalszą karierę w zawodzie?

— Teatr jest pewną podstawą, równowagą zawodową. Grając oprócz filmu i telewizji jeszcze w teatrze, musiałabym wybierać pomiędzy aktorstwem a domem. Nie miałabym czasu na wychowanie dzieci. Wolę więc oglądać moich kolegów na scenie i czegoś się jeszcze nauczyć. Rozumieją mnie ci aktorzy, którzy odnosili sukcesy w filmie, poza teatrem, inni, którzy tego nie doświadczyli nie zrozumieją.

— Naprawdę nie chciałaby pani zagrać w teatrze?

— Nie. Marzyłabym raczej, aby stworzyć teatr dla innych, jako jego organizator. Teatr, w którym aktorzy mogliby zagrać coś naprawdę ich interesującego, przed małą widownią, on spektaklu w macierzystym teatrze. Może byłby to kabaret? Bez prawa rejestrowania i szerszego pokazywania? Maciej Wojtyszko zaproponował mi rolę w sztuce Goldoniego na scenie Teatru Powszechnego w Warszawie. Na jej przyjęcie nie pozwoliły mi terminy zdjęć w filmie.

— Ale etat i przywileje z tego tytułu płynące...

— Nie mam etatu, nie mam świadczeń, mam wolność, mogę robić co chcę...

— I jest pani w stanie utrzymać dom warszawski, dwór na wsi, córki, siebie, służbę, na odpowiednio wysokiej stopie życiowej?

— Dostosowuję się do swoich możliwości, żyję bardzo skromnie, niczego mi jednak nie brakuje.

— A więc tylko film i wysokie stawki aktorki-gwiazdy. Jakie kino najbardziej pani lubi?

— Kino z rodziny filmów amerykańskich, świetnie zrobione, szalenie profesjonalne, także filmy psychologiczne i mistrzów: Felliniego, Bergmana, Viscontiego.

— „Chcę grać w filmach współczesnych, postacie wzruszające, przejmujące" — to pani słowa z wywiadu sprzed 10 lat. I co, grała pani?

— Grałam, we własnej skromnej sukience, bez makijażu.

— Tylko, że to trochę ryzykowna sprawa, pokazywać się bez makijażu, tej całej oprawy charakterystycznej i niezbędnej dla pani wizerunku najpiękniejszej gwiazdy polskiego ekranu?

— Ale te role przeplatają się z tymi, w których mam makijaż i oprawę.

— Wcześniej chciała pani spróbować sił w komedii typu „Pół żartem, pół serio" lub „Garsoniera", ale się nie udało?

— Nie może się wszystko udawać w życiu, proszę pana.

— Pamiętam jak kiedyś powiedziała pani, że aktorstwo filmowe nie może istnieć bez sukcesu, że to jest jeden z najsmutniejszych zawodów, który bez sukcesu nie staje się zawodem, tylko obciążeniem. Ten sukces można sobie zapewnić?

— Nie, bo sukces mogą nam zapewnić tylko inni ludzie.

— Pani udało się jak mało której z polskich aktorek, gdyby jednak...

— Interesuje mnie tak wiele rzeczy, że nie przeżywałabym tak bardzo ewentualnego niepowodzenia. Nie jestem aktorką z urodzenia. Grywam w filmach, bo lubię to robić, ale nie zastąpi mi to domu, dzieci, przyjaciół, tego wszystkiego, co oprócz filmu również kocham i cenię. Haftuję, rysuję, piszę, pokażę panu jako relaksowy drzeworyt w tym wywiadzie moje dzieło — obraz wyhaftowany z koralików, piór i starych koronek.

— Ładny i oryginalny. Gratuluję! Jak czas pracuje dla aktorki-gwiazdy?

— Przecież u nas nie ma terminu — gwiazda. Czas zmienia charakter ról, pracuje się więcej nad warsztatem. Gra się już co innego.

— W takim razie jak pracuje czas dla pięknej kobiety?

— Podobnie, tzn. jest się już inną osobą, wszystko ma się odmienne od tego co kiedyś.

— Prywatnie, gościom, pokazuje się pani bez makijażu. Przyznaję, że wygląda pani nieco inaczej niż na ekranie. A może to taki przemyślany zabieg?

— Nie, po prostu nie przywiązuję żadnej wagi do makijażu. Ale wezmę pod uwagę to, co pan powiedział i następnym razem umaluję się.

— I włoży pani ładne buciki zamiast tych starych kapci domowych?

— Ha, ha, ha! I pan się na to złapał. Reżyser Zbigniew Kamiński, który przyszedł do mnie, aby omówić sprawę angażu do swego filmu „Niewdzięczność" również nie mógł złapać oddechu, bo myślał, że pomylił drzwi lub stoi przed nim ktoś inny, nie Beata Tyszkiewicz. Ale kapcie mają te zaletę, że zawsze można je zdjąć.

— Skoro na co dzień jest pani taką antygwiazdą, to jak zamierza nadal intrygować swoją kinomanów?

— Niech inni się o to martwią.

— Nie dba pani o przebieg swojej kariery i pozycję gwiazdy gwiazd?

— Absolutnie nie, bo nic nie robię w tym kierunku. Odpowiedzialność spada na innych ludzi.

— Na kogo?

— Choćby na pana. Wydrukował pan już tyle wywiadów ze mną, wmawiając czytelnikom, że jestem gwiazdą, aż biedni w to uwierzą.

— Ale unika pani reżyserów, którzy, jak swego czasu Grzegorz Królikiewicz w „Tańczącym jastrzębiu", chcieli zniszczyć pani aktorski mit?

— Jeżeli unikałabym tych reżyserów, to bym nie brała takich ról, jakie gram. O Grzegorzu Królikiewiczu wiele słyszałam. Uważam, że trzeba mieć własne zdanie na temat każdej indywidualności, dlatego zagrałam w jego filmie, aby sprawdzić. Prawdopodobnie chciał on wykorzystać to, co Zbigniew Cybulski nazwał u mnie „księstwem warszawskim", chciał posłużyć się tym mitem, zniszczyć go, ale zobaczył że mnie też zależy na zrozumieniu filmowej postaci bardziej wszechstronnie. W sumie dobrze nam się pracowało.

— Natrafiła już pani na „swój" film, „jej" wnętrze, rolę, w której mówiłaby to, co naprawdę czuje i myśli, wypowiadając prawdziwe sądy?

— Chciałabym zrobić swój film, aby powiedzieć w nim rzeczy, które mnie interesują. Właśnie jestem w trakcie pisania scenariusza.

— Zarzucano pani, że wciąż gra siebie.

— Każdy w jakimś sensie gra siebie, bo dysponuje swoją intymnością w budowaniu roli.

— Wciąż dostaje pani dużo propozycji z filmu?

— Tak jak zawsze. To jest stałe.

— Ale równie często pani odmawia?

— Uważam, że nie wszystkie proponowane role są dla mnie.

— Wszyscy oczekiwali po Beacie Tyszkiewicz międzynarodowej sławy?

— Szczególnie ci za granicą. Do tego trzeba mieć parę niezbędnych atrybutów: szansę, startować bardzo młodo, rozstać się z krajem, bliskimi ludźmi, żyć z kompromisem. Jeżeli chodzi o mnie, jak już to wcześniej powiedziałam, jest to niemożliwe.

— Będzie pani kiedyś pisała pamiętniki jak Pola Negri?

— Wolałabym napisać książkę kucharską jak Sophia Loren pt. „Jak z niczego zrobić coś, czyli polska kuchnia współczesna".

— I nie zejdzie pani z ekranów mając 55 lat jak Gina Lolobrygida?

— Przecież ja nigdy nie będę miała 55 lat.

— Przez wszystkie lata swojej kariery walczyła pani o niezależność. Czuje się pani właśnie taką osobą?

— Tak.

— Wbrew naszemu systemowi pracy aktorów, ich zależności od teatru, odniosła pani jednostkowy triumf. Można więc pogratulować?

— Marzyłam, żeby o tym porozmawiać z panem, spotkajmy się więc na kolejnym wywiadzie już niebawem.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Arystokratka

Foto: Renata Pajchel

Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

Czy za złe polskie lotnictwo ponosi winę gen. Wł. Ostoja

Z uwagą przeczytałem cykl artykułów dotyczących zawinienia w 1939 roku gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego. Jednakże jestem zdania, że omówienie tej głosnej i intrygującej sprawy jest niepełne. Brakuje mianowicie ustalen co do roli jaką generał ten odegrał w polskim lotnictwie wojskowym lat międzywojennych, co w znacznej mierze laczy się z jego osobowoscią. Dla pełnego zrozumienia wydarzeń jest to niezmiernie ważne.

Ponieważ z racji mych zainteresowań dysponuję pewnym zasobem wiedzy historyczno-lotniczej postaram się to rolę przedstawić, opierając się wyłącznie na faktach, zostawiając komentarz Czytelnikowi.

W. Ostoja-Zagórski był uczestnikiem walk I Brygady. Dowodził piechotą i artylerią. Od 1922 r. kierował Departamentem Przemysłu Wojennego. 1.07.1924 mianowany został szefem Departamentu Lotnictwa przez gen. W. Sikorskiego, ówczesnego premiera.

Poprzednikiem jego na tym stanowisku był francuski generał Armand Leveque, który na zasadzie układów polsko-francuskich został „wypożyczony" przez gen K. Sosnkowskiego Ministra Spraw Wojskowych 1.01.1923. Był to człowiek bardzo energiczny, systematyczny, przyjaciel Polski, umiejący przy tym tak załatwiać kwestie organizacyjne, jak i wpłynąć na rząd francuski, ażeby ten udzielił pożyczki na cele wojskowe w wysokości 400 mln fr, realizowanej w 4 latach. Z tego na lotnictwo przeznaczono kwotę 100 mln fr. Obejmowała ona dostawę płatowców, silników oraz zakup licencji na ich produkcję. Do tego należy dodać, że gen. Leveque sam był pilotem i posiadał dużą wiedzę fachową. Jednakże, jak wspomniałem został odwołany 1 lipca 1924 r.

W okresie poprzedzającym nominację W. Zagórskiego powstały przedsiębiorstwa, które miały realizować pożyczkę. M.in. we Francji: „Consortium pour Vendre le Materiel d'Aeronautique a la Pologne", a w Polsce spółka „Francopol", która natychmiast zażądała od wojska zaliczki w wysokości 1125 tys. zł a następnie drugiej w wysokości 2 mln zł. Spółka ta miała produkować samoloty wszystkich typów oraz silniki. Jednakże nie te, w które byłyby samoloty produkowane wyposażone, tj. Renault i Lorraine Dietrich a Higpano Suiza.

W tej sytuacji szef zakupów inż. ppłk. pil. L. Rayski zaprotestował przeciw dalszym wypłatom „Francopolowi" motywując, że jest niemożliwe prowadzenie produkcji i terminowość dostaw przy takich założeniach. Również i gen. Leveque określił kontrakt z „Francopolem" jako „brudny" i zażądał jego unieważnienia. Oba te protesty nie przyniosły żadnych rezultatów.

W drugiej połowie 1924 roku sprawa „Francopolu" zaczęła się rozwijać. Podpisano nowy kontrakt na dostawę samolotów Spad 61C1 a także 100 silników. Udzielono zaliczki w kwocie 697 410 zł. Miano zakupić dla firmy z zaliczki w wysokości 4,5 mln fr. maszyny i urządzenia. Okazało się, że jednym z założycieli i akcjonariuszy przedsiębiorstwa jest gen. W. Zagórski.

Obecnie trudno jest ustalić, ile skarb polski zapłacił „Francopolowi". Podobno była to suma 4 mln. zł w złocie. Natomiast po odwołaniu W. Zagórskiego i zajęciu jego miejsca przez inż. pil. gen. L. Rayskiego okazało się, że zakłady te poza zabudowaniami, terenem i dwoma (!!!) zaczętymi kadłubami samolotów Spad nie mają nic! Były fikcją. Przejęto urządzenia i materiały na ogólną kwotę 897 367 zł. Tak wyglądała działalność generała w dziedzinie produkcyjno-lotniczej. A jak wyglądała w dziedzinie realizacji zakupów i licencji zapoczątkowanej przez gen. Leveque?

Podobnie. W. Zagórski ustalił plan, w myśl którego miasto uzbroić i wystawić 200 eskadr! (Leveque 50) w ciągu lat 1926—37. Plan ten był absolutnie nierealny ze względu na finanse państwa, personel, lotniska itp. Toteż Sztab Generalny ograniczył go do jednej trzeciej.

T. Cyprian w swej książce „Komisja stwierdziła" pisze że był to: „obraz twórczości przy małej znajomości przedmiotu". Ponadto należy dodać: — braku systematyczności, fachowości, nieogarniania całości pochopnych decyzji i nieliczenia się z opiniami fachowców. Zakupy były nieskoordynowane z budową lotnisk i potrzebami. Zbyteczne były samoloty liniowe, które katastrofalnie zaważyły na obronności Polski aż do r. 1939 (włącznie z taktyką ich użycia). Myśliwców Spad 51C1 i 61C1 zakupiono o 100 proc za dużo. Były one ponadto „latającymi trumnami" o zbyt niskim współczynniku bezpieczeństwa, toteż do roku 1932 (!) w którym je wycofano było mnóstwo wypadków (lata 27—28:19, lata 26—31:200!). Zakupiono bombowce Farman „Goliath" bez sensu i potrzeby. Mało, że były one od początku nieudane i obarczone niebezpiecznymi wadami konstrukcji, to nowadio w całej Polsce nie było hangaru, w którym by się taki aeroplan zmieścił!

Summa summarum zakupiono 682 samoloty przy 236 etatach w eskadrach (1926). Konsekwencja tego było zmagazynowanie zbywającego sprzętu na lotniskach, które miały ku temu warunki. Także i silników z częściami zamiennymi. A trzeba powiedzieć, że opłacono to kwotą ostateczną 149 mln fr, wliczając w to bezsensowne licencje: np. na przestarzały i skomplikowany samolot Breguet XIX (na szczęście jej nie uruchomiono) i wspomniane Spady. Zresztą liczba zakupionych z pożyczek samolotów wzrosła do 885, gdyż W. Zagórski samowolnie i nie licząc się z opiniami podwyższył zamówienia.

Stan ten, pomijając zmniejszenie się bezpieczeństwa lotów, spowodował naruszenie proporcji między zakupami, a produkcją krajową. Spowodował zadłużenie lotnictwa, a co gorsza wtrącił je w beznadziejne operowanie „nowymi" (z magazynów) samolotami, oraz ferowanie konstrukcji przystosowanych do takich samych „nowych" silników. Faktem jest, że tym sposobem chciano (już za czasów L. Rayskiego) zmniejszyć deficyt. Próbowano także z pewnym powodzeniem część sprzętu nie używanego a przestarzałego sprzedać. Nie zmieniło to jednak faktu, że samoloty z lat 20 dotrwały (np. Breguety XIX, Potezy) do 1.09.1939 r. Było to bezpośrednim skutkiem działań gen. W. Zagórskiego.

Trudno się więc dziwić, że polityka niefachowości i szastania pieniędzmi państwowymi przy trudnościach gospodarczych spotkała się z ostrą krytyką prasową. Znane są publikacje na ten temat ppłk. A. Mrówki, trafne zresztą i prawdziwe, mimo niewątpliwego rozgniewania ich autora z L. Rayskim. Zamieszczone były w „Robotniku" i wraz z podobnymi im z „Głosu Prawdy" walnie przyczyniły się do dymisji winowajców z dowódca lotnictwa na czele. Tytuły były zresztą symptomatyczne: „Rozrzutna gospodarka w lotnictwie wojskowym", „Grabarz lotnictwa wojskowego", „Zła kuli lotnictwa wojskowego" i wreszcie: „Generał Zagórski zwolniony ze stanowiska Szefa lotnictwa", co istotnie nastąpiło w dn. 18.03.1926 na zasadzie rozkazu MSW nr 31 z 12.04.1926 wydanego przez gen. L. Zeligowskiego.

I tak wyglądała polityka zakupów prowadzona przez gen. Zagórskiego. Jak było z jego doświadczeniem lotniczym? Jako się rzekło był w zasadzie piechurem i artylerzystą, ale nauczył się po nominacji pilotażu w I PL w Warszawie. W r. 1924 w lipcu przeleciał wraz z innymi samolotami w liczbie 26 z Francji do Polski. Niemniej jednak kwalifikacje miał mierne. Ppłk dypl. obs. Adam Kurowski opisuje jak na manewrach na Wołyniu w r. 1925 rozbił doszczętnie nowego Poteza XXVII popełniając zupełnie szkolny błąd przy lądowaniu.

Dlatego też nie był lubiany przez pilotów. Na niechęć tę złożyło się zresztą wiele czynników. Apodyktyczność i niefachowość przy braku umiejętności były zasadniczymi. Nie bez znaczenia był także fakt, że przyszedł on na wysokie stanowisko z innej broni, mimo że można było znaleźć ludzi bardziej odpowiednich. Zemściła się tu niedostateczna znajomość ludzi i obsadzanie nimi stanowisk wykazywana przez gen. W. Sikorskiego (zresztą nie tylko wtedy) mimo że był on przecież człowiekiem światłym i doceniającym znaczenie posiadania nowoczesnej armii, w tym także lotnictwa.

Tak wygladają dzieje sprawowania stanowiska szefa DL przez gen. W. Zagórskiego. Fatalność sprawiła, że okres ten był podwójnie brzemienny w zie skutki. Po pierwsze — przypadł na czas organizowania armii, a po drugie — wycisnął swe piętno na całym rozwoju polskiego lotnictwa wojskowego w latach międzywojennych, co znalazło finał 1.09.1939.

EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

★ ☆ ★

OD AUTORA: Nie jestem specjalistą od spraw lotniczych, nie zajmowałem się nigdy historią lotnictwa, ale choć Edward Kocent-Zieliński przedstawia szereg faktów, wydawałoby się niezbitych, to mam wszakże do ich interpretacji sporo wątpliwości. Spróbuję je przedstawić.

1. Edward Kocent-Zieliński pisze: „W. Ostoja-Zagórski był uczestnikiem walk I Brygady. Dowodził piechotą i artylerią". Jest to nieścisłe (istotnie kapitan Włodzimierz Ostoja Zagórski został w sierpniu 1914 roku skierowany do Legionów i został mianowany szefem Sztabu Komendy, co zresztą wywołało konflikt z Józefem Piłsudskim i stało się powodem nienawiści legionowych oficerów do gen. Włodzimierza Zagórskiego. A śmiem także twierdzić, że i powodem późniejszej tragedii. Jednakże w 1916 roku Włodzimierz Zagórski został odwołany — właśnie na skutek sporu z Józefem Piłsudskim z Komendy Legionów Polskich i przeszedł do II Brygady Legionów, gdzie dowodził najpierw batalionem, a później pułkiem piechoty. Po tak zwanym kryzysie przysięgowym, kiedy część legionistów odmówiła złożenia przysięgi na wierność Prus i Austrii, Włodzimierz Zagórski dowodził pułkiem artylerii w Polskim Korpusie Posiłkowym. W lutym 1918 roku wraz z II Brygadą próbował przejść przez front z pułkiem, ale został zatrzymany i postawiony przed sądem. Tylko, że to już inna sprawa.

2. Edward Kocent-Zieliński powołuje się na opinie gen. Ludomira Rayskiego, na artykuły A. Mrówki i inne opinie, które formułowano i rozpowszechniano w okresie walki politycznej między obozem J. Piłsudskiego a rządowym, do którego należałoby zaliczyć między innymi gen. Władysława Sikorskiego. To prawda, że to on wyciągnął z cywila i mianował generałem Włodzimierza Zagórskiego, dając mu również departament lotnictwa w ówczesnym Ministerstwie Spraw Wojskowych. I prawda jest, że konto „Farnopolu" nie było czyste i że do końca nie jest wyjaśniona w tym wszystkim rola gen. Włodzimierza Zagórskiego, który był udziałowcem tej spółki, a nawet jej współzałożycielem. Ale...

Po pierwsze — przygotowujący zamach stanu Józef Piłsudski nie mógł dopuścić do tego, aby gen. W. Zagórski pozostał w MS Wojskowych. Nie mógł go też po prostu wyrzucić. Potrzebne były jakieś grzechy generała i znalazły się. Ile w tych zarzutach było prawdy, a ile mistyfikacji dziś już nie ustalimy.

Po drugie — byłbym ostrożny w budowaniu opinii w oparciu tylko o relacje i uwagi gen. Ludomira Rayskiego, a to dlatego, że odszedł on po przyjściu Gen. W. Zagórskiego z MS Wojskowych, a po przewrocie majowym wrócił i był aż do 1939 roku na stanowisku tym, na którym był uprzednio gen. W. Zagórski. Opinie zainteresowanego nie zawsze muszą być obiektywne. Należy więc je poddawać surowej krytyce. Ale też obwinienie gen. Włodzimierza Zagórskiego za wszystkie grzechy, jakie zaciążyły nad polskim lotnictwem jest grubą przesadą. Był on zaledwie kilka lat — bodajże niepełne 4 lata — człowiekiem kierującym departamentem, a gen. Ludomir Rayski był na tym stanowisku od 1926 roku do 1939, to jest 13 lat. I on nie ponosi żadnej winy?

3. Pisze Edward Kocent-Zieliński: „Jako się rzekło był w zasadzie piechurem i artylerzystą, ale nauczył się po nominacji pilotażu w I PL w Warszawie." Jest to niestety nieprawda. A to dlatego, że kapitan Włodzimierz Ostoja-Zagórski po ukończeniu Akademii Sztabu Generalnego został minowany szefem sztabu 8 Brygady Piechoty stacjonującej w Krakowie, a był to rok 1910. Później został przeniesiony do oddziału wywiadowczego austriackiego Sztabu Generalnego i właśnie wówczas, w Wiedniu przeszedł przeszkolenie lotnicze. Zresztą proszę nie zapominać, że Włodzimierzowi Zagórskiemu zarzucano, iż osobiście bombardował wojska Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Jerzy Rawicz w swojej książce „Generał Zagórski zaginął..." reprodukuje zdjęcie Włodzimierza Zagórskiego na lotnisku w Etampes we Francji w czasie jego lotu do Hiszpanii, co miało miejsce w 1925 roku. Sądzę, że źródeł zarzutów o lotniczych nieumiejętnościach Włodzimierza Zagórskiego trzeba szukać zupełnie gdzie indziej.

4. W ogóle źródeł konfliktu między Józefem Piłsudskim a Włodzimierzem Ostoją-Zagórskim trzeba szukać zupełnie gdzie indziej. W ich związkach z austriackim wywiadem. Nie miało to nic wspólnego z późniejszą działalnością gen. Włodzimierza Zagórskiego ani w niesławnym „Francopolu", ani w lotnictwie. Nie wolno bowiem zapominać, że śmierć Włodzimierza Zagórskiego — a oficjalnie jego zaginięcie — zamknęła wszelkie sprawy. Nie zostały one ostatecznie przez sąd wyjaśnione i osądzone. A więc pozostają tylko zarzutami. Gdyby chodziło tylko o te zarzuty, to sądzę, że odbyłby się proces. Gdyby chodziło tylko o te zarzuty, to sądzę, że odbyłby się proces i być może wzbudził wówczas niejaką sensację. Ale przecież chodziło zupełnie o co innego. O co? Tego możemy się tylko domyślać. Pisałem zresztą o tym obszernie.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Dla kandydatów na filmowców i aktorów

Rektorat Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi zawiadamia, że w roku akademickim 1983/84 odbędą się przyjęcia kandydatów na następujące wydziały studiów stacjonarnych:

1. REŻYSERII FILMOWEJ i TELEWIZYJNEJ
2. OPERATORSKI i REALIZACJI TELEWIZYJNEJ
3. AKTORSKI
4. WYŻSZE STUDIA ZAWODOWE ORGANIZACJI PRODUKCJI FILMOWEJ i TELEWIZYJNEJ.

Warunkiem dopuszczenia kandydata do egzaminu wstępnego jest złożenie odpowiednich dokumentów oraz prac twórczości własnej: filmy, fotografie, utwory literackie, prace plastyczne (nie dotyczy Wydziału Aktorskiego i Wyższego Studium Zawodowego Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej).

Szczegółowych informacji udzielają poradnie konsultacyjne działające przy:

— Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej w **poniedziałki i piątki** — w godz. 14.00 — 16.00

— Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej we **wtorki i piątki** — w godz. 15.00 — 17.00

— Wydziale aktorskim **w poniedziałki i soboty** — w godz. 16.00 — 18.00.

— **Wyższym Studium Zawodowym Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej w poniedziałki** — w godz. 12.30 — 13.30.

Przewidywany termin egzaminów wstępnych: 13—30 czerwca 1983 r. Tegoroczni absolwenci szkół średnich składają podania o przyjęcie na I rok studiów **poprzez Szkolne Komisje Rekrutacyjne**, zaś maturzyści z lat ubiegłych oraz absolwenci wyższych uczelni bezpośrednio do **Sekretariatu Uczelni na adres: 90-323 Łódź, ul. Targowa 61/63 tel. 639-44.**

Termin składania podań na rok akademicki 1983/84 **upływa z dniem 31 maja 1983 roku.**

Rok Kopernikański

W 510 rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, z dniem 19.03.83 r., pod patronatem wybitnego uczonego prof. Eugeniusza Rybki, z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Astronautycznego oraz Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Mikołaja Kopernika, zapoczątkowany został Rok Kopernikański w Krakowie. Cykl comiesięcznych spotkań popularnonaukowych ma na celu uwydatnienie związku wielkiego polskiego astronoma z Krakowem oraz wielostronne naświetlenie jego działalności i zainteresowań. Liczne dowody pobytu Kopernika w Akademii Krakowskiej, są upamiętnione eksponatami zgromadzonymi w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będą one udostępnione zainteresowanym. A oto niektóre hasła tych spotkań:

„Rola Kopernika i jego odkryć w ekonomii: prezentowana w zespole szkół ekonomicznych w Krakowie.

„Z dziejów obserwatorium astronomicznego" (19.04.83) prezentacja w UJ.

„Cenniejsze Copernicana w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej" (19.05.83) w Krakowie.

„Związki Kopernika z kręgiem astronomów krakowskich" (19.10.83).

„Kopernik jako lekarz" (19.01.84) — w Krakowie.

„Dziesięć odkryć — począwszy od Kopernika, które zmieniły poglądy na budowę Układu Planetarnego" (19.02.1984).

(Szczegółowe informacje można uzyskać w biurze Zarządu Gł. Pol. T-wa Astronautycznego, Kraków, ul. Solskiego 30/8, telefon 22-38-92).

W Roku Kopernikańskim jest też szczególna powinność przypomnienia, że Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Mikołaja Kopernika swą przeszło stuletnią działalnością obejmuje zarówno przekazywanie osiągnięć nauki światowej jak również pogłębianie znajomości wszelkich form przyrody ojczystej, ożywionej i nieożywionej, stanowiącej bogactwo narodowe. Stąd też ranga spraw przyrody w naszym kraju znajduje dobitny wyraz w pracach towarzystwa, w trosce o ochronę naturalnego środowiska i otoczenia człowieka, a także w trosce o właściwe zrozumienie jak użytkować walory przyrody ojczystej. Znalazło to również wyraz w znamiennej uchwale Walnego Zgromadzenia PTP im. M. Kopernika w 1980 r. w Łodzi. Wyraża ona pogląd, że gwarancja prawidłowości, z punktu widzenia ekonomicznego oraz humanistycznego, przy podejmowaniu decyzji przez organa władzy gospodarczej i politycznej, oprócz szacunku ekonomicznego jako drugi integralnie związany element podstawowy przy przewidywaniu doraźnych efektów gospodarczych powinien być również brany pod uwagę wyważony kompleksowo szacunek ekologicznych skutków planowanej technicznej działalności, mogącej zagrażać dobru narodowemu, stanowiąc jednocześnie potencjalne zagrożenie środowiska i życia przyszłych pokoleń. Zagrożenie wynikające ze szkodliwych przemian w naszym otoczeniu, a także wskutek zniszczenia nie dających się odtworzyć naturalnych narodowych wartości naszej przyrody.

W sferze działalności tworzącej się Narodowej Rady Kultury należne miejsce powinno zająć to wspaniałe dobro narodowe, jakim jest przyroda ojczysta. Liczne placówki muzealnictwa przyrodniczego, parki i rezerwaty, są cennym wyrazem kulturalnej działalności przyrodników.

Jedną z najbardziej skutecznych form kształtowania świadomości i postawy obywateli jest lepsza niż dotychczas znajomość przyrody swego kraju i wpajanie do niej szacunku u młodych Polaków. Już poczynając od maluchów, biegających po zieleńcach, a następnie na poziomie kształcenia podstawowego poszanowanie przyrody musi się ugruntowywać. Niezbędna wiedza przyrodnicza włączana w programy szkół licealnych oraz średnich i wyższych nie powinna być pominięta również przy kształceniu techników, inżynierów i ekonomistów, aby stali się w przyszłości partnerami, rozumiejącymi konieczność unikania zagrożeń dla środowiska przyrodniczego, powodowanych techniczną działalnością człowieka.

Przy planowaniu modelu życia i rozwoju gospodarczego wymagana jest wiedza zespołu specjalistów, wśród których nie może braknąć rzecznika spraw przyrody i jej zabezpieczenia.

Szeroki zakres tych działań obejmuje:

— przestrzenne planowanie rozwoju miast i osiedli,

— różne formy wypoczynku i sportu, którego masowy rozwój nie może zagrażać środowisku, wymagającemu szczególnej ochrony (gór, jezior, rzek, lasów, rezerwatów przyrody oraz Bałtyku),

— konieczność kompleksowego wyboru lokalizacji obiektów przemysłowych, by nie prowadzić do konfliktu z przyrodą, ze szczególną ochroną terenów rolniczych i leśnych,

— przeciwdziałanie wadliwej gospodarce surowcowej, celem likwidacji marnotrawstwa, a także zanieczyszczeń, przez wykorzystywanie odpadów stałych i ciekłych jako źródła surowców wtórnych, co w pierwszym rzędzie dotyczy przemysłu spożywczego oraz rolnego, a także gospodarki komunalnej.

Sądzić należy, że jedyną drogą dla tak szeroko zakreślonych zadań jest szerzenie wiedzy ekologicznej i agresywne oraz bezkompromisowe działanie wszystkich ku temu powołanych obywateli naszego kraju.

prof. dr **JADWIGA JAKUBOWSKA**
przewodnicząca Łódzkiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Przyrodników
im. Mikołaja Kopernika

Konkurs na powieść

Urząd Miejski — Wydział Kultury i Sztuki, Urząd Wojewódzki — Wydział Kultury i Sztuki, Ośrodek Kultury Literackiej w Kielcach oraz Wydawnictwo Łódzkie w Łodzi w związku z 40 rocznicą Polski Ludowej ogłaszają konkurs na powieść, zbiór opowiadań, utwór sceniczny i tom wierszy.

Celem konkursu jest powstanie utworów literackich przedstawiających problemy współczesnego życia polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem regionu świętokrzyskiego.

Organizatorzy zapewniają następujące nagrody:

— za powieść (min. 150 str. maszynopisu):
I nagroda 50 tys. zł
II nagroda 40 tys. zł
III nagroda 30 tys. zł
dwa wyróżnienia po 20 tys. zł każde

— za zbiór opowiadań (min.) 150 str. maszynopisu):
I nagroda 50 tys. zł
II nagroda 40 tys. zł
III nagroda 30 tys. zł
dwa wyróżnienia po 20 tys. zł każde

— za utwór sceniczny (pełnospektaklowy):
I nagroda 40 tys. zł
II nagroda 30 tys. zł
III nagroda 20 tys. zł
dwa wyróżnienia po 10 tys. zł każde

— za tom wierszy (min. 15 ark. autor.):
I nagroda 40 tys. zł
II nagroda 30 tys. zł
III nagroda 20 tys. zł
dwa wyróżnienia po 10 tys. zł każde

Prace dotychczas nie publikowane i nie inscenizowane, w trzech egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, z załączonymi również opatrzonymi godłem kopertami zawierającymi imię, nazwisko, dokładny adres zamieszkania — należy nadsyłać do 30.09.83 r. pod adresem: **Ośrodek Kultury Literackiej, 25-003 Kielce ul. Wspólna 8a.**

Organizatorzy podejmą starania o wydrukowanie nagrodzonych prac nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, natomiast nagrodzone utwory sceniczne będą proponowane Teatrowi im. Stefana Żeromskiego w Kielcach do wystawienia.

Konkurs zostanie rozstrzygnięty w styczniu 1984 r., a jego wyniki zostaną podane do publicznej wiadomości. Skład jury zostanie ustalony w terminie późniejszym.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do innego podziału nagród oraz pierwszeństwo w druku lub wykorzystanie w inny sposób nagrodzonych prac.

☆ ☆ ☆

W nawiązaniu do artykułu pt. „Dotrzeć do każdego" zamieszczonego w nr 6 Waszego czasopisma z dnia 5.02.1983 r. a będącego relacją z konferencji sprawozdawczo-programowej KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim znalazły miejsce krytyczne uwagi kierowane pod adresem pionu spółdzielczego, które naszym zdaniem są krzywdzące. Podczas przeprowadzonych kontroli w terenie nie stwierdziliśmy przypadku braku spedu z winy gminnych spółdzielni.

Pragniemy poinformować, że od czerwca 1982 r. kontraktację żywca na terenie województwa przejęły zakłady mięsne. Zakłady te poprzez własną służbę surowcową działającą na terenie prowadzą kontraktację i uzgadniają terminy z rolnikami na poszczególne dni spędowe. Harmonogramy spędów na gminy opracowują ZPMs w okresach kwartalnych zachowując tradycyjne dni tygodnia z lat poprzednich, do których rolnicy są przyzwyczajeni.

Znane są nam dwa przypadki przesunięcia dni skupu przez zakłady z uwagi na małą ilość żywca zakontraktowana na dany dzień, w tym przypadku powiadomienie wszystkich zainteresowanych rolników o terminie następnego spedu spoczywa na jednostce kontraktującej. Gminne spółdzielnie w świetle podpisanego porozumienia zabezpieczają miejsce skupu i pracowników do obsługi.

Związek Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska" w swojej działalności będzie pracował nad dalszą poprawą organizacji pracy i kultura obsługi rolnika we wszystkich zrzeszonych jednostkach.

MARIAN JĘDRZEJCZYK

Piotrków Trybunalski 5 kwietnia 1983 r.

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Sny

Jepp, uważaj! — krzyknął Gibb i skoczył do przodu. Ale było za późno.

— Wszystko w porządku. Ucięło mi rękę — informował po chwili Jepp.

— Tylko? Całe szczęście...

Jepp stał spokojnie bandażując sobie kikut.

— Gibb weź ją — wskazał na leżącą u jego stóp dłoń.

— Nie martw się Jepp. Lerd przyszyje ci...

— Chrzań się! Moja zdolność regeneracji przewyższa twój stopień pojmowania. Ty masz wykonywać. Ja jestem po to, żeby czegoś nauczyć takiego głąba jak ty!

— Tak jest, mistrzu łapaczu! — Gibb wyrecytował formułkę prężąc się cały.

— Już dobra, weź swój miotacz. Idziemy. Ten sukinsyn musi tam gdzieś być.

Wyszli na korytarz. Światło mdło sączyło się z ukrytych fotów. Speszony Gibb potknął się o jakieś żelastwo. Dochodzili do zakrętu. Jepp zwolnił.

— Uważaj — ostrzegał Gibba. — Tu może być pułapka.

Coś nagle błysnęło.

— Wszystko w porządku, ucięło mi tylko nogę — Gibb starał się zachować obojętność.

— A to pech! — mówiąc to Jepp ostrożnie zbliżał się do Gibba. — Trzymaj się! Idę do ciebie. Nie trać zimnej krwi..

— Moja jest gorąca.

— Stul pysk jak do ciebie mówię! — zdenerwowany Jepp wyszarpnął z plecaka składaną protezę.

— Trzymaj, musimy iść dalej — i ruszył do przodu.

— Dobrze ci mówić.

— No.. będzie jeszcze lepiej jak stracisz głowę. Chodźmy!

— Nigdzie nie idę.

— Co!? — odwrócił się i zobaczył, że Gibb siedzi w czerwonej kałuży. Jęczał żałośnie..

— Wylał mi się prawie cały płyn do chłodzenia, łączenia puszczają.

Jepp podszedł do niego bliżej. Wściekłość targała całym jego jestestwem.

— Ty kupo złomu — wycharczał i wymierzył precyzyjny cios nogą w jego głowę. Nim jednak doszedł on celu głowa Gibba odpadła. Jepp upadł straciwszy równowagę.

— Żeby cię szlag!

Wszystkie światła pogasły. Wokół panowała całkowita ciemność. Nagle Jepp poczuł, że coś miękkiego i śliskiego ociera mu się o rękę.

— Co jest? To ty, Gibb?

— NIE, TO JA.

— Mam cię bydlaku! Mam! — Jepp wrzasnął próbując go złapać. Upadł po raz drugi. Słyszał oddalające się kroki. Wyciągnął miotacz i strzelił na oślep. Błysk na chwilę rozświetlił ciemność. W głębi korytarza coś świszczało i chrypiało. Jepp skierował tam światło latarki. Zobaczył coś jakby ..nie, to niemożliwe — zwiększył natężenie światła... Tak, teraz widział dokładnie, to była wielka, łysa głowa szperacza Wolfa. Dotknął jej. Zobaczył jak się skurczyła i wybuchnęła ogłuszającym jazgotem. „Jepp jesteś...".

Szperacz Wolf zdecydowanym ruchem wcisnął czerwony klawisz. Obraz na ekranie zawirował i znikł. Wolf przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości, okręcił się w fotelu i wstał.

— No Jack — przemówił do młodego chłopaka siedzącego przy drugim, już wygasłym ekranie — dość tej zabawy. Rozumiem, że takiego żółtodzioba te obrazy muszą fascynować, ale wierz mi, posiedzisz w tej dziurze tyle, co ja, a znudzą ci się najwspanialsze sny robotów.

— Jak powiedziałeś? Sny? — zdziwił się Jack.

— Tak, sny. Co się tak dziwisz. My, zawodowi szperacze, nazywamy tak to, co wy, w swojej nomenklaturze, zwiecie hipersensorycznymi projekcjami mózgów III generacji w systemie...

— Daj spokój! Masz rację, sny to słowo krótkie i oddające meritum sprawy. Że też nie wpadłem na to wcześniej.

— No tak, ty... wy... naukowcy z instytutów.. Co wy właściwie wiecie! Nawet nie potraficie odpowiedzieć na pytanie co to takiego te sny. Ale nadawać nazwy to już wasza specjalność.

— Uspokój się.

— Co? Ja mam się uspokoić? — podniecał się Wolf. — Ja stary praktyk, szperacz, który skasował już niejednego robota, mam się uspokoić, bo taki młokos, wyskrobek pieprzący się ze swą pracą dyplomową raczy mi to powiedzieć!?

— Wolf — w głosie Jacka zabrzmiała nuta prośby — wiesz przecież, że muszę...

— No oczywiście, że musisz — Wolf zaczął ironizować — każdy coś musi! Ja na przykład muszę odsiedzieć w tej budzie swoje sześć godzin, przejrzeć wszystkie roboty na składzie i skasować te, które zaczynają śnić. Za to wy, wy możecie się przyglądać, opisywać, bronić prac dyplomowych, a potem ech, szkoda gadania... Bo naprawdę, to nie wnosicie nic nowego do tej cholernej nauki! Nic a nic!

Jack zastanawiał się, dlaczego w tym człowieku tyle sprzeczności. Skąd biorą się w nim te ciągłe zmiany nastrojów. Od ślepego zaangażowania do chłodnej analizy.

Znał go prawie miesiąc. On, Jack, praktykant wysłany do punktu kontrolnego szperacza Wolfa, jednego z lepszych w tym fachu. Tak przynajmniej mówili. Gdy pytał u kogo może zobaczyć to, co już zwał „snami robotów" mówiono mu: „Idź do Wolfa, to doskonały specjalista". No i poszedł. Z początku był nieco przestraszony sposobem bycia Wolfa, lecz z czasem przywykł. Nie przejmował się już mało wybrednymi przytykami. Wręcz przeciwnie, lubił czasami słuchać tego zrzędzenia, które tylko z pozoru było głupie i grubiańskie. Jak dotąd miał dużo szczęścia. Tak przynajmniej twierdził Wolf. Podobno jeszcze niedawno, gdy IV generacja mózgów była rzadkością, emisje lub inaczej sny, zdarzały się dość rzadko. Za to teraz, a szczególnie w okresie ostatnich dwóch miesięcy, przypadki psucia się robotów — bo jak inaczej można to nazwać — stawały się nagminne.

— No co, Jack. Co się tak zamyśliłeś?

Jack drgnął, a na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Nic, nic... Tak się zastanawiam.

— Nad tym co widziałeś?

— Nie tylko... Trzeba go będzie skasować? — spytał.

— Nie znasz instrukcji? — Wolf znowu wpadł w swój sarkastyczny ton — mogę ci zacytować: „Wszystkie roboty, które po sprawdzeniu pamięci i pozostałych układów wykazują cechy odbiegające od normy danego modelu, należy zniszczyć. Szczególną uwagę należy zwrócić na zjawisko projekcji..." — przerwał na chwilę, po czym dodał — mam mówić dalej?

Jack wzruszył ramionami.

— Znam instrukcje, piszę przecież z tego pracę.

— No tak przy okazji... szperacze już dawno zapomnieli jak sprawdza się wszystkie układy robota, bowiem wyspecjalizowali się jedynie w szukaniu snów.

— Dlaczego taki jesteś? — nie wytrzymał Jack.

— Bo cię polubiłem żółtodziobie — padła zaskakująca odpowiedź Wolfa. Przez chwilę milczeli, wreszcie Wolf zaczął:

— Dość tej gadaniny. Trzeba zawiadomić właściciela, że robot jest niesprawny.

— Ja to załatwię — zaoferował się Jack.

— Świetnie! W takim razie ja skasuję robota.

— Jak on się nazywa?

— Kto? Właściciel?

— Nie, ten robot.

— A-a, czekaj no... patrz, zapomniałem... ach, już wiem! Jepp!

Jepp wiedział, że jest niesprawny.

Jepp wiedział, że jest sprawny.

Jepp wiedział, że zostanie skasowany.

Jepp wiedział, że niekoniecznie.

Jepp odłączył się od układów szperacza.

Jepp skierował się do kabiny Wolfa.

Jepp rozbił drzwi metalowym chwytakiem.

Drzwi pękły z hukiem.

Jepp wszedł do kabiny i spostrzegł Wolfa.

Jepp spostrzegł Jacka.

Jepp — nowoczesny, uniwersalny robot — zaczął ciąć cienkim promieniem miotacza ciała Wolfa i Jacka.

Wolf chciał krzyknąć, lecz promień miotacza przeciął go wpół. Jack stał i nie chciał wierzyć, ale piersi rozdarł mu promień miotacza.

Jepp metodycznie niszczył stację kontroli.

Jepp nie chciał UMRZEĆ.

Byli już wszyscy.

Ekskluzywny pokój, cicha muzyka, dyskretne oświetlenie. I oni — siedzący wokół stolika przybranego kompozycją z kwiatów o przedziwnych kształtach. Lekki powiew wonnego powietrza — bezszelestna praca wentylatorów. Ostry dźwięk trącanych szklaneczek.

— Jesteśmy już wszyscy — odezwał się szpakowaty pan z bródką. — Witam serdecznie. Ponieważ sprawa, jaką chciałbym przedstawić jest niezwykłej wagi, od razu przejdę do konkretów.

— Słuchamy — odpowiedział za wszystkich sędzia Dawid.

Karol przytaknął zachęcająco.

Harry spojrzał z dezaprobatą na prowadzącego i stwierdził:

— Oby szybko, wiesz Martin, jak nie lubię, gdy ktoś niepotrzebnie dużo gada. Zresztą, spieszę się. Mam sprawę do załatwienia.

Niespeszony Martin pogłaskał się po brodzie i zaczął:

— Jak wiecie, jestem od przeszło dwudziestu lat prokuratorem i miałem do czynienia z najbardziej nieprawdopodobnymi przypadkami, lecz to, co mam teraz do powiedzenia będzie...

— Martin... — przerwał obcesowo Harry — streszczaj się.

— Przepraszam. A więc do rzeczy. Jest nas czterech; sędzia, prokurator, psycholog i adwokat. Tu — wskazał ręką na teczkę — znajdują się akta sprawy, którą rozpatrzymy. Sprawa ta rozdmuchana przez prasę dotarła do was wszystkich, chodzi bowiem o tak zwaną „zbrodnię robota".

Wszyscy jak na komendę poruszyli się.

— Ale, co my, ja... psycholog mam z tym wspólnego?! — dziwił się Karol.

— Fakty, które podała prasa są prawdziwe. Robot ten faktycznie zabił szperacza Wolfa i praktykanta Jacka, co więcej, ciężko zranił funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, wiele osób przyprawił o szok, a nawet nerwicę... Na szczęście obezwładniono go dosyć szybko. Nie muszę wam chyba uświadamiać, że jest to jedyny przypadek, jaki zna historia, w którym robot morduje dwóch ludzi!

— Ale w czym rzecz? — zniecierpliwił się Harry. — Przecież już dawno robota skasowano, więc po co odgrzebywać sprawy...

— Mylisz się. Ten robot nie został skasowany.

— Co?! — zdziwił się Harry.

— To jeszcze nie wszystko.

— Jak to?

— A tak, bo robot ten ma stanąć przed sądem jako oskarżony o morderstwo. Ma odpowiadać za swój czyn według prawa karnego ludzi!

Zapanowała cisza. Wreszcie, z trudem dobierając słowa, odezwał się Karol:

— Jakim cudem? Przecież to... maszyna!

— Już nie — włączył się do rozmowy sędzia. — Już nie. Ten robot, jeśli można się tak wyrazić.. jest niezwykle przebiegły. Zdołał włączyć się w sieć komputera zbiorczego i zrobić wyciąg wszystkich potrzebnych mu materiałów. Teraz jest sędzią adwokatem obrońcą i oskarżycielem... Tak panowie pod tym względem maszyny już dawno nas prześcignęły.

— To niepojęte, jak to możliwe żeby robot.. Nie, nie mogę uwierzyć — mamrotał wstrząśnięty Harry.

— To dopiero początek, ale niech Dawid mówi dalej...

— Dobrze, a więc robot ten potrafił wynaleźć wszystkie kruczki naszego prawodawstwa. Zdobył się na to, żeby udowodnić, że jest istotą, powtarzam, istotą myślącą twórczo, o zdolnościach do abstrakcyjnego pojmowania, a więc o cechach charakterystycznych dla istoty rozumnej, jaką dotąd mienił się być tylko człowiek! Homo Sapiens!

— Zdolność abstrakcyjnego myślenia? Ależ to wierutna bzdura! — zdenerwował się Karol.

— A jednak nie — sędzia Dawid nadal był opanowany — bowiem nikt na całej planecie prawnie nie określił, co to jest istota myśląca i jakim kryteriom musi odpowiadać!

— No dobrze — Karol momentalnie stłamsił w sobie swą wrodzoną impulsywność — jednego nie rozumiem. Co przyjdzie tej maszynie...

— Nie maszynie, tylko istocie rozumnej — zdobył się na ironię Harry.

— Niech będzie i myśląca... A więc, co mu po tym, że będzie odpowiadał za zbrodnię według kodeksu karnego, który odnosi się tylko do nas?

— Ba! — wykrzyknął Martin — w tym kłopot! Wyobraźcie sobie co to znaczy! Już sam fakt, że ten robot może odpowiadać przed sądem, w którym orzekają o jego winie lub niewinności ludzie, jest naszą klęską. Czy wyobrażacie sobie, co może się stać, gdy wyjdzie to na światło dzienne? Ludzie zaczną szaleć, niszczyć wszystko co mechaniczne, bo będą się śmiertelnie bali, że następnego dnia po rozprawie pralki założą własne związki zawodowe.

— A my będziemy musieli ich sądzić za niszczenie robotów jak za morderstwo!

— W tym jest dużo prawdy — stwierdził nagle Karol. — Z punktu widzenia przeciętnego człowieka sytuacja taka jest ogłupiająca. Ci ludzie, gdyby usłyszeli, że robota skazano na najwyższy wymiar kary za morderstwo, to już z samego strachu przed tym, by nie przydarzyło się im to samo...

— Wcale nie jest powiedziane, że to będzie najwyższa kara. Może się zdarzyć, że ten robot, o ile w ogóle dojdzie do procesu, zostanie uniewinniony!

— Nie rozumiem... Przecież zabił ludzi!

— Działał w obronie własnego życia, ma na to dowody.

— Ale on ich zabił bez skrupułów!

— Widzę, że zaczynasz rozpatrywać tę sprawę, jakby oskarżony był człowiekiem.

— Chwileczkę! Jak ty to powiedziałeś? — Karol poderwał się nagle. — Rozpatruję sprawę jakby to był człowiek? Ależ panowie! Przecież tej maszynie o to właśnie chodzi!

— Właśnie tak — potwierdził sędzia Dawid.

— A więc to tak...

Patrzyli po sobie jakby dopiero teraz zrozumieli po co tu są.

— A więc co... — zaczął niepewnie Karol.

— Do rozprawy nie może dojść! — kategorycznie stwierdził Harry.

— Co ty na to Martin? — spytał Dawid.

— Nie jest to zgodne z...

— Radziłbym ci skrupuły odłożyć na bok, ten robot ich nie miał, a w jego ślady mogą pójść następne... — krakał Harry.

— Bzdura! — krzyknął Karol.

— Kilka lat temu bzdurą wydawały się projekcje hipersensoryczne.

— Myślę, że sytuacja tego wymaga. Do procesu nie może dojść! — zdecydował się wreszcie Martin.

— Zatem ustaliliśmy?

— Tak.

— Tak.

— W takim razie żegnam panów — odezwał się Harry i wstał uprzednio dopiwszy orzeźwiający płyn. — Jestem już i tak spóźniony!

— Ja też pójdę — odezwał się sędzia.

Pożegnał się ze wszystkimi i odszedł.

Przy stole ozdobionym pięknymi kwiatami siedzieli Martin i Karol lecz po chwili i oni odeszli. W fotelach pozostały ciepłe wgłębienia, a na stoliku cztery opróżnione szklaneczki.

JANUSZ ROMANOWSKI

Kącik korespondencji

JANUSZ W. Poznań. Pomijając już fakt, że nadesłany artykuł o Wiktorze Żwikiewiczu był już publikowany w „Kwazarze" (kwiecień 81) uważam, że jest napisany słabo i nie kwalifikuje się w obecnej formie do druku. Po drugie nie przewidujemy w najbliższym czasie drukowania opowiadań tego pisarza, więc taki artykuł nie miałby racji bytu.

BARBARA K. S. Łódź. Z przyjemnością przeczytałem list i obejrzałem rysunki. Wprawdzie przedstawione na nich stworki wyglądają mi raczej na jakieś automaty, ale i tak są sympatyczne. Dwa moim zdaniem najlepsze prezentuję poniżej. Niestety przesłane modele skrzydlate wyglądają na wyraźnie niedopracowane.

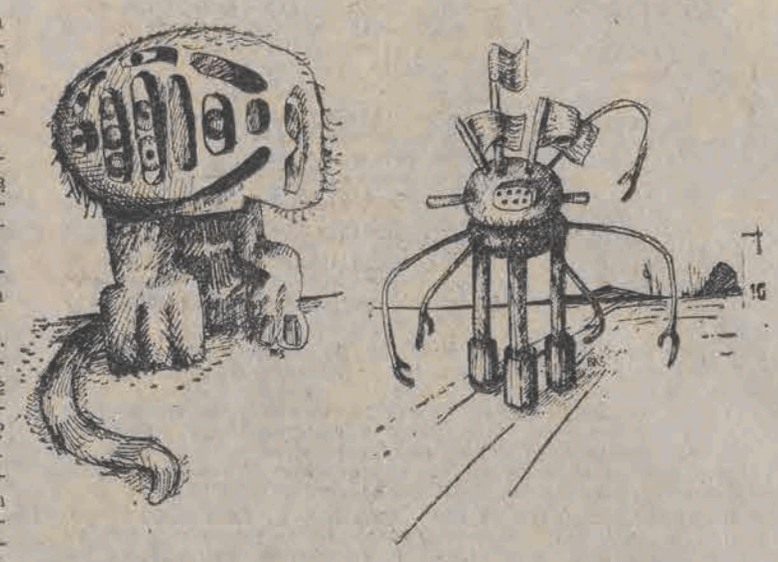

Rys. Barbara Krzemińska-Sobczyk

MARIUSZ L. Konin. Nadesłanej recenzji nie możemy zamieścić. Generalną zasadą przy recenzowaniu czegokolwiek jest ocenianie dzieła, a nie osoby autora, ty zaś postąpiłeś właśnie na odwrót. Tym niemniej styl i forma nadesłanej pracy są zupełnie poprawne. Zachęcam do dalszej pracy, przy uwzględnieniu jednak powyższej uwagi.

DAREK M.

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

W kręgu fantastyki

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

Zwiad

MICHAŁ NABIAŁEK

Wychodzę z domu; prześlizgujący się obok torobus usłużnie zwalnia i zjeżdża w kierunku krawężnika. Odprawiam go ruchem ręki. Ostatnie trzy dni spędziłem w górach na pierwszej wycieczce; dziś specjalnie wstałem wcześniej niż zwykle, a poranny spacer ma być niejako pomostem między chwilami beztroskiego lenistwa i czekającą mnie harówką. Dlatego właśnie wybieram dłuższą, lecz sympatyczniejszą drogę ulicami starego miasta. Mijam budynek muzeum, przecinam ukośnie pusty o tej porze rynek i wchodzę do parku. Przez kilka minut błądzę po jesiennie wybarwionych alejkach i zastanawiam się, co wiem na temat Akcji.

Moje rozmyślania są właściwie pozbawione wszelkiego sensu, skoro u nas — jak zresztą w każdym demokratycznym kraju — kilkanaście gazet i holoemiterów nazywa Akcję największą hańbą ludzkości, ubliżającą wręcz samemu pojęciu człowieczeństwa, a inne, co najmniej równie liczne gazety i stacje właśnie w Akcji widzą zasadniczy — jeśli nie jedyny — motor postępu cywilizacji, chroniący nas przed stoczeniem się w otchłań dekadenckiego zezwierzęcenia. Nie brak także poglądów pośrednich, które zdaniem jednych stanowią przykład rozsądku i obiektywizmu, a zdaniem innych — miałkości, sflamazarności oraz asekuranctwa w myśleniu. Dławię się nadmiarem informacji: jeśli kilkanaście jednakowo inteligentnych, wyszkolonych w prowadzeniu dyskusji osób jednakowo logicznie przedstawia sprawę z różnych punktów widzenia, jako laik muszę po prostu uwierzyć w to, co jestem w stanie zrozumieć, względnie poddać się impulsowi, a wtedy do wyobraźni trafi mi argumentacja felietonisty prowadzącego wykład w podobnym stylu, jak nauczyciel darzony zaufaniem w latach szkolnych, albo sugestia prezenterki, która w mojej podświadomości skojarzy się z matką lub z pierwszą dziewczyną. Tak czy inaczej wybór będzie przypadkowy, z czego na szczęście zdaję sobie sprawę.

Informacyjna nadmiarowość dotyczy zresztą nie tylko ważnych problemów, ale również, przykładowo, reklamy, co upodobniło nasz świat do chaotycznej kolekcji stosunkowo dobrze uprządkowanych wewnętrznie elementów, do gigantycznego śmietnika, na który ktoś ciska codziennie garściami wielkoskalowe moduły elektroniczne, zegarki, fragmenty systemów sterowania i tym podobne cudeńka. Każda pojedyncza wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałem w niasinftransferach, była sensowna i przemyślana, dwie przeciwstawne — jeśli na takowe natrafiłem — dawały jeszcze odrobinę pełniejsze naświetlenie zagadnienia (choć nie tak pełne, jakby to wynikało ze zwykłego, matematycznego podsumowania zawartych tam wiadomości), natomiast dziesięć tworzyło wyłącznie „szum informacyjny", a dodanie każdej następnej asymptotycznie zbliżało mnie do wyjściowego problemu absolutnej niewiedzy. Jeśli nie przeczytałem żadnej ulotki reklamowej, kupowałem mydło zupełnie przypadkowego gatunku, jeśli przeczytałem jedną, dawałem się z reguły nabrać zaangażowanym przez firmę specjalistom od badań nad motywacją, gdybym przeczytał sto, znów musiałbym zdać się na czysty traf.

Trochę później znalazłem sporo książek, w których przedmiot moich dyletanckich rozważań o składaniu obrazka ze źle dopasowanych kawałków przedstawiony został w sposób znacznie głębszy i mądrzejszy. Z pewnym zdziwieniem przyjąłem fakt, że układane na tej zasadzie modele matematyczne można zastosować do badania procesu ewolucji, cyklicznych przypływów plagi szkodników, okresowego skracania i wydłużania damskich spódnic albo konfliktów społecznych w starożytnym Rzymie. Nie dowiedziałem się jednak, do czego doprowadzi walka na informacje, czy raczej dowiedziałem się, że jest ona warunkiem postępu, zapowiedzią katastrofy, złem koniecznym, dobrem koniecznym, nieuniknionym etapem rozwoju, przełomowym momentem dziejów, syndromem schyłkowości cywilizacji, symbolem ekspansywności myśli ludzkiej — i tak dalej, zależnie od poglądów autora.

Przekraczam bramę Instytutu nie łudząc się nadzieją poznania całej prawdy TAM, na miejscu. Prawdopodobnie zamiast nadmiaru będę miał TAM do czynienia z ubóstwem i tendencyjnością informacji; nie wykluczam również ewentualności rozbudzania entuzjazmu dla Akcji środkami farmakologicznymi lub przynajmniej metodami bazującymi na zdobyczach psychoanalizy. Przypominam sobie kombinacje Kubusia Puchatka na temat, czy grzbiet osiołka Kłapouchego zatonie się pod naciskiem piramidy z ustawionych jedno na drugim zwierzątek i stwierdzenie Kłapouchego, że to, niestety, byłoby wiadomo dopiero POTEM. Ja także dowiem się POTEM — i także tylko tego, czy mój grzbiet wytrzyma nałożony nań ciężar.

Badania ogólne, ważenie i pomiary antropometryczne nie trwają zbyt długo; już po kwadransie rozpoczynam wędrówkę przez labirynt specjalistycznych gabinetów. Po drodze robię dwadzieścia pięć przysiadów, naciskam z całej siły pedały jadącego donikąd roweru bez przedniego koła, szarpię i popycham szorstkie uchwyty dynamometrów, dmucham lekko w jeden ustnik, a pełną piersią w drugi, na potężnej karuzeli ciało przygniata mi do fotela niewidzialna prasa przeciążeń i zaraz — jeszcze z czerwoną mgłą przed oczami — błądzę ostrzem metalowego rylca wzdłuż wąskich, blaszanych korytek; dalej chodzę po równoważni, zapalam i gaszę kolorowe lampki sygnalizacyjne na wielkich tablicach, skaczę, maszeruję na rękach, układam barwną mozaikę z paralitycznie powykręcanych w różne strony klocków, słucham na przemian cichego szeptu i zachrypiego jazgotu głośnika, starając się wyłowić z obłąkańczej kakofonii dźwięków jakieś zrozumiałe słowa, walczę — na narzuconych mi warunkach — z połyskującymi chłodno chromem i niklem aparatami, które precyzyjną perfidią wtłoczonego w elektroniczne obwody programu utrudniają osiągnięcie celu, aby za moment beznamiętnie wyświetlić w odpowiednich okienkach szeregi zielonych cyferek — abstrakcyjne podsumowanie mojego wysiłku, mojego refleksu, mojej podatności na zmęczenie, mojej umiejętności kojarzenia i przewidywania. Wszystko to odbywa się pod czujnym okiem wybitnych, sowicie opłacanych przez Instytut specjalistów, którzy nie tylko sprawują kontrolę techniczną, rugującą przypadki brakoróbstwa w taśmowej produkcji wspaniałych, inteligentnych i wszechstronnie sprawnych Bohaterów, lecz także — a nawet przede wszystkim — rozszerzają wciąż granice fizycznych i intelektualnych możliwości człowieka. Wiedzą doskonale, że człowiek jest miarą wszechrzeczy, choć rozumieją tę starą, łacińską sentencję w dość specyficzny sposób.

Moja końcowa ocena nie brzmi rewelacyjnie, ale w każdym razie należy do najlepszych — przez całe trzy lata przykładałem się solidnie do nauki i treningu — a teraz przychodzi kolej na najważniejsze pytanie, które pada już po raz czwarty i zarazem ostatni. Wtedy właśnie, w decydującym momencie, wycofuje się podobno prawie siedemdziesiąt procent ochotników — większość z nich od samego początku zamierzała wyłącznie naciągnąć państwo na bezpłatne przeszkolenie w luksusowych warunkach — ktoś szalenie kompetentny wyliczył jednak, że wywieranie jakiegokolwiek nacisku na postawę absolwentów jest nieopłacalne ekonomicznie, bo po pierwsze spisywaliby się gorzej w Akcji, po drugie zaś także i poza Akcją spożytkują swoje kwalifikacje, zdobędą większe majątki niż przeciętni obywatele i chcąc nie chcąc zwrócą zaciągnięty u społeczeństwa kredyt w postaci progresywnego podatku dochodowego. Decyduję więc wolny od obaw i przymusu, kilka nieprzyjemnych wspomnień, od których chciałbym uciec, sprawia jednak, że mówię głośno i wyraźnie „tak", a potem składam zamaszysty, podpis na odpowiednim dokumencie. W chwilę później przychodzi refleksja, że w ten oto sposób drobne przyczyny rodzą doniosłe skutki.

Następnego dnia budzę się z niejasnym przeczuciem zgubienia czegoś ważnego lub może zaprzepaszczenia jakiejś szansy, lecz nastrój przygnębienia trwa krótko, ponieważ dochodzi akurat siódma — najwyższy czas, aby wstawać. Zrywam się z łóżka, przełykam śniadanie, wskakuję pod prysznic, ubieram się i pędzę na pierwsze Tajne Szkolenie, o którym słyszałem już tyle fantastycznych i wykluczających się nawzajem historyjek, że nie zadałem sobie nawet trudu rozważenia prawdopodobieństwa którejkolwiek z nich. Na razie wygląda to jak fińska łaźnia — muszę się rozebrać i położyć na drewnianej ławce. Nie widać wprawdzie kiebów pary, rozpalonych kamieni i miotełek brzozowych, ale za to przeguby rąk i nóg otaczają mi metalowe paski, a głowę otula przezroczysta folia, która miękko przylega do twarzy, potem zaczyna mętnieć, aż wreszcie przysłania całkiem pole widzenia. Przez moment brakuje mi powietrza zaraz jednak do płuc napływa świeży, ożywczy powiew. Jestem prawie nagi i zaczynam odczuwać przenikliwe zimno.

Zimno. Świt. Rosa. Ptak-krzyk. Wstać. Iść. Szybko. Cicho. My-wiele. Obcy-wiele, wiele, wiele. Ziemia obca. Ziemia-strach. Odsunąć gałąź. Ostrożnie. Hałas-źle, źle. Obcy słyszy hałas. Obcy jest zły. Maczuga-dobrze-spokój. Maczuga-obcy-śmierć. Obcy jest groźny — obcych zabić. Wczoraj, dzisiaj, jutro. Obcych trzeba zawsze zabijać. Oni mają niskie czoła. Ich zapach jest wstrętny. Ich kobiety rodzą dużo dzieci. Ich dzieci szybko rosną. Obcych trzeba zabijać, bo inaczej oni zabiją nas. My idziemy na Zwiad. Jest nas pięciu. Jutro będzie nas więcej. Będziemy zabijać Obcych. Tak trzeba. Obcy to Wróg.

KAPSUŁKA INFORMACYJNA NR 1. Prehistoria. Akcji stanowi temat wciąż zbyt słabo poznany, mimo intensywnych prowadzonych szerokim frontem prac naukowych. Przeszkodę stanowi fragmentaryczny, z natury rzeczy, charakter wykopalisk, dopuszczający dość zasadnicze rozbieżności w interpretacji ich znaczenia. Uzasadnione nadzieje na stworzenie spójnej jednolitej teorii budzi komputerowe badanie matematycznych modeli pierwotnych społeczeństw — trzeba jednak pamiętać, że chociaż komputery praktycznie się nie mylą, wiarygodność wyników w oczywisty sposób zależy od wiarygodności danych. Niestety, z uwagi na małą moc obliczeniową współczesnych maszyn matematycznych wciąż jeszcze przy budowaniu modeli musimy dokonywać pewnych drastycznych uproszczeń.

Wątpliwości nie podlega teza zasadnicza: pra-Akcja stworzyła człowieka rozumnego, był sitem selekcyjnym, kierującym strumień bezładnych, przypadkowych mutacji ku genotypowi zapewniającemu wyższą inteligencję fenotypu. Przypomnijmy losy dwóch gatunków, które stały się zbyt potężne, aby rolę selekcjonera odgrywało naturalne środowisko — niedźwiedzia jaskiniowego i człowieka. U niedźwiedzia działał mechanizm tzw. „gestu pojednawczego", wykluczający, w normalnych warunkach, zabicie jednego osobnika przez drugiego. Mechanizm ten obserwujemy u wszystkich drapieżników, np. u współczesnych wilków. Jeśli w czasie najbardziej zażartej walki odwróci ku silniejszemu szyję, tamten nigdy nie „skorzysta z okazji", aby uśmiercić przeciwnika. Gest pojednawczy definitywnie przerywa zmagania; ma on głęboki sens dla przetrwania gatunku, dopóki słabsze osobniki są rugowane przez inne zwierzęta. Niedźwiedzie jaskiniowe — olbrzymy nie narażone na walkę o byt — wykształciły w efekcie prawie tak wielką różnorodność mutantów, jak pies domowy; łatwo sobie wyobrazić, czym skończyłoby się wypuszczenie na wolność wszystkich długowłosych jamników, pekińczyków, pudli... Kiedy, na skutek osłabienia gatunku, zaczął znów działać mechanizm selekcyjny, silnych, zdrowych genetycznie niedźwiedzi już nie było. Cała populacja musiała wyginąć.

Człowiek prehistoryczny mógł zabić drugiego człowieka i czynił to dosyć często. Aby polować na podobnych sobie i samemu nie zostać upolowanym, nie wolno stać w miejscu — trzeba się rozwijać, zdobywać i utrzymywać przewagę. Słabsi odpadają, silniejsi zostają na placu boju. Mówiąc niezbyt precyzyjnie, lecz obrazowo, o sile człowieka stanowiła przede wszystkim jego inteligencja i tę cechę wewnątrzgatunkowa walka konkurencyjna doskonaliła najszybciej, nawet kosztem innych cech pozytywnych. (Koniec kapsułki informacyjnej nr 1).

Idziemy na zwiad. Krew ofiarnego koguta nie przestała jeszcze parować na mroźnym powietrzu, a my odsadziliśmy się już od obozu o kilka strzeleń z łuku. Na początku idzie Pierwszy. Tak właśnie powinno być. On biega najszybciej, nadalej ciska oszczepem, najgłębiej wbija ostrze topora w miąższ dębowej, smołowanej belki. Pierwszy wie, że niebawem nadejdzie chwila, gdy ja stanę się silniejszy od niego i wtedy, jeśli postąpię zgodnie z obyczajem, dobrowolnie cofnie mi swoją pozycję, a jeśli nie — wyzwie mnie do walki. Walkę przegra i zdobędę przywództwo siłą, bo siła ważniejsza jest niż obyczaj. Siła chroni nasze kobiety i dzieci, siła daje łupy i jeńców, których oczy spoglądają na nas z pokorą i tajoną nienawiścią, siła pozwala puszczać z dymem osady Obcych i przy świetle pożarów wyłuskiwać z piwniczek i innych zakamarków płonących chat przytajone tam w dzikim strachu dziewczyny.

Inną siłę ma Trzeci. Trzeci potrafi zatamować krew płynącą z rany, uśmierzyć ból, rzucić czary, odpędzić złą gorączkę; umie także przy obozowym ognisku wysławiać czyny dawnych i nowych Bohaterów, a wtedy słuchają go wszyscy silni mężczyźni, czując się kimś więcej niż mężczyznami. Dlatego właśnie Trzeci jest nam potrzebny, chociaż ma wątlejsze ramiona i w walce musimy go często osłaniać przed ciosami Wrogów.

Długa pierzasta strzała grzęźnie w gardle Drugiego, kilka innych chybia celu lub spełza bezwładnie po naszych okutych tarczach. Śpinamy konie i w paru susach dopadamy Wrogów, którzy, dufni w swoją liczebną przewagę, zostali na miejscu nie ustępując nam pola. Rzemiosło wojenne mamy we krwi, nasze zbroje kuli najlepsi płatnerze, nasze miecze są dobre i ostre. Walka jest cudowna. Czwarty strzaskał tarczę najbliższego Wroga, przebił go na wylot; dopadam ich wodza, odtrącam i łamię jak trzcinę jego wiecznie, mój miecz błyska w powietrzu, rozcina głowę aż do szczęki. Przez chwilę wąwóz Ronsewal rozbrzmiewa zgiełkiem walki, lecz odzianym w skóry barbarzyńcom nie mierzyć się długo z pancernymi. Rozumieją to wreszcie i pierzchają do ucieczki, ale jest już za późno. Nasze konie biorą największy pęd — jedziemy im na karkach — ścinamy łby nie gorzej, niż pracowici drwale cienkie gałązki powalonego drzewa. Warknięcie kuszy powala w biegu tego, który odsadził się najdalej i mniemał, że jest bezpieczny od pogoni.

Wracamy do Drugiego. Drugi kona, nawet sztuka Trzeciego nie scali rozdartych arterii. W martwiejącej dłoni zaciska ciężki macuahuitl; błyszczy ostra klinga z obsydianu. Zginął, jak przystało na Bohatera i zamieniony w boskiego kolibra zazna wiecznego szczęścia.

...Zginął, jak przystało na Bohatera i wejdzie dumnie do Walhalli, Sali Poległych Wybrańców, gdzie w towarzystwie innych Bohaterów będzie ucztował przy stole zastawionym odrastającą wciąż pieczenią z dzika Serimnera i miodem kozy Heidrun.

...Zginął, jak przystało na Bohatera i kiedy nadejdzie Erntefest, wielkie święto plonów, stanie przed Panem Pól z dewizą Herrlichkeit, Ehre und Treue — Świetność, Honor i Wierność.

Kopiemy płytką mogiłę; ziemia jest zmarznięta, twarda jak kamień. Czujemy głód. Wyciągamy z podróżnych worków suchary i wędzone mięso. Pijemy zimną wodę; ogień mógłby zdradzić naszą obecność. Głód przestaje dokuczać, wstajemy, podsypujemy świeży proch na panewki muszkietów. Sprawdzam, czy rapier lekko wychodzi z pochwy. Pojutrze wracamy do obozu, a równocześnie powinna ściągnąć reszta wojsk najemnych. Sprowadzenie zahartowanych w ogniach wielu bitew weteranów kosztowało wprawdzie sporo złota, ale bez nich nie dałoby się ukarać Wrogów, zaszytych w zbójeckim, warownym gnieździe. Najemnicy walczą spokojnie, rozważnie. Dopóki otrzymują żołd, wykonują dokładnie rozkazy, a pozbawieni wodza wiedzą sami, co czynić należy. Oderwanemu od roli chłopu, nawet jeśli ma ochotę do bitwy, trudno zabić Bohatera, bo zgrubiałe od sochy dłonie trzymają broń mniej zręcznie, w zapale odsłaniają często miękkie ciało, a przywykłe do statecznych oględzin gospodarstwa oczy nie nadążają za ruchami ostrza przeciwnika. Bogate republiki kupieckie odmówiły Wrogom pieniędzy na zaciąg — a więc miasto na pewno zostanie zdobyte, my zaś, Zwiadowcy, wykonawcy trudnego zadania, otrzymamy pozwolenie na rabunek w pierwszej kolejności. To bardzo dobrze, bo miasto zubożało podczas długotrwałego oblężenia i nie starczy w nim łupów dla wszystkich.

Trzeba się spieszyć, aby dojechać na miejsce przed świtem. Ta wojna idzie źle. Trzy dni temu setki dzielnych straciło życie, atakując zwarte czworoboki strasznej piechoty niewiernych i setki odartych z kosztowności ciał popłynęło świętą rzeką. Nasze rumaki nie miały sobie równych, nasza stal była ostra i napojona krwią wielu wrogów. Pędziliśmy do walki bez cienia lęku — jak pędzą tylko ci, którzy nie znają ojca i matki. Przed nami pierzchał każdy, kogo pragnienie powrotu do rodzinnego domu uczyniło słabym — dlaczego więc Sułtan Ognia nie uląkł się zawrotnej szarży sześciu tysięcy rozwianych grzyw końskich i sześciu tysięcy wzniesionych jataganów? Najeżone bagnetami szeregi parły powoli naprzód, twarde i niepowstrzymane jak karząca dłoń Proroka. Co przyniesie jutro?

Nie mam czasu, aby się nad tym zastanawiać, bo właśnie lądujemy na maleńkiej, ledwie widocznej z góry polance w dżungli. Pospiesznie wyładowujemy z helikoptera broń i zasobniki. Godzina marszu przez zielone piekło tropikalnego lasu i wyczuwamy raczej niż dostrzegamy przed sobą ukryty bunkier — kilkadziesiąt ton betonu i stali, utopione w grzęskim, lepkim gruncie. Podnełżamy bezszelestnie razem z Pierwszym, miesiące ćwiczeń specjalnych robią swoje. Sprężysty, kocí skok. Obaj strażnicy leżą z poderżniętymi gardłami, za chwilę Czwarty jednym strzałem wali na podłogę zaskoczonego naszym nagłym wtargnięciem oficera, zanim ten zdążył uruchomić system alarmowy. Teraz kolej na Trzeciego; my, z kryształowymi emiterami anihilatorów wysuniętymi przez wąskie okienka, musimy czekać, aż wymontuje z wielkiego aparatu jakieś ważne części. Zdobycie tajemnicy wroga pozwoli na zgniecenie jego wysuniętych placówek. Tak powiedział sam marszałek i osobiście życzył nam powodzenia.

Znów godzina drogi: wszystko idzie gładko. Startujemy. Mam wartę. Jestem zmęczony, palą mnie oczy, ale ani przez chwilę nie odrywam wzroku od ekranu. Koledzy zawierzyli mi swoje bezpieczeństwo. Nagle, gdy sięgam po głośnik aby obudzić Czwartego, dostrzegam jasny, szybko rosnący punkt. Wróg! Automatycznie naciskam dźwignię miotacza antyprotonów; wiązka skondensowanego piekła znaczy na ekranie cienką smugę, zakończoną jaskrawym rozbłyskiem. Teraz lekkie muśnięcie sterów odchyla strumień gazów wylotowych i nasz wspaniały, zręczny statek szerokim łukiem omija radioaktywne szczątki. Jestem szczęśliwy: całym sobą chłonę rytm równej pracy cudownego mechanizmu rakiety, wyczuwam moc miliona watów jej silnika, zaciskam w dłoni lekko chropowaty spust jej anihilatora, niosącego śmierć Wrogom.

Zaciskam w dłoni lekko chropowatą rękojeść ciężkiej, gęsto nabijanej krzemieniami maczugi, niosącej śmierć Wrogom.

KAPSUŁKA INFORMACYJNA NR 2. Pobieżne choćby zapoznanie Kandydata ze wszystkimi Akcjami, prowadzonymi w czasach historycznych, jest po prostu nierealne. Wyliczono orientacyjnie, że było ich około piętnastu tysięcy i że spowodowały one odselekcjonowanie co najmniej trzech i pół miliarda ludzi. Gdybyśmy każdej Akcji zechcieli poświęcić tylko dziesięć minut — co doprawdy nie wydaje się czasem przesadnie długim — musielibyśmy prowadzić wykład przez ponad rok i naturalnie w natłoku faktów zgubilibyśmy wszelkie istotne idee.

Ogólnie rzecz biorąc zdecydowanie potępiamy te Akcje, których celem były doraźne korzyści materialne, albo, mówiąc wprost, rabunkowe napady z bronią w ręku, tyle, że organizowane na szeroką skalę. Przynosiły one zawsze same straty obu walczącym stronom, co nie jest bynajmniej przypadkiem, ponieważ na pomysł ich realizacji wpadać mogli wyłącznie ludzie o bardzo ciasnych horyzontach umysłowych. Z większym szacunkiem należy odnieść się do Akcji, planowanych jako wstęp do opanowania ważnych gospodarczo lub strategicznie terenów; naród, który pomyślnie przeprowadził taką operację, mógł następnie dochować się silniejszych, zdrowszych obywateli i podejmować próby dalszej ekspansji. Niestety, taka polityka wymagała konsekwentnej realizacji nie przez miesiące czy nawet lata, ale przez całe pokolenia, a rzadko kiedy wybitny władca miał równie wybitnego następcę. Sytuację dodatkowo komplikował fakt szybkiego rozwoju środków bojowych, nadmiernie podnoszący uboczny koszt Akcji w wyniku niszczenia rozległych obszarów Ziemi. Z chwilą odkrycia broni nuklearnych Ziemia stała się zbyt mała, naturalny pęd do konfrontacji rozładowywano sztucznie w tzw. „konfliktach lokalnych", prowadzonych przy użyciu „ograniczonych środków".

Właściwy sens Akcji już w XIV wieku odgadły z cudowną intuicją indiańskie plemiona Ameryki Środkowej, wprowadzając obyczaj „wojen kwieciste". Zaprzyjaźnione plemiona staczały od czasu do czasu w umówionym miejscu bitwy, których jedynym celem było wcześniejsze dostarczenie młodzieży bodźców do wszechstronnego rozwijania sprawności fizycznej, sprytu i odwagi. Podkreślić należy, że „wojny kwieciste", wbrew pozorom podobieństwa, stanowiły zjawisko jakościowo różne od rycerskich turniejów w Europie, gdzie zwycięzca otrzymywał cenną nagrodę, pokonany liczył siące, a publiczność przeżywała dreszczyk emocji. Wśród walecznych Indian jedyną publicznością byli współtowarzysze walki, jedyną nagrodę stanowiła satysfakcja, zaś jedyną ceną przegranej — śmierć przez wyrwanie serca na ofiarnym ołtarzu. Tę właśnie ideę Akcji, z odrzuceniem pewnych barbarzyńskich szczegółów, kontynuujemy dzisiaj: jej terenem są bezmierne przestrzenie Kosmosu i dalekie, pustynne planety, gdzie nie musimy niszczyć dorobku maluczkich, jej przebieg odpowiada codziennie na pytanie, jakie środki techniczne potrafi wymyślić jeden człowiek, a wykorzystać drugi, jej uczestnicy, młodzi Bohaterowie, są zdrowym ziarnem ludzkości, gwarancją przetrwania naszego gatunku i gwarancją przetrwania ideałów jedności, karności, męskiej przyjaźni, odwagi. (KONIEC KURSU WSTĘPNEGO)

Maska opada. Wstaję. Jestem Silny i Piękny. Odmeldowuję się, wychodzę. Na ulicy jakiś szczeniak wpycha mi do ręki ulotkę, oczerniającą Akcję. Obojętnie wrzucam druczek do kosza i wtedy przychodzi myśl, że treść ulotki nie jest przypadkowa, że to ostatnia próba mojej lojalności. Karcę się natychmiast: Koledzy-Bohaterowie na pewno nie kontrolują mnie w tak płaski, niegodny sposób.

Jutro startuję do pierwszego bojowego lotu.

■

Rys. P. Ulatowski

Zadyma, Punki! Zadyma!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Taniec eliminował w zasadzie dziewczyny. Wprawdzie te najodważniejsze trzy bodajże, może cztery, próbowały z godną podziwu ambicją wedrzeć się w krąg szalejących rówieśników, wyskakiwały jednak stamtąd niczym podcięte skrzydłem huraganu z rzadka tylko na własnych nogach.

— *Gou, gou!*

— *Hua, hua!*

— *Bang, bang!*

Potrącali się łokciami, nieraz głowa uderzyła o głowę, wpadali na siebie z całym impetem, powstawały kłębowiska i wiry, sprawiali chwilami wrażenie rugbistów walczących zaciekle o niewidoczną piłkę.

Nie była to jednak walka.

Zauważyłem, iż atakowani nie bronią się, nie oddają ciosów, ba! nie odwracają nawet głowy, aby zobaczyć, czyja to ręka, czoło, bark, kolano uderzyło ich z furią w plecy. Tańczyli w najlepsze, jakby mieli pod czarnymi kurtkami stalowe, kuloodporne pancerze. Nie czuli widocznie bólu. Nikt się nie krzywił, nie jęczał, ani śladu nienawiści, ani cienia strachu, trans jednym słowem, kompletne zapamiętanie; poprzytomnie, rozszerzone amokiem źrenice; uchylone, ociekające śliną usta.

No... dwóch, tych najmniejszych, najchudszych: zaczepiony przeze mnie mikrus z kolczykiem (paszoł z łapą!) i obwieś z popsutymi przedwcześnie zębami, które zresztą obnażał z lubością niby okrutne, spragnione krwi tygrysiątko — dwóch wyraźnie polowało na ofiary.

Nie bawiły ich pląsy i podskoki, nie rajcowała muzyka. Oczy mieli przytomne, bystre, nie zmącone obłędem. Stali poza kręgiem tańczących, upatrując celu, którym zazwyczaj okazywał się jeden z wysokich, dobrze zbudowanych kolegów. W dogodnym momencie, kiedy odwrócony tyłem kolega nie spodziewał się napaści, brali długi, iście lekkoatletyczny rozbieg i odrywając w ostatniej chwili stopy od parkietu kosili go z powietrza, niczym żywe, latające torpedy, gotowe poświęcić dla sprawy zdrowie i życie.

Bywało, iż staranowany Punk potrącał innych Punków, a ci z kolei jeszcze innych, i cała zgraja waliła się z poślizgiem na podłogę. Rzekłbyś: nie wstaną już więcej, połamane żebra i nogi, hej tam! Gdzie jest telefon? Pogotowie!

Zrywali się przecież jakby nigdy nic i dalej wiedli swoje złowieszcze korowody. Tłukli w estradę, w podest, na którym siedziały osowiałe zastępy hipisów, w drzwi, które w moich chorobliwych urojeniach wyleciały na korytarz z zawiasami.

Jakaś dziewczyna zemdlała, inna wymiotowała pogodnie na uboczu. Incydenty te nie ostudziły jednak ogólnego zapału. Mikrus i obwieś z przetrzebionym uzębieniem przymierzali się do kolejnego nalotu. Rosły, zdrowy Punk o łydkach i udach gladiatora udawał sugestywnie niedowład spastyczny: wykręcona szyja, sztywne kończyny, język wystawiony na pokaz w całej okazałości. Ten i ów symulował atak padaczki, tamten znowu dygotał ponuro niczym prawnuk świętego Wita.

— *Dość, dość!* — krzyknął pewien starszy, przypadkowo zabłąkany tu osobnik, któremu nagle zabrakło powietrza. — *Przecież to jest okropne, nieludzkie. Tak nie można!*

Ale nikt go nie słuchał. Ochrypły, zdarty głos, wytrenowany zapewne na stadionach piłkarskich trzeciej ligi, wrzasnął rozdzierająco:

— *Zadyma, Punki! Zadyma!*

W chwilę później właściciel owego głosu padł podcięty brawurowym skokiem Mikrusa. Co się tyczy obwiesia z ażurowymi szczękami, przewrócił z godną podziwu łatwością dwóch innych tancerzy. Nim zdążyli się podnieść, wszyscy trzej zostali momentalnie otoczeni i przygwożdżeni do parkietu butami kolegów.

Zamknąłem oczy. Jak Boga kocham, było strasznol Sępy zaatakowały padlinę... Każdy z leżących miał na nogach i tułowiu niezliczone stopy przyjaciół. Mało! Obcasy wrzynały się również w szyję. Tylko patrzeć, jak trzaśnie kręgosłup. Boże!

Ofiary cierpiały jednak dzielnie i bez protestu. Udeptywane w takt muzyki, sponiewierane i spocone, zdobywały się jeszcze na heroiczny wysiłek uśmiechu i rytmicznego potrząsania głową.

Nagle muzyka umilkła.

— *Koniec* — oświadczył krótko szef *BRAKU*, nie bawiąc się w żadne ceregiele.

Nikt nie protestował, nie domagał się bisów. Sala odzyskiwała z wolna swój normalny wygląd. Leżący wstali o własnych siłach, ktoś wprawiał drzwi, które wypadły tylko w mojej chorej wyobraźni, grupa ochotników uprzątała podłogę.

Niektórzy chłopcy i dziewczęta zaczęli ściągać z grzbietów czarne, inkrustowane gwoździami stroje i chować je do sakwojaży, w których ukryli wcześniej codzienne, akceptowane przez szkołę i dom ubrania. Inni, nie przebierając się wcale i kompletnie ignorując czarnowłosą kierowniczkę klubu, podeszli i wzięli mnie w kółko.

Zaczął ten wysoki, o udach i łydkach gladiatora, przyodziany w bermudy, które ledwo sięgały kolan. Spojrzał na mnie z wyżyn swoich osiemnastu lat i rzucił przez zęby:

— *W dalszym ciągu chce pan z nami rozmawiać?*

— Tak — odpowiedziałem niepewnie. I dostrzegając jako pierwszy swoją niepewność, ruszyłem od razu do zwarcia: — Co znaczy to „A" na waszych plecach?

— *Anarchia.*

— Popieracie terror?

— *Nie.*

— Samosądy?

— *Nie.*

— Faszyzm?

— *Nie. Raczej nie.*

— Raczej?

Poczułem lekkie zamroczenie. Była to wściekłość. Niedawno zerwałem wieczór autorski w Piotrkowie: dwudziestoparoletni, niewątpliwie inteligentny szaleniec zaczął mówić o faszyzmie nie bez sympatii. Gdybym miał w kieszeni pistolet... Dosyć! Ale uwaga! Tam, gdzie pokazuje się niejaki Makowiecki, lepiej nie mówić o faszyzmie.

Punkt w bermudach zapytał na wstępie, czy będę pisał dobrze czy źle. Powiedziałem, że będę pisał obiektywnie. Nooo, oczywiście to, co zanotowałem do momentu rozmowy, a więc bez ich pomocy, opiszę wedle własnej manjery, bez taryfy ulgowej bynajmniej. Teraz jednakże, skoro udzielają mi informacji, potraktuję ich z całą powagą. Tylko, na miłość boską! Żadnych „raczej"! Nie wspominać mi o faszyzmie!

Czytałem przecież, że w niektórych krajach ruch punkowski ma wyraźnie zabarwienie lewackie. W innych, owszem, podszyty jest rasizmem. Nie kocha się czarnych i czerwonych braci, co do żółtych, sprawa jest skomplikowana, jako, że jednym z bastionów punkowych są wyspy japońskie. Przypomina mi to dowcipne stwierdzenie pewnego dyskryminowanego Apacza, który powtarzał przed sądem:

— *Nienawidzę rasizmu! Pierdolę rasizm! To doprawdy okropne, aby w Stanach Zjednoczonych, kraju wolnym i demokratycznym, traktować łojarnego Indianina jak Araba, Żyda czy też śmierdzącego Italianca.*

Jak te sprawy wyglądają w Polsce?

Zapytałem:

— Więc na czym ta wasza anarchia polega?

— *Na tym, że każdy robi, co mu się podoba i ubiera się jak chce* — wtrąciła nerwowo ładna, przycięta na szczotkę, dziewczyna. — *Ludzie nienawidzą nas za to, szkoła tępi, jednemu Punkowi w Toruniu wyrwali z ucha kombinerkami wisiorek.*

— Straszne — przytaknąłem. — A co ty zamierzasz robić, maleńka, jak będziesz miała trzydzieści lat?

— *To, co teraz. Śpiewać, tańczyć, ubierać się po swojemu...*

— No, dobrze. Potem jednak skończysz czterdzieści.

Punki rechotały wesoło, a gladiator w czarnych bermudach zawyrokował:

— *Jak mam być taki stary, to wolę umrzeć!*

Zabrakło mi pytań. Ale tylko na chwilę. Pozbierałem jakoś swoje czterdziestoletnie samopoczucie. Pociągnąłem:

— Czy używacie narkotyków?

— *Czasami.*

— A jak jest z miłością.

— *Miłość* — odpowiedziała przycięta na szczotkę dziewczyna tonem rozstrzygającym wszelkie wątpliwości — *może być wolna i także samo wiązana.* — Tu zrobiła do mnie, jak Boga kocham, słodkie oko.

Nakrzepiony ewą romantyczną wymianą spojrzeń, skonkludowałem:

— Krótko mówiąc, wasz program niewiele różni się od ideologii hipisów.

Grupa „A" Szwadron

— *Hipisy to są damy!* — zawrzasnął Mikroszczak. A Punk w bermudach dorzucił:

— *Niech pan na nich popatrzy!* — wytknął pięścią przyobleczoną w rękawiczkę o stalowych ćwiekach, siedzących na podeście kontestatorów. — *Kopcą te swoje obrzydliwe skręty, łykają prochy od bólu głowy, niuchają butapren, wszy we włosach...*

Na te słowa zeskoczył z podestu stwór o zapadniętych tragicznie policzkach i bujnej fryzurze afro:

— *Mówicie, że nie uprawiacie terroru. A kto ogolił naszego kumpla?!*

— *Gdzie?*

— *W Hali Sportowej.*

— *Należało mu się, bo robił zadymę.*

— *Nie robił żadnej zadymy!*

— *Taaa, nie robił.*

Uśmiechałem się w duchu. Jeszcze niedawno, kiedy widziałem ich na parkiecie, zdziczałych, ponurych, wydobywających z siebie gardłowe, niezrozumiałe okrzyki, budzili we mnie autentyczny niepokój. Wydawali się wtedy groźniejsi od jakichkolwiek politycznych spisków i knowań, które powstają w podziemiach świata dorosłych i które toczą się na powierzchni naszego życia. Podejrzewałem, że kryją w sobie otchłanie zła i że to zło, sterowane wyrachowaną, okrutną inteligencją, rozprzestrzeni się na całe pokolenia.

Teraz przecież, z bliska, patrząc na ich młode, pozbawione zarostu twarze, słuchając ich zabawnych, choć prawionych ze śmiertelną powagą wyznań, traktowałem ich (czy słusznie aby?) jak zgraję niesfornych dzieciaków.

— Powiedzcie mi, nie boli was ten rozbijany taniec?

— *Jak tańczymy, to nie boli, dopiero później zaczynają skrzypieć człowiekowi bebechy* — oświadczył Mikrus, podciągając ku niezmiernej uciesze widzów koszulinę i demonstrując chude, straszliwie posiniaczone ciało. — *Nieraz to i gnat jakiś pęknie...*

— *Mnie w tamtym roku nerka wysiadła* — chwalił się obwieś z popsutymi zębami.

— *Co zaś żeż się tyczy mnie* — ciągnął swoje Mikroszczak — *lubię ból i nie wstydzę się tego.*

Starszy osobnik, który pół godziny wcześniej krzyczał: — Dość, dość! Tak nie można! To jest nieludzkie! — przysłuchiwał się mojej konwersacji z Punkami, a minę, proszę zauważyć, miał ciekawą. Nie spodobał się jakoś punkowej dziewczynie. Strzeliła:

— *A ty, stryju, jak się nazywasz?*

Gość obserwował z uwagą jej płowe, obcięte na szczotkę włosy i lewy, posypany błyszczącymi opiłkami policzek. Opiłki wrosły pod skórę niczym rój odłamków z jakiegoś złocistego odcisku i była jako stygmat, któremu należało dochować wierności.

— *No, nie gap się tak. Jak się nazywasz* — powtórzyła Punkówa.

— *Igor* — wybełkotał gość.

— *Igooor?* — zaciągnęła Punkówka. — *To masz pewnie wesołego igorka?*

Gość przełknął ślinę. Nie przychodziła mu jakoś do głowy żadna dowcipna odpowiedź. Szepnął wreszcie:

— *Szukam dziewczyny do występów w nocnym barze!*

— *Poważnie mówisz, stryju?*

— *Jak najpoważniej!*

— *No to spadaj stąd! Ale już! Ja jestem punkowa dziewczyna do punkowej muzyki. Nie nadaję się do pracy w nocnym barze.*

— *Punki nie przywiązują znaczenia do wartości materialnych* — pouczył mnie gladiator w bermudach.

— *Ehe! Nie przywiązują. Dopóki nie poczują w garści pierwszego solidnego zwitka dolarów* — odparował gość, który był zapewne emisariuszem jakiejś dyskoteki lub jakiegoś estradowego stowarzyszenia jaskółek.

Odszedł.

Dwie dziewczynki, w tym Dorotka, córka mojego przyjaciela, wzięły mnie teraz na stronę, aby za wiedzą i namową pani kierowniczki wyregulować moją wyobraźnię o Polsce i świecie współczesnym. Obydwie były dorodne i szalenie miłe, i wbijały przez godzinę w mój zakuty łeb, jak należy się dzisiaj ubierać, malować i tańczyć.

Mamo! Nie pozwól mi,
abym był najemnikiem!
Mamo! Nie pozwól mi,
abym był skurwysynem!

Święte słowa. Szkoła zwala na dom, dom na szkołę, a dookoła, w świecie czcigodnych, starszych ludzi, roi się wprost od cwaniactwa, obłudy i szachrajstwa.

Przy-znasz — Ja-siu!
Przy-znasz — O-lu!
Że — naj-le-piej,
jest — w przed-szko-lu!

A co? Może nieprawda? Infantylna, lecz jakże piękna, salingerowska koncepcja świata, wedle której jedynie dziecko potrafi być prawdziwie szczere i autentycznie bezinteresowne, ma w sobie dużo powabów. Świadczy o tym chociażby twórczość przedszkolna, malowanie i śpiewanie, pozbawione, póki co, państwowego mecenatu.

Jednak Punki nie są przecież całkowicie bezinteresowni. Oto śliczna dziewczyna, koleżanka Dorotki, zaczęła nagle nadawać, że w żaden sposób, jakkolwiek czuje się Punkówką ze stroju, obyczaju i wyboru, nie może wejść oficjalnie do hermetycznej społeczności Punkowców, albowiem pewna zawistna o jej urodę jędza regularnie kopie pod nią dołki.

Tak czy siak dziewczyna walczy, wierząc, iż przyjdzie dzień, kiedy zostanie zaakceptowana i wpuszczona w sam środek zadymy, gdzie jakiś Mikrus lub obwieś z ażurowym uzębieniem przetrąci jej kręgosłup.

1 Zdarzenia i zwierzenia

Wesele dla bogaczy

Wchodzę na telewizyjno-filmowe poletko, zagospodarowane przez kogoś bardziej fachowego w tej branży. Obejrzałem jednak film Zanussiego „Kontrakt" i nie mogę się opędzić przed refleksjami. Ponieważ nie jestem „z branży", więc o filmie nic nie wiem; do kina nie chodzę, więc obejrzałem go w telewizji; recenzji filmowych nie czytam, więc nie wiem, czy był na ekranach i jak go, ewentualnie, oceniano... Słowem, zupełny laik.

Ale przecież film opowiada o Polsce końca lat siedemdziesiątych i w tej dziedzinie laikiem nie jestem. Dlatego też refleksje dotyczyć będą nie filmu, aktorów i reżyserii — lecz życia.

A więc mamy „Kontrakt", czyli ślub syna piekielnie bogatego docenta (willa za 4 miliony i to w końcu lat siedemdziesiątych) z córką jakiegoś prominenta (z południowego województwa, sądząc po rejestracji służbowego samochodu). Młodzi się buntują przeciwko bogactwu rodziców, nie chcą od *nich* pomocy, bo wolą nawet *lata* czekać na mieszkanie, *byle* nie korzystać z protekcji *tatusia*. Więcej — odmawiają przyjęcia talonu na „malucha".

Synek nawet tatusiowi willę podpala, co prawda po pijanemu, ale widać takie ciągoty do unicestwienia tatusiowego bogactwa drzemią w nim na trzeźwo. Córeczka tak bardzo nie cierpi swojego ojczulka, że godzi się na ślub kościelny, aby ojcu-działaczowi zrobić na złość. Zupełnie bezinteresownie, z czystej, małpiej złośliwości.

Rosjanie mają takie określenie: „z żyru biesitsa" — co mniej więcej oznacza „zgłupieć z dostatku". I taką właśnie historię bardzo zajmująco opowiedział Krzysztof Zanussi.

Być może zresztą opowiedział historię prawdziwą w jakimś jednostkowym wymiarze, być może wśród stołecznego „hajlajfu" podobne „wesele" się zdarzyło... Tylko, jak to się ma do polskiej rzeczywistości końca lat siedemdziesiątych, czy zresztą i obecnie? Gdzie są ci altruiści, którzy odrzucą talon na „malucha", protekcję na mieszkanie, przyjmą gorszą pracę zamiast lepszej, którą ktoś załatwi. Gdzie są?

Oczywiście są w filmie Zanussiego, ale w życiu?

W życiu akurat dominowały postawy konsumpcyjne, także wśród młodych. Także wśród „młodych, gniewnych buntowników", którzy wytykali wille i talony prominentom, aby natychmiast łapać się za to samo.

Więc jaką prawdę opowiada ten film?

To już prawdziwsza jest góralska anegdotka o tym jak gazdowie dyskutują po Sierpniu, na co przeznaczyć willę prominenta: na przedszkole czy na ośrodek zdrowia. Wreszcie wstaje stary Gąsiennica i powiada: „Ani przedszkole, ani ośrodek — dajcie willę tym n o w y m". — „Zwariowałeś? — pytają gazdowie. — Jakże to tak?" — „Ano, dlatego — mówi Gąsiennica — że ja już drugi raz za darmo nie będę budował".

Zanussi też opowiedział anegdotę środowiskową i to jednego broni. Na luksus altruistycznych gestów mogły sobie pozwalać — i czasem pozwalały sobie — bananowe dzieci. Dlatego właśnie oboje młodzi w filmie są dziećmi prominentów. Gdyby jednak twórca „Kontraktu" zechciał zderzyć inne sytuacje? Gdyby na przykład dziewczyna była córką rodziców spoza układów i fortuny? Czy i wówczas reżyser zdecydowałby się na pokazanie naiwnego buntu przeciwko życiowej szansie wejścia w u k ł a d?

Pofantazjujmy jednak. Przychodzi Sierpień 80 i co? Zbuntowana młoda para rzuca się w wir działalności. Docent-kardiolog, jeśli nawet traci stanowisko, to zostaje przy willi i prywatnej praktyce. Może najgorzej wychodzi na tym tatuś-działacz z południowego województwa, ale to też nie jest pewne. Młodzi biorą wreszcie ślub kościelny w Podkowie Leśnej. Dziennikarz z regionalnej gazety, który próbował protekcji u prominentów, tym razem szybko znajduje protektorów. W gruncie rzeczy wszystko zostaje po staremu — tylko pod innym szyldem.

Ciekawy byłby film o dalszych losach bohaterów „Kontraktu", ciekawy byłby to film, choć — oczywiście — znamy jego zakończenie.

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem

Podzwonne „Poglądom"

Nie wiem co jest przyczyną faktu, że coraz więcej kiosków „Ruchu" w naszym mieście pozostaje nieczynnych. Czy było ich za dużo? Jeśli tak, to teraz mamy sytuację odwrotną: mieszkańcy niektórych bloków mogą kupić prasę nie bliżej niż o dobre dwa przystanki tramwajowe.

Natomiast w tych kioskach, które nie zawiesiły działalności na czas nieograniczony, niemal co parę tygodni pojawiają się nowe tytuły czasopism, ledwie można nadążyć z ich odnotowywaniem, a tym bardziej z pobieżnym chociaż zawarciem znajomości. A czasem zdarzy się też, że ktoś z rodziny czasopism ubywa, tak to się przydarzyło katowickim „Poglądom".

Nie popełnię chyba błędu, jeśli powiem, że przez całe 21 lat swego ukazywania się „Poglądy" — tak samo, jak nasze łódzkie „Odgłosy" — nie były finansowo samowystarczalne i wychodziły tylko dzięki dotacjom państwowym. Teraz podporządkowano je zasadom reformy — względy kulturotwórcze przestały być decydującymi. Redakcja w swym pożegnalnym artykule podaje jeszcze inne powody: a to, że pismo jako jedyne tego typu w Katowicach musiało — cytuję: „dźwigać ciężar wszystkich środowisk twórczych i kulturalnych" swego regionu i nie wytrzymało tylu serwitutów; a to (jak pisze jeden z felietonistów w ostatnim n-rze) — że nie miało z kim ostro i złośliwie polemizować, nie zamieszczało więc pyskówek, z których wg tegoż felietonisty żyje prasa warszawska. Myślę jednak, że nie tu leży przyczyna likwidacji pism. Wielkość i różnorodność środowisk twórczych powinna być przecież raczej korzyścią, nie przeszkodą dla pisma. A co do pyskówek — gdzie one tak naprawdę są? Kto z kim i o co się spiera? Czasem o jakieś głupstwo, które wcale nie angażuje uwagi czytelników. Więc chyba jednak proste i brutalne prawo ekonomiczne: brak popytu.

Szkoda. „Poglądy" były najtańszym tygodnikiem tego typu w kraju. Kosztowały 12 złotych — 12 stron dużego formatu. Ich najmocniejszą stroną, ich niekwestionowaną specjalnością była tematyka polsko-niemiecka. Akcentowana i faworyzowana tak silnie, że aż przydawała pismu niejakiej jednostajności, ale też mamy dzięki temu świetnie skomentowaną dokumentację wielu spraw, które nie znalazły się na łamach żadnego innego pisma.

Cechę tę zachowuje w całej okazałości również ostatni numer „Poglądów" — z 10 kwietnia br. Na uwagę zasługuje zwłaszcza artykuł Barbary Miłobędzkiej pt. „Dziedzictwo kulturalne — koń trojański rewizjonistów". Autorka przekonywająco wywodzi, że zachodnioniemieccy rewizjoniści, nie mogąc ze względów politycznych walczyć wprost o zmianę granic, rozbudowują do maksimum badania nad historią i kulturą swych utraconych ziem, stwarzają ogromną dokumentację mającą świadczyć o niemieckości tych ziem i stanowić kiedyś argument rewindykacyjny.

Powstają w RFN specjalne instytuty, biblioteki i muzea. Biblioteka Domu Niemieckiego Wschodu w Düsseldorfie zawiera 40 tysięcy dzieł poświęconych sprawom Śląska. Radio ogłasza konkursy na słuchowiska o tematyce śląskiej, organizuje się konferencje i sympozja naukowe. „Wydaje się — pisze Miłobędzka — że będziemy musieli z większą niż dotąd uwagą śledzić tamte działania" — i poddaje pod dyskusję konkretne wnioski, na przykład:

— przeanalizować na nowo zbiory i ich ekspozycje w muzeach śląskich,

— poszerzyć studia germanistyczne we Wrocławiu i Sosnowcu o przedmiot „niemcoznawstwa", czyli problematyki współczesnej, polityczno-kulturalnej,

— przywrócić Zjazdy Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych,

— podjąć wydanie monumentalnej, wielotomowej Encyklopedii Śląskiej, a na początek przynajmniej Leksykonu Śląskiego.

Są to ciekawe wnioski, choć nasuwają niejakie zastrzeżenia. Czy na przykład mamy wracać do pojęcia „Ziem Zachodnich", wyodrębniać pisarzy Ziem Zachodnich, choć już dawno uznaliśmy te ziemie za zintegrowane całkowicie i nieodwołalnie z Macierzą?

Szkoda, że „Poglądy" schodzą z placu boju. Ale znając zainteresowania i świetną znajomość tematyki polsko-niemieckiej ich redaktora, Wilhelma Szewczyka, jesteśmy pewni, że tematyka ta nie zejdzie z pola naszego widzenia i znajdzie należne jej miejsce na łamach polskiej prasy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Dwa mecze

W samo południe obejrzałam sobie mecz Rumunii z Włochami i zrobiło mi się przykro. Jak ci mistrzowie świata fatalnie grali. Później był mecz Polska — Finlandia i też mi było przykro. Jak trzecia drużyna świata fatalnie grała. A miał to być festiwal bramek. Strzelanych oczywiście przez naszych wspaniałych chłopców tym bezwolnym Finom. Zakładano chyba, że Finowie w ogóle zrezygnują z gry i będą służyli Polakom nie tylko do zdobycia punktów, ale i bramek, które później będą się liczyły w końcowych wynikach eliminacji w naszej grupie. Ale Finowie, choć bez szans na wyjście z grupy, to jednak chcieli bardzo wygrać z trzecią drużyną świata. I zremisowali — co prawda — ale przy naszej pomocy. 15 kwietnia 1983 r. katowicki „Sport" pytał na pierwszej stronie: „Czy „Toni" postawi na Janasa?" Postawił. I Paweł Janas załatwił bramkę Finom.

Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Samobójcza bramka może zdarzyć się najlepszemu zawodnikowi, najlepszej drużynie. Rzecz w tym, aby szybko tę stratę odrobić. I to się naszym chłopcom nie udało. Za to i tylko za to trzeba mieć do nich pretensję. Wprawdzie Antoni Piechniczek próbował tłumaczyć swoją drużynę, że to nie katastrofa, że w sporcie tak bywa, że „realizacja przedmeczowych założeń nie była całkowita", a uwagi przekazane drużynie w czasie przerwy trudne były do wykonania „ze względu na zły stan murawy boiska". Chcę być sprawiedliwa i dlatego muszę napisać że w „Sporcie" z 15 kwietnia Antoni Piechniczek wyraził opinię, iż „wadą stołecznego obiektu jest jedynie stan murawy, nie pielęgnowanej od dłuższego czasu". To prawda. Ale Finowie grali na tej samej murawie i — jak to powiedział trener fińskiego zespołu Pauno Kymaelaeinen — „wywiązaliśmy się z postawionego nam zadania". Dlaczego to na tej samej murawie jedni mogli, a drudzy nie? Byłoby już nieprzyzwoitością, gdybym w tym miejscu posłużyła się przysłowiem o złej baletnicy. Więc tego nie zrobię. Przypomnę tylko, że Stadion Śląski też ma murawę nie pielęgnowaną i dopiero niedawno — jak to doniosło „Życie Warszawy" z 22 kwietnia — przystąpiono do przygotowania tej murawy, żeby trener Antoni Piechniczek nie musiał „narzekać na jakość nawierzchni boiska". Czy to pomoże naszym wygrać z ZSRR?

Optymizmu w przedmeczowych rozważaniach jakoś nie widzę. To dobrze. To oznaka, że zaczęliśmy cenić przeciwnika. Niestety o nastrojach przed meczem Polski z Finlandią i Widzewa z Juventusem powiedzieć tak nie można było. Finowie mieli nam pomóc nie tylko w lepszym ulokowaniu się w tabeli, ale i w uzyskaniu pozytywnego, wysokiego stosunku bramek. Również Juventus miał polec w Łodzi, choć sytuacja Widzewa nie była wcale taka dobra. Optymiści nie pamiętali, że sytuacja Widzewa w półfinale Pucharu Europy była identyczna jak w Liverpoolu. Z Łodzi wywieźli oni 2 stracone bramki. Widzew z Turynu również 2. Trzeba było wygrać u siebie wysoko. Liverpoolowi to się nie udało, choć mecz wygrali. Widzewowi również, choć mecz zremisowali. W sumie korzystniejszą sytuację miała ta drużyna, która przystępowała do gry z czystym kontem.

Piłkarze RTS Widzew jednak nie zawiedli. Rozegrali znakomity, ciekawy mecz. Grali do ostatniej chwili. Nie załamali się mając już świadomość, że do Aten pojedzie jednak Juventus. I trzeba im za to podziękować. Dojście do półfinału w rozgrywkach o Puchar Europy to bardzo wysokie osiągnięcie. Piłkarze Widzewa zbulwersowali całą piłkarską Europę, dowiedli, że choć reprezentacja Polski — będąca w przebudowie — nie jest jeszcze zgrana i w najlepszej formie, to przecież polska piłka nożna nadal się liczy. Teraz powinni zrobić wszystko, aby utrzymać się w strefie europejskich pucharów, choć życzę im z całego serca ponownego zdobycia mistrzostwa Polski.

Piękną walkę widzewiaków zakłócił fatalny, chamski incydent na boisku. Incydent, który może bardzo źle odbić się na przyszłości drużyny, choć nie jej to wina. I nie miłość do klubu i piłki nożnej leży u podstaw takich wybryków. Po prostu głupota. Nie jest to pierwszy wypadek. Różne już rzeczy zdarzały się na stadionie i wokół niego. Kiedyś musiało dojść do skandalu i doszło. Szkoda tylko, że w Łodzi i na meczu pucharowym. Ale czy rzeczywiście tak musiało być? Czy taki skandal był niezbędny? Czy nie można było jednak temu zapobiec?

Nie umiem na te pytania odpowiedzieć. Wiem tylko jedno: że mecz przerwany był innym meczem, niż mecz, w którym nie byłoby przerwy. I to jest fakt. Niech sobie kibice to fakt przemyślą. Niczego to oczywiście nie zmienia, bo wynik też jest faktem. Ale przecież inaczej się gra bez 20 minutowej przerwy, która obu drużynom poważnie zszarpała nerwy. Widzewowi groziła dyskwalifikacja. Przez kibiców. Czy zasługują oni na miano kibiców?

BOGDA MADEJ

4 Telewizja

Wesele z czasów Edwarda

Niegdyś tego rodzaju okazję nasza telewizja dyskontowała na wiele sposobów: zwiastuny, anonse w prasie, dyskusje po projekcji, uroczysta oprawa etc. Dziś, gdy odbywa się premierowa prezentacja filmu produkcji TvP, filmu, który należy uznać za jedno z najwybitniejszych dzieł małego ekranu, towarzyszy temu zwykła informacja: 20.15 — „Kontrakt" — polski filmu tv. Mimo że tytuł ten jest już znany kinowej publiczności z dużego ekranu, taki milczący dystans sponsora wobec własnych osiągnięć musi dziwić. Tym bardziej, że repertuar filmowy największego kina w Polsce przedstawia się nader biednie i nieciekawie. Zatem, ot takie sobie, rzucenie filmu Krzysztofa Zanussiego do sieczkarni bieżącego programu jest zwyczajnym marnotrawstwem.

Krzysztof Zanussi należy do tej nielicznej grupki twórców polskiego kina, których każde kolejne dzieło utrzymuje się na pewnym stałym — nie trzeba dodawać: wysokim — poziomie artystycznym. Jego filmy, począwszy od dyplomowej „Śmierci prowincjała", ustaliły mu w naszej kinematografii miejsce ekranowego intelektualisty, filmowego filozofa życia. „Struktura kryształu", „Iluminacja", „Spirala", „Życie rodzinne" to rozpisane na obrazy dialogi o ludzkiej egzystencji, o jej psychologicznych determinacjach i moralno-etycznych wyborach. Filmy te charakteryzował swoisty ascetyzm, jakby racjonalistyczny dystans i „chłodne oko". Dlatego też — z wyjątkiem telewizyjnego „Za ścianą", rozemocjonowanego studium samotności — filmy Zanussiego nakierowane były na sferę intelektualną widza, który musiał przyjąć postawę rozumiejącą. Bo egzystencjonalno-filozoficzne dysputy reżysera ze swoimi postaciami, ścierające się racje filmowych bohaterów, to jednocześnie dialog z widzem. Stąd też filmowe propozycje Zanussiego, wysoko cenione przez krytykę oraz przez część publiczności, dla której kino jest nie tylko sobotnio-niedzielnym relaksem, nigdy nie były bestsellerowym przebojem. Może dopiero „Barwy ochronne" przerwały ten nurt ekranowego klerkizmu i wydostały się poza obszar kina elitarnego. Złożyło się na to wiele przyczyn, także pozaartystycznych — jak pamiętamy. Ale najważniejszą — co przypuszczam — był nowy ton, jaki w tym filmie się pojawił: poprzez egzystencjalny dialog postawy, do którego przywykliśmy już w filmach Zanussiego, zaczęły przezierać realia, jakie u schyłku lat osiemdziesiątych, stały się ważkim symptomem, zapowiadającym czas społecznych przewartościowań. Ton pamfletu, zjadliwej i ostrej obserwacji, która znalazła potem pełny wyraz w telewizyjnym „Kontrakcie".

Od czasu premiery arcydramatu Stanisława Wyspiańskiego, fabularny chwyt wesela stał się w naszej literaturze, ale także w teatrze, wielce nośnym pomysłem artystyczno-ideowym, po wielekroć zresztą eksploatowanym. Można by rzec, że każdy istotny etap w powojennej, polskiej historii znajduje swoje metaforyczno-symboliczne odzwierciedlenie w literackim obrazie wesela. Ta obrosła w tradycje, sięgające „Pana Tadeusza", konwencjonalna uroczystość inspirowała Marię Dąbrowską („Na wsi wesele") i Ernesta Brylla („Rzecz listopadowa"), Jerzego Andrzejewskiego („Miazga") i Marka Nowakowskiego („Wesele raz jeszcze"). Zawsze uroczystość ta była poręcznym pretekstem, sytuacyjną ramą, w którą pisarz bądź dramaturg, wpisywał ideowe konstatacje swojego czasu, stawiał diagnozy, uogólniał.

Podczas gdy Wyspiański rysował swoje bronowickie persony z pasją wieszczącego neoromantyka, to utwory jego współczesnych następców wydobyły z „Wesela" to, co było narodową szopką, groteskową karykaturą, środowiskowym pamfletem.

Choć, jak sądzę, Zanussi nie stawiał sobie takich narodowo-polemicznych celów, jak — na przykład — Bryll, to jednak i „Kontrakt" daje się wpisać w tamtą — ciągnącą się od Wyspiańskiego — tradycję. Jego wesele jest najczystszej wody pamfletem, który nie pozostawia żadnych złudzeń, ani nie oszczędza nikogo. Nawet obu staruszkom, które pojawiają się w epizodach, przydaje cechy karykatury: pierwsza — jak z czytanek dla młodocianych miłośników przyrody, druga, niania — jak z kart powieści Heleny Mniszek. A główne postaci z szopki? Skorumpowany pan domu, betonowaty dyrektor z prowincji, dziennikarz — pseudoradykał, który czeka na okazję, aby dorwać się do miejsca na górze, primabalerina ze swoim dworem, służąca — flejtuch. Ktoś z sekretarzem znakomicie wpasowany w tę środowiskową menażerię. Nie lepiej wypadli na tym tle obywatele świata. Jednym słowem kleptomania, nimfomania i poróbstwo. A młodzi, ci „piękni dwudziestoletni"? Ich bunt to też tylko modny kostium, to teatralne gesty, które są tyleż epatujące, co groteskowe.

Gdybyż to był tylko paszkwilancki pamflet! Przecież nie. Żaden z bohaterów nie jest społeczną imaginacją, co miało się potem okazać (film powstał w roku 1980), każdy z nich otrzymuje u Zanussiego swój socjalny rodowód. A wszystko to jest także wspaniałym kinem, obrazem o arcydzielnej maestrii warsztatu i jego efektów.

Zatytułowałem ten tekst „Wesele z czasów Edwarda". Chciałoby się wierzyć, iż rzeczywiście odnosi się już do przeszłości.

GRZEGORZ GAZDA

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karoleczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji) **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 630-99, publicyści 677 70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1036. L-2.

Poker życiem zwany

Tu każdy klient jest zagadką...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

To była moja wina. Spieszyłem się i na przejście wpadłem już przy czerwonym świetle. Umykając przed nadciągającą watahą wozów skoczyłem w tłumek na brzegu chodnika, potrącając stojącego z brzegu faceta. Bąknąłem „sorry", ale kątem oka dostrzegłem przygotowaną już w rewanżu „piąchę" i rozwścieczoną twarz. Jakby znajomą. Sekunda i otworzyła się stosowna klapa w mózgownicy. Jasne! To „mój" cinkciarz! Parę miesięcy temu pogwarzyliśmy trochę o jego specyficznym zawodzie, poleciało to potem do gazety, nie sądziłem jednak, by był stałym czytelnikiem „Odgłosów". Ale jakoś mi się nieswojo zrobiło...

— *Hej, mały, poczekaj!* — złapał mnie za łokieć. — *Walisz ostrym szpurtem, ludzi zaczepiasz i — nie poznajesz? Co u ciebie?*

Uśmiechnięty był raczej życzliwie. Nie mogłem sobie tylko przypomnieć jak on miał, cholera, na imię.

— No, wiesz, po staremu, roboty sporo: przepraszam za ten faul...

— *Nie ma o czym gadać, a robota nie zając.* (Już wiem — przedstawił się jako Staszek...). — *Ale niezły kawałek wtedy nasmarowałeś, nawet się uśmiałem.*

— Czytałeś? — jakoś nie dowierzałem.

— *Na prasówki nie mam czasu, ale siostra mi ten numer pokazała. Całkiem sensownie było, pały nie przegiąłeś, a potem się zastanawiałem czy ci za dużo szczegółów nie posypałem. No, ale gdzie tak lutujesz, chodź siądziemy na piwo, pogadamy...*

— Ale wiesz, trochę się spieszę — broniłem się nie wiedzieć czemu. — A zresztą gdzie tu masz dobre piwo?...

— *O to się nie martw — firma zaprasza...*

„A może by tak drugi odcinek?" — przemknęło mi przez głowę, gdy zgodnie pokonywaliśmy szeroką arterię. Do seriali czułem awersję, ale w tym przypadku warto byłoby odstąpić od reguły. Tak czy owak, niewiele ryzykowałem. Staszek był w szampańskim humorze, a poza tym, piwo z rana jak śmietana"...

Jak starzy znajomi sunęliśmy po chwili środkiem hotelowej kawiarni. Mój „koń" parę razy niedbale pozdrowił siedzących za stolikami typasów. Odziany był dziś znów nie najgorzej — bufiasta, skórzana kurtka, modne pumpy firmy „Lee", biały, sportowy but (chyba jednak nie „Chełmek"). Przycupnęliśmy za filarem. Niemal natychmiast zjawiła się przystojna szatynka.

— *Sie masz Jolka* — powitał ją grzecznie Staszek. — *Słuszaj, daj nam na początek dwa browary, tylko wiesz, te lepsze.*

— Ale jest tylko nasze, niezbyt zresztą świeże — kelnerka niepewnie kikowała w moją stronę.

— *Dobra, dobra, on jest ze mną, no suń mała po to piwo jak klient grzecznie prosi* — nie opuszczał go dobry humor.

Po chwili na stół wpłynęły dwa wysokie puchary ze złotym płynem. Butelek nie było, po cóż kłuć w oczy etykietą pozostałych gości.

— *Może być, czeski „Cristal"* — Staszek otarł wąsy z piany. Pociągnąłem i ja licząc skrycie, że marki papierosów nie zmienił. Zakurzyliśmy po „Camelu". Jeszcze łyk i zdecydowałem, że trzeba kuć póki gorące...

— Słuchaj, miałeś mi wtedy opowiedzieć trochę o waszej zawodowej hierarchii, ale zjawił się ten twój, no jakby to powiedzieć — przełożony i się urwało — zablefowałem dyskretnie.

— *A, wtedy, no tak. Z Mecenasem żartów nie ma. Z wyglądu jowialny starszy pan, ale przyłożyć umie, gdy trzeba, jak w półciężkiej.*

— Jak się zostaje u was szefem?

— *Najkrócej: lata pracy poparte siłą fizyczną, bo jednak wiele spraw załatwiać trzeba osobiście. Ale i oleju w głowie trzeba mieć trochę więcej niż inni i wyobraźni także.*

— A na jakim szczeblu waszej drabinki zawodowej ty jesteś?

— *Trochę powyżej połowy...*

— Oznacza to, że na przykład...

— *...na przykład decyduję ile dostają „od punktu" wspomniane przez ciebie „meserszmity" czyli „punkciarze".*

— Od jakiego punktu?

— *Ty, chyba zamówimy jeszcze, bo jakoś nie możesz dziś zaskoczyć; od punktu, czyli od jednego skupionego od ludzi bonu dolarowego. Na przykład wyznaczam mu, że ma pięć złotych.*

— A jak się dobrze spisuje, wielu klientów nagania?

— *To łapie premie ekstra. Bez wpisania do akt. Ale wszystko zależy od jego inwencji i... od obrotów sklepu.*

— Czy to znaczy, że przewidujecie także redukcje etatów?

— *Jasne. Jak sklep kiepsko prosperuje — to się punkciarzy normalnie zwalnia.*

— No dobrze, ale przecież on może niektóre transakcje zaliczać na swoje konto.

— *Widzisz, na grubsze interesy się nie pokusi sam, bo jest za krótki z forsą, do waluty się go nie dopuszcza, bo tu trzeba mieć już doświadczenie, bez którego można głupio wpaść, poza tym ja urządzam swoim „meserszmitom" czasem takie „testy na inteligencję".*

— Chyba nie gracie w „państwa, miasta...?".

— *Wolne żarty. Pożyczam na przykład od takiego 20 kawałków i oddaję mu po tygodniu... 30 tysięcy. Proszę by przeliczył, pytam, czy się zgadza i godzinę, dwie czekam. Gdy stracił pamięć lub zapomniał tabliczki mnożenia — no, to trzeba go ukarać...*

— Rozumiem, czyli — oklep...

— *Czasem tak, ale za pierwszym razem ustna reprymenda, a czasem zaproszenie do gry w karty.*

— Po co?

— *Zniszczyć można człowieka w różny sposób, między innymi wygrywając od niego parę groszy w karty, w męskiego pokerka.*

— Wyobrażam sobie te „parę groszy", ale przecież tamten może być lepszy, czyli mieć więcej szczęścia.

— *Widzisz, losowi trzeba umieć pomóc, a od paru ładnych lat jakoś mi się to skutecznie udaje.*

— Taki jesteś dobry?

Staszek uśmiechnął się wyrozumiale. Moczyliśmy przez chwilę dzioby w chłodnym piwie, bo panna Jola zdążyła już podmienić nam naczynia na pełne. Przyjrzał mi się nieco ironicznie, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Na stoliku wylądowała nowiutka talia „Piatników".

— *Ech, ty niedowiarku, przejdziesz teraz przyspieszony kurs gry...*

— Ale ja tylko w brydża i canastę — oponowałem śpiesznie.

— *Dobra, dobra, tylko mała próbka, nie oskubę cię przecież.*

Zdjął folię, przetasował uważnie. Przełożyłem. Błyskawicznie rozrzucił na cztery kupki.

— *No co tam masz, mały?*

Miałem samą bryndzę: każda „z innej parafii". On — cztery asy. Zgarnął karty znów przetasował znów rozdał po moim przełożeniu. Miałem jedną parę, on — karetę króli. Jeszcze raz powtórzył całą operację. Zajrzałem dyskretnie — były dwie pary. Spojrzał na mnie i ryknął śmiechem:

— *Daj spokój, nie rób takich min, jak byś był w Monte Carlo. Masz damy na dziesiątkach, a sobie dałem tym razem fula. Wystarczy?*

— Ale ty przecież oszukujesz!

— *Spokojnie mały, nie podnoś głosu. Widziałeś coś? To nie oczerniaj człowieka, można za to zarobić lufę. Ale zapewniam cię, że gdy mnie namówisz na grę w tysiąca, za każdym razem będę miał „meldunek" za sto.*

— Powiedz, jak ty to robisz, masz znaczone karty?

Rozparł się zadowolony z wrażenia jakie wywołał i machinalnie przerzucał kolorowe kartoniki. Przetasował talię oburącz, tym razem bardzo wolno.

— *Jakie tam znaczone. To tylko liczenie, trochę skomplikowanej matematyki. Mimo tasowania karty ułożone są wciąż tak jak chcę. O, tu przodem je mieszam, ale — patrz — tyłem składam ponownie tak samo. A teraz trochę szybciej. Zauważyłeś coś?*

Rzeczywiście, nie sposób było spostrzec coś podejrzanego, ot, zwykłe tasowanie.

— No dobrze, ale ja przecież przekładałem...

— *Nie szkodzi, po to odginam delikatnie jedną kartę, o — tak, żebym wiedział, gdzie przełożyłeś i składając talię do rozdawania znów mam je ułożone tak, jak chcę.*

Staszek jeszcze raz rozrzucił karty jak do pokera. Uśmiechał się kpiąco.

— *Zauważyłeś coś?*

— Co na przykład?

— *To znaczy nic nie widzisz. Tylko, że ja mam jeszcze trzy karty na kolanie, o patrz — dziesiątki. Niezłe, co?*

— Wiele masz takich „patentów"?

— *Trochę tego jest, ale wszystkich ci i tak nie pokażę. Nie to żebyś się nauczył czy opisał. Po prostu i tak nie zauważysz. Choćby takiej podmiany talii.*

— Niemożliwe...

— *Synek, pokazuję ci tu najprostsze numery. Gdy gram z kimś kto ma te maniany opanowane, to mu robię niespodziewajkę i myk — podmieniam talię na swoją. I nadal grą dyryguję.*

— Ale w którym momencie...

— *Za dużo byś chciał wiedzieć, ale ci mogę niektóre metody sypnąć. Zrzucam na przykład przypadkiem forsę na podłogę, albo sięgam po papierosy do kieszeni. Gdy robisz to szybko, pewnie — nikt nie zauważy. Wszystko można wyreżyserować: po paru rozdaniach wiem z kim mam do czynienia i wybieram odpowiedni wariant gry.*

— A gdy przeciwnik coś podejrzewa? Że grasz choćby znaczonymi?

— *Wtedy zwykle wymienia się karty na nowe. Jedziemy do „peku" i kupujemy oryginalnie zapakowane. Bardzo proszę. Szykując się na poważną grę, byłem tam wcześniej i z każdej różniącej się partii towaru nabyłem po jednej talii. Tę zaś w odpowiednim momencie wprowadzam do gry i — po kłopocie.*

— Przegrałeś kiedyś?

— *Praktycznie raz. Z gościem, który grał w bardzo mocnych okularach, prawie „lornetki", co przy silnym świetle z góry, nad stołem pozwoliło mu posługiwać się super delikatnie znaczonymi kartami. Nim go odbadałem — popłynąłem już na 50 czy 60 kawałków...*

— Kto cię nauczył tych sztuczek?

— *Wiesz, to są lata pracy, ciągłych praktycznych ćwiczeń. Trening, jeszcze raz trening.*

— I teraz w niewinnego pokerka łupisz swoich kumpli i punkciarzy.

— *Nie zawsze, tylko wtedy, gdy trzeba. Ale czasem i przyjacielowi się pomoże.*

— ???

— *Kompan ze studiów kiedyś do mnie przyjechał błagając o pomoc. Mieszkał w małym miasteczku, lubił pokerka, dopadło go dwóch cwaniaków, badylarzy, z których jeden, jak się później okazało, w prymitywny sposób oszukiwał. Żal mi się chłopaka zrobiło, bo „oplukali" go doszczętnie. Pojechałem. Zagraliśmy. Pół nocy tamtym szło, jak po maśle, ale cały czas kontrolowałem sytuację. W decydującym momencie, gdy bank sięgał lampy, a na górze spoczęły zegarki i sygnety — rozdałem po swojemu. Pierwszy miał karetę dam. Nim zdążył zgarnąć wszystko, przyjaciel wyłożył (tak rozrzuciłem...) cztery króle, ten największy cwaniak karetę asów na to. I sięga po teczkę, by forsę pakować. Ja na to: „To pokery już dziś nie grają?..." Było po robocie. Owinęliśmy ich na jakieś 900 tysięcy, z czego kumplowi oddałem przegrane przez niego wcześniej 300 tysięcy. Ale to były stare czasy, dolar w edy chodził po sto dwadzieścia...*

— Dryg w palcach, wyobraźnia, znajomość psychologii, to dla pokerzysty podstawa egzystencji...

— *I... bystre oko. Ale widzisz, ja w biały dzień dolarowego „falsa" z pięciu metrów odróżnię nie chwaląc się. Ile to razy dziewczynom w „peku" się pomogło.*

— No właśnie, mówiłeś poprzednim razem, że zawodowcy nie wprowadzają do obrotu fałszywej waluty, czyli — tych „fałsów". A jak one do was trafiają?

— *Zwykle łapią się na nie początkujący „punkciarze". I tak często tracą część forsy.*

— Nabrał cię ktoś na falsa?

— *Nie, jeszcze nie. Ja zawsze byłem i jestem ostrożny. Gdy zaczynałem, na pożyczonej forsie, po prostu wiedziałem, że na pomyłkę, nie mogę sobie pozwolić. Dziś wszyscy twierdzą, że mam wyjątkowego nosa, a ja po prostu wyczuwam człowieka. Bo inaczej zachowuje się gość, który chce sprzedać oryginał, a inaczej cwaniak z lewizną. I nie można się dać ponieść nerwom, nie wolno załatwiać takich operacji szybko, choćby cena była atrakcyjna. Ta niska cena zresztą budzi zwykle pierwsze podejrzenia.*

— Ale próbowano pewnie i ciebie naciąć?

— *Na grubszą forsę, chyba półtora tysiąca dolców, to w zeszłym roku. Zabawna historia zresztą wyszła. Przybiega do mnie „meserszmit", że ma faceta z taką kwotą. Biorę obu do mieszkania (nigdy takich transakcji na ulicy nie załatwiam), po drodze macam jeden banknot. Tak a propos: przeciętnie uważa się, że nie ma fałszywych dwudziestek. To bzdura — właśnie tamte były same dwudziestki. Więc macam i czuję, że czegoś papierek gruby. W świetle nie mam już wątpliwości żadnych — wyraźny fals. „Meserszmit", który już część zadatkował, od razu dał cwaniakowi w ząb. Wyhamowałem go i powiadam do frajera: „Synku, żeś nam ciemnotę chciał wcisnąć, to pieniążki oddaj, prezydentów grzecznie podrzyj, a za karę proponuję wręcz koledze w prezencie swą naręczną „Dozę". Nie przystał jednak na propozycję. Więc zawiadomiliśmy... milicję. Z tego co wiem — siedzi w najlepsze.*

— To cię zapytam wprost: jak to się dzieje, że pomimo milicyjnych akcji, łapanek, wciąż egzystujecie i to chyba nieźle?

— *Widzisz, w tej grze, jak w każdej innej, obowiązują pewne reguły i obie strony ich przestrzegają. Jeśli wpadają — to początkujący, punkciarze — nowicjusze. Do się złapać „na gorącym" z dolarami, wrobić w kupno przy świadkach (tych w cywilu). Ja mam przy sobie kilkadziesiąt bonów, to mi wolno, przyszedłem do sklepiku choćby kupić wódeczkę. Wersja łatwa i przyjemna.*

— Nigdy nie wpadłeś?

— *Odpukać, nie. Choć parę razy, przyznaję dawałem długą. Widzisz, każdy ma swoje atuty. Ja mam nosa do ludzi, a poza tym jestem szybki w nogach. I parę razy mnie to uratowało. Bo kos zawiódł. Bo był świadek przy kupnie waluty. Jak nie ma — spokojnie dam się przymknąć na przysłowiowe czterdzieści osiem. A to jeszcze nikomu nie zaszkodziło.*

— Ale zdajesz sobie sprawę, że działasz na granicy przestępstwa, że wręcz je popełniasz?

— *Oczywiście, tylko niech mi nikt nie mówi, że żeruję na ludzkiej naiwności. Wszyscy przychodzą do mnie ze świadomością co chcą kupić lub sprzedać. Po prostu załatwiamy ten margines spraw, o których zapomniał bank.*

— Jaki jest dla ciebie najlepszy klient?

— *Czy ja wiem? Chyba nieskąpy albo pewny siebie. Taki co to nadrabia miną i zaczyna rozmowę od stwierdzenia: „Kochany, ja wiem po ile dolary chodzą!" A ady mu zaporowo wzniecam wysoką cenę, łaskawie dodaje „Tak tak, to się zgadza". Jeszcze innych prowadzę grzecznie do tablicy kursów, które ja mam w małym palcu, a on tylko udaje, że zna i różnie strasznie mądrego. I takich mi nie żal.*

— Działacie bezwzględnie...

— *Kwestia spojrzenia. Parę razy mi się zdarzyło, że zdenerwowany gość kupuje pięćdziesiąt bonów choćby, a płaci za sto. I ja mu oddaję, bo się chłop pomylił. Ale, jak ja się „przewinę" — to nie zdarzyło się, by któryś zawrócił. Kiedyś takiego dziadka od kasy odciągnąłem, bo się kompromitował publicznie. Dwa dolary miał płacić, jeden był dobry, drugi — jakaś niemal porno reklamówka — zamiast prezydenta rozłożona dupę miała wymalowaną. A dziadek twardo chciał za to wódeczkę nabyć.*

— W każdej walucie „jesteś spec"?

— *Widzisz, jak się parenaście lat w zawodzie siedzi, z tego chyba siedem już zawodowo, to trudno mnie nabić w butlę. Nawet, jak ktoś korony islandzkie chce mi wcisnąć, które, jak wiadomo wartości żadnej nie mają, kompletny bzdet, dobre chyba dla początkującej dziewczynki, co to w zawód dopiero wchodzi.*

Staszek przeciąga się, aż w stawach trzeszczy. Rzucił okiem za filar, kogoś dojrzał, bo pochyla się nad stolikiem i złośliwie ryczy:

— *Zobacz na te dwie, tam pod oknem, te wymalowane laluchy. Dziś już doświadczone zawodniczki, ale chyba ze dwa lata temu byłem świadkiem historii z ich udziałem, po której do dziś brzuch mnie boli ze śmiechu. Po jakiejś balandze z cudzoziemcem wpadły do „peku" jak do zabawkarskiego w dobrych czasach, nakupowały sweterków, kosmetyków, papierosów, i suną dumnie z paragonami do kasy. By większe wrażenie wywołać, ta ruda drze się na cały głos do dziewczyny za szybą: „Proszę, płacę tysiącem". A kasjerka spokojnie: „Ale to jest tysiąc lirów..." To było wtedy warte bodaj... dolara, w dodatku banknot był parę lat wcześniej wycofany z obiegu. Cały sklep trząsł się ze śmiechu.*

— Powiedz szczerze: dlaczego się tym zajmujesz, całe życie będziesz tymi markami czy frankami obracał?

— *Dlaczego? Czy ja wiem. Są pieniądze — to pewne. Ale każdemu do życia jakieś emocje są potrzebne. Tu jest zawsze ryzyko z odrobiną strachu wymieszane, bo ci z dewizówki do frajerów nie należą. Musisz mieć wyobraźnię, łatwość nawiązywania kontaktów, opanowane kursy, przeliczniki, komputer w głowie. Musisz być aktorem, filozofem i psychologiem. Przed „Pewexem" każdy człowiek jest zagadką. Wygląda na dobrego złodziejaszka, a okazuje się milicjantem. Jak długo? Emerytury tu na pewno nie doczekam, myślę, że się jednak kiedyś inaczej ustawię, ale na razie pracuję nad zabezpieczeniem przyszłości, bo na związki zawodowe nie liczę.*

— Do pracy się więc nie spóźniasz...

— *A żebyś wiedział — o dziesiątej zawsze jestem na miejscu, przed „fabryką". Wczasy przyznaję sobie sam — parę razy do roku, bo psychicznie człowiek nie wytrzymuje napięcia, a poważne „prace zlecone" biorę do domu.*

Dopijamy kolejne piwsko, które panna Jola systematycznie donosiła. Skołowany już jestem ta niecodzienną ucztową piwem i mocnymi papierosami, które kurzymy jeden za drugim. Staszek, widzę też ma dość „poważnych" tematów. Sypie na zakończenie anegdota z życia:

— *Znasz to? Przychodzi kobitka do „peku", z paragonem dociera do kasy, walutę wręcza, a kasjerka prosi o dowód osobisty. Zdziwionej oświadcza, że papier jest fałszywy. A kobitka ze smutkiem: „To znaczy, że wczoraj zostałam zgwałcona...".*

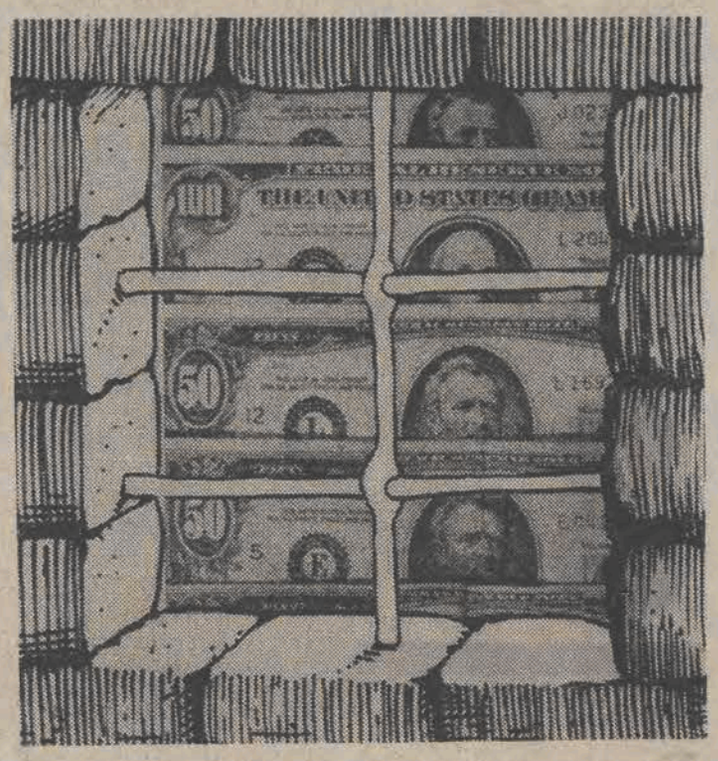

Rys. Janusz Szymański-Glanc